

**Vladimir Nabokov**

# **Zaproszenie na egzekucję**

*Comme un fou se croit Dieu,  
nous nous croyons mortels.*

Delalande, *Discours sur les ombres*

# Rozdział 1

Zgodnie z prawem wyrok śmierci obwieszczono Cyncynatowi C. szeptem. Wszyscy wstali, wymieniając uśmiechy. Siwy sędzia przypadł do jego ucha, dyszał przez chwilę, przekazał wiadomość i powoli odsunął się, odlepił się jakby. Potem Cyncynata odwieziono z powrotem do twierdzy. Droga owijała się wokół jej skalistego podnóża i znikła pod bramą: zmija w szczelinie. Był spokojny; podtrzymywano go jednak w czasie podróży przez długie korytarze, stawiał bowiem nogi niepewnie, jak dziecko, które dopiero co nauczyło się chodzić, lub jakby się miał nagle zapaść niczym człowiek, któremu śni się, że stąpa po wodzie i raptem ogarniają go wątpliwości: czy to możliwe? Strażnik Rodion długo otwierał drzwi do celi Cyncynata – nie ten klucz – zwykle, jak co dzień, zamieszanie. Wreszcie drzwi ustąpiły. Tam, na żelaznym łóżku, czekał już adwokat – siedział po uszy pogrążony w zadumie, bez fraka (zapomnianego na wiedeńskim krześle w jednej z sal sądu – był gorący, na wskroś błękitny dzień), podskoczył niecierpliwie, gdy wprowadzono więźnia. Cyncynat jednak nie był w nastroju do rozmowy. Niechże nawet będzie zamiast tego samotność w celi z judaszem, jak w łodzi, która zaczyna nabierać wody. Wszystko jedno – oznajmił, że chce zostać sam, i wszyscy, skłoniwszy się, wyszli.

Tak więc zbliżamy się do końca. Prawa, jeszcze nienapoczęta część otwartego tomu, którą w trakcie smakowitej lektury obmacywaliśmy lekko palcami, machinalnie sprawdzając, ile jeszcze zostało (i wciąż cieszyła palce spokojna, solidna grubość), nagle, ni stąd, ni zowąd, okazała się chudziutka: kilka minut szybkiego, już z górki, czytania – i... okropne! Stos czereśni, czerwono i lekko czerniejący przed nami, niespodziewanie zmienił się w pojedyncze owoce: o, tamta, ze szramą, jest nadgniła, a ta zmarszczyła się, zeschnęła wokół pestki (ostatnia zaś – nieuchronnie twarda, niedojrzała). Okropne! Cyncynat zdjął jedwabną kamizelkę, włożył szlafrok, i przytupując, żeby powstrzymać drżenie, zaczął chodzić po celi. Na stole bielą niezapisana kartka papieru, i wyraźnie odcinając się od tej bieli, leżał doskonale zatemperowany ołówek, długi jak życie każdego człowieka prócz Cyncynata; sześć jego ścianek połyskiwało hebanowym blaskiem. Oświecony potomek palca wskazującego. Cyncynat napisał: „Mimo wszystko jestem stosunkowo. Przecież ten finał przeczuwałem ten finał”. Czuwający za drzwiami Rodion z surową uwagą szypra spoglądał przez judasza. Cyncynat czuł chłód na potylicy. Przekreślił wszystko, co napisał, i zaczął delikatnie cieniować; powstał przy tym embrion ornamentu, który stopniowo rozrósł się i zwinął w barani róg. Okropne! Rodion patrzył przez błękitny otwór na wznoszący się i opadający horyzont. Komu zrobiło się niedobrze? Cyncynatowi. Oblał go pot,

wszystko pociemniało, czuł korzonek każdego włoska. Odezwał się zegar – cztery lub pięć uderzeń – ich dźwięk, oddźwięk i poddźwięk zachowywały się w sposób przyjęty w więzieniach. Pracując nóżkami, po nitce spuścił się z sufitu pająk, urzędowy przyjaciel skazańców. Nikt jednak nie stukał w ścianę, gdyż Cyncynat był jak dotąd jedynym więźniem (na taką ogromną twierdzę!).

Po pewnym czasie wszedł strażnik Rodion i zaprosił go do walca. Cyncynat zgodził się. Zaczęli wirować. Brzęczały zawieszane na skórzanym pasku klucze Rodiona; czuć go było chamem, tytoniem i czosnkiem; nucił, sapiąc w rudą brodę; skrzypiały jego zeszywniałe stawy (nie te lata, niestety, tusza, zadyszka). Wyniosło ich na korytarz. Cyncynat był znacznie mniejszy od swego kawalera. Cyncynat był lekki jak liść. Wicher walca jeżył jasne końce jego długich, lecz rzadkich wąsów, a duże przezroczyste oczy patrzyły w bok, jak oczy wszystkich bojaźliwych tancerzy. Jak na dorosłego mężczyznę był bardzo mały. Marfińka mawiała, że jego buty ją cisną. Na zakręcie korytarza stał inny strażnik, bezimienny, z karabinem, w masce psa z gazą zamiast pyska. Zatoczywszy wokół niego krąg, popłynęli z powrotem i teraz, gdy znów znaleźli się w celi, Cyncynata ogarnął żal, że tak krótko trwał przyjacielski uścisk omdlenia.

Znowu z banalną posepnością odezwał się zegar. Czas biegł w postępie arytmetycznym: ósma. Ohydne okienko okazało się dostępne dla zachodu słońca; po bocznej ścianie przesunął się płomienny równoległobok. Cela aż

po sufit napełniła się olejami zmierzchu zawierającego niezwykle barwniki. Myślisz sobie: cóż to jest – tam, na prawo od drzwi – obraz jakiegoś brawurowego kolorysty czy drugie okno, kolorowe, ozdobne, takie jakich się już nie spotyka? (W istocie był to pergaminowy arkusz z dwiema kolumnami dokładnego „regulaminu więziennego”; zagięty róg, czerwone litery nagłówka, winietki, historyczny herb miasta – mianowicie piec hutniczy ze skrzydłami – dostarczały odpowiedniego materiału dla wieczornych odblasków). Meble w celi reprezentowane były przez stół, krzesło i łóżko. Dawno przyniesiony obiad (skazanym na śmierć przysługiwał wikt dyrektorski) stygł na cynowej tacy. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Nagle celę zalało złote, esencjonalne światło.

Cyncynat spuścił nogi z łóżka. W głowie, od potylicy do skroni, po przekątnej, potoczyła się kula kręgielna, znieruchomiała i ruszyła z powrotem. Tymczasem otworzyły się drzwi i wszedł dyrektor więzienia.

Jak zwykle ubrany był w surdut. Trzymał się doskonale prosto, wypinając pierś, z jedną ręką wsuniętą za klapę, a drugą założoną za plecy. Idealna peruczka, czarna jak smoła, z woskowym przedziałkiem, ściśle przylegała do czaszki. Jego wybrana bez miłości twarz z tłustymi żółtymi policzkami i nieco przestarzałym systemem zmarszczek była konwencjonalnie ożywiona dwojgiem i tylko dwojgiem wytrzeszczonych oczu. Miarowo przesuwając nogi w kolumniastych spodniach, przeszedł

odcinek między ścianą a stołem, dotarł niemal do łóżka – lecz, mimo całą swoją dostojną masywność, najspokojniej w świecie zniknął, rozpląnąwszy się w powietrzu. Jednak w minutę później drzwi otworzyły się znowu, ze znajomym tym razem zgrzytem – i jak zwykle ubrany w surdut, wypinając pierś, wszedł on właśnie.

– Dowiedziawszy się z wiarygodnych źródeł, że pański los został oto przypieczętowany – zaczął soczystym basem – uznałem za swój obowiązek, łaskawy panie...

Cyncynat powiedział: – Uprzejmość. Pan. Bardzo. (Trzeba to jeszcze uporządkować).

– Bardzo pan uprzejmy – powiedział, odchrząknąwszy, jakiś dodatkowy Cyncynat.

– Łaski! – krzyknął dyrektor, nie dostrzegając nietaktowności tego słowa. – Dopraszam się łaski! Obowiązek. Ja zawsze. A czemu to, ośmielam się spytać, nie tknął pan jedzenia?

Dyrektor zdjął pokrywkę i podniósł do swego wrażliwego nosa naczynko z zastygłym ragout. Ujął dwoma palcami kartofel i zaczął energicznie żuć, już coś wybierając brwią na drugim półmisku.

– Nie wiem, jakich jeszcze potraw panu trzeba – rzekł z niezadowoleniem, i trzeszcząc mankietami, usiadł przy stole, żeby wygodniej mu się jadło budyń z ryżu.

Cyncynat powiedział: – Chciałbym jednak wiedzieć, czy długo to jeszcze potrwa.

– Wyborny *sabayon!* Chciałby pan jednak wiedzieć, czy długo to jeszcze potrwa. Niestety, ja sam nie wiem.

Zawiadamiają mnie zawsze w ostatniej chwili; wielokrotnie pisałem skargi, mogę pokazać całą korespondencję na ten temat, jeśli to pana interesuje.

– Zatem może to być jutro rano? – spytał Cyncynat.

– Jeśli to pana interesuje – powiedział dyrektor. – Tak, niezwykle wprost smaczne i pożywne, oto co panu powiem. A teraz, *pour la digestion*, niech mi pan pozwoli zaproponować sobie papierosa. Proszę się nie obawiać, w najgorszym razie może to być jedynie przedostatni – dodał dowcipnie.

– Jeśli pytam – powiedział Cyncynat – jeśli pytam, to nie z ciekawości. Co prawda, tchórze są zawsze ciekawscy. Zapewniam jednak pana... Jeśli nawet nie dam sobie rady z dreszczami i tak dalej – to nic. Jeździec nie odpowiada za drzenie konia. Chcę wiedzieć, kiedy – oto dlaczego: rekompensatą za wyrok śmierci jest dokładna znajomość jej godziny. Luksus wielki, lecz zasłużony.

Mnie jednak pozostawia się w niewiedzy, którą mogą znieść tylko ci, co żyją na wolności. A poza tym: mam w głowie wiele zaczętych i w rozmaitym czasie przerwanych prac... Po prostu nie będę się nimi zajmować, jeśli termin egzekucji nie pozwoli na porządne ich zakończenie. Oto dlaczego.

– Ach, nie powinien pan, bardzo proszę, nie powinien pan mamrotać – nerwowo powiedział dyrektor. – Po pierwsze, jest to niezgodne z regulaminem, a po drugie – mówię panu zwyczajnie, po rosyjsku i powtarzam raz jeszcze: nie wiem. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że

każdego dnia oczekiwany jest przyjazd pańskiego przyszłego – a on, kiedy przyjedzie, odpocznie, oswoi się z nowym otoczeniem, będzie jeszcze musiał wypróbować instrument, oczywiście jeśli nie przywiezie swojego własnego, co jest niezwykle prawdopodobne. Jak tam tytoń, czy nie za mocny?

– Nie – odparł Cyncynat, spojrzawszy z roztargnieniem na swojego papierosa. – Zdaje mi się tylko, że zgodnie z prawem – jeśli nie pan, to może zarządca miasta jest obowiązany do...

– No, pogawędziliśmy sobie i dosyć tego – powiedział dyrektor. – Jestem tutaj właściwie nie po to, żeby wysłuchiwać skarg, ale żeby... – Mrugając oczami, zaczął grzebać najpierw w jednej, potem w drugiej kieszeni; wreszcie wyciągnął zza pazuchy liniowaną kartkę, najwyraźniej wyrwaną ze szkolnego zeszytu.

– Nie ma tu popielniczki – zauważył, poruszając papierosem – no cóż, utopimy go w resztkę tego sosu... Doskonale. Światło chyba odrobinę za ostre. Może jeśli... No nic, mniejsza z tym, dobra jest.

Rozłożył kartkę, i nie nakładając rogowych okularów, tylko trzymając je przed oczami, zaczął bardzo wyraźnie czytać: – „Więźniu! W tej uroczystej chwili, kiedy wszystkie spojrzenia... ”.

Myślę, że będzie lepiej, jeśli wstaniemy – przerwał sam sobie z troską w głosie i podniósł się z krzesła.

Cyncynat wstał także.

– „Więźniu! W tej uroczystej chwili, kiedy wszystkie

spojrzenia zwrócone są na ciebie i sędziowie twoi tryumfują, a ty oto przygotowujesz się do owych mimowolnych ruchów ciała, które następują bezpośrednio po odcięciu głowy, zwracam się do ciebie ze słowem pożegnalnym. Przypadło mi w udziale – i nigdy tego nie zapomnę – zapewnić ci podczas pobytu w więzieniu te wszystkie rozliczne wygody, na które zezwala prawo. Dlatego też będę szczęśliwy, mogąc poświęcić całą możliwą uwagę wszelkim wyrazom twojej wdzięczności, najchętniej jednak w formie pisemnej i po jednej stronie arkusza".

– No cóż – powiedział, składając okulary. – To wszystko. Dłużej pana nie zatrzymuję. Proszę mnie zawiadomić, jeśli będzie pan czegoś potrzebował.

Usiadł przy stole i zaczął szybko pisać, dając w ten sposób do zrozumienia, że audiencja dobiegła końca. Cyncynat wyszedł.

W korytarzu na ścianie drzemał cień Rodiona, garbiąc się na cieniu taboretu – i tylko przelotnie, na samym obrzeżu, błysnęło kilka rudych włosów. Dalej, na załomie ściany, inny strażnik zdjął swoją przepisową maskę i ocierał twarz rękawem. Cyncynat zaczął iść schodami w dół. Kamienne stopnie z nieuchwytną spiralą widmowych poręczy były śliskie i wąskie. Gdy znalazł się na dole, poszedł znów korytarzami. Drzwi z widocznym jak w lustrzanym odbiciu napisem: „kancelaria” – były szeroko otwarte; księżyc połyskiwał na kałamarzu, a pod stołem kosz na śmieci wściekle bulgotał i szeleścił:

musiała wpaść do niego mysz. Minawszy jeszcze wiele drzwi, Cyncynat potknął się, podskoczył i znalazł się na niewielkim dziedzińcu, pełnym różnych części rozmontowanego księżycy. Tej nocy hasłem było milczenie – i żołnierz przy bramie odpowiedział milczeniem na milczenie Cyncynata, pozwalając mu przejść; przy wszystkich innych bramach było podobnie. Zostawiwszy za sobą zamglony masyw twierdzy, Cyncynat zaczął się zsuwać po stromej, rosistej darni, dostał się na popielatą ścieżkę biegnącą wśród skał, przeciął dwukrotnie, trzykrotnie zakola głównej drogi, która zrzuciwszy wreszcie z siebie ostatni cień twierdzy, popłynęła swobodniej i prościej – i po ażurowym moście przerzuconym przez wyschniętą rzeczkę dotarł do miasta. Wspiął się na wzniesienie, skręcił w lewo w Ogrodową i pomknął wzdłuż szarych kwitnących krzewów. Gdzieś błysnęło oświetlone okno; za jakimś ogrodzeniem pies brzęknął łańcuchem, nie zaszczekał jednak. Wietrzyk robił co mógł, żeby ochłodzić obnażoną szyję uciekiniera. Od czasu do czasu fala zapachu przypominała o bliskości Ogrodów Tamary. Jak dobrze znał te ogrody! Tam, gdzie Marfińka, jeszcze przed ślubem, bała się żab, chrabąszczy... Tam, gdzie można było, kiedy wszystko stawało się nie do zniesienia, z kaszą przeżuwanego bzu w ustach, ze łzami... Zielone trawiaste Tam, tamtejsze pagórki, omdlałość tamtych stawów, tam ta tam dalekiej orkiestry... Skręcił w Materjuszą obok ruin starej fabryki, dumy miasta, obok szepczących lip, obok odświętnie

wyglądających białych willi pracowników telegrafu, wiecznie obchodzących czyjeś imieniny, i wyszedł na Telegraficzną. Biegła stąd w górę wąska uliczka, i znów dyskretnie zaszumiały lipy. Dwu mężczyzn rozmawiało cicho na ławeczce, domyślnej w mroku skweru. „A jednak się myli” – odezwał się jeden. Drugi odpowiedział niewyraźnie i obaj wydali coś w rodzaju westchnienia, które w naturalny sposób połączyło się z szelestem listowia. Cyncynat wbiegł na okrągły plac, gdzie księżyc pilnował znajomej statuy poety, podobnej do bałwana ze śniegu – sześcian głowy, zlepione nogi – i przeszedłszy jeszcze kilka kroków, znalazł się na swojej ulicy. Po prawej stronie na murach jednakowych domów niejednakowo igrał księżycowy rysunek gałęzi, tak że tylko po wyrazie cieni, po fałdzie u nasady nosa między oknami, Cyncynat poznał swój dom. Na górnym piętrze okno Marfińki było ciemne, ale otwarte. Dzieci spały zapewne na garbonosym balkonie: coś tam zdawało się bieleć. Cyncynat wbiegł na ganek, pchnął drzwi i wszedł do swojej oświetlonej celi. Odwrócił się, lecz już był zamknięty. Okropne! Na stole połyskiwał ołówek. Pająk siedział na żółtej ścianie.

– Zgaście! – krzyknął Cyncynat.

Człowiek obserwujący go przez judasza wyłączył światło. Ciemność i cisza zaczęły się zlewać ze sobą, ale wtrącił się zegar – uderzył jedenaście razy, zastanowił się i uderzył jeszcze raz, a Cyncynat leżał na wznak i patrzył w ciemność, gdzie cicho rozsypały się jasne punkciki,

zanikając stopniowo. Dokonało się całkowite zespolenie ciemności i ciszy. Właśnie wtedy, dopiero wtedy (to jest leżąc na wznak na więziennym łóżku, po północy, po okropnym, okropnym, po prostu nie potrafię ci wytłumaczyć, jakim okropnym dniu) Cyncynat C. jasno ocenił swoją sytuację.

Najpierw na czarnym aksamicie, którym w nocy wyłożone są od wewnątrz powieki, pojawiła się, niby w medalionie, twarz Marfińki: lalkowaty rumieniec, błyszczące po dziecięcemu wypukłe czoło, rzadkie brwi, wznoszące się skośnie ku skroniom, wysoko ponad okrągłymi piwnymi oczami. Zamrugła, odwracając głowę; na miękkiej śmietankowobiałej szyi widniała czarna aksamitka, a aksamitna cisza sukni, rozszerzając się ku dołowi, zlewała się z ciemnością. Taką zobaczył ją dzisiaj wśród publiczności, kiedy podprowadzono go do świeżo pomalowanej ławy oskarżonych, na której nie zdecydował się usiąść – stał obok, a jednak powalał sobie ręce szmaragdową farbą i dziennikarze chciwie fotografowali odciski palców, które zostawił na oparciu ławki. Widział ich napięte czoła, widział jaskrawe spodnie elegantów, lusterka i połyskujące szale elegantek; twarze jednak były zamazane – zapamiętał tylko okrągłooką Marfińkę. Adwokat i prokurator, obaj umalowani i bardzo do siebie podobni (prawo wymagało, żeby byli przyrodnimi braćmi, ale że nie zawsze było to możliwe, uciekano się do charakteryzacji), z wirtuozowską szybkością wypowiedzieli po pięć tysięcy słów, które

przysługiwało każdemu z nich. Mówili na przemian i sędzia, śledząc błyskawiczne repliki, obracał głowę raz w prawo, raz w lewo; podobnym ruchem obracały się wszystkie inne głowy – i tylko jednak Marfińka, z lekka odwrócona, nieruchomo, jak zdziwione dziecko, wpatrywała się w Cyncynata, stojącego obok jasnozielonej ogrodowej ławki. Adwokat, zwolennik klasycznej dekapitacji, łatwo zwyciężył pomysłowego prokuratora i sędzia podsumował sprawę.

Urywki tych przemówień, w których jak pęcherzyki powietrza unosiły się i pękały słowa „przezroczyść” i „nieprzenikalność”, dźwięczały teraz Cyncynatowi w uszach i szum krwi zmieniał się w oklaski, a medalionowa twarz Marfińki wciąż trwała w polu jego widzenia i zgasła dopiero wtedy, kiedy sędzia – podszedłszy tak blisko, że na jego dużym śniadym nosie można było dostrzec rozszerzone pory, z których jeden, na samym koniuszku, wypuścił samotny, ale długi włos – ogłosił wilgotnym szeptem: „za łaskawą zgodą publiczności zostanie panu nałożony czerwony cylinder” – wypracowane przez prawo symboliczne zdanie, którego prawdziwe znaczenie znał każdy uczeń.

„A przecież zostałem ukształtowany tak starannie” – myślał Cyncynat, płacząc w mroku. „Wygięcie mojego kręgosłupa obliczone zostało tak dokładnie, tak tajemniczo. Czuję w łydkach tyle mocno nawiniętych wiorst, które mógłbym jeszcze przejść w życiu. Moja głowa jest taka wygodna... ”.

Zegar wybił pół do nie wiadomo której godziny.

## Rozdział 2

Poranne dzienniki, które wraz z filiżanką letniej czekolady przyniósł mu Rodion – lokalna gazetka „Dzieńdoberek” i poważniejszy organ, Głos Publiczny” – jak zawsze roily się od kolorowych fotografii. Na pierwszej Cyncynat znalazł fasadę swego domu: dzieci patrzą z balkonu, teść patrzy z okna kuchni, fotograf patrzy z okna Marfińki; na drugiej – znajomy widok z tego właśnie okna na ogródek z jabłonią, otwartą furtką i postacią fotografa robiącego zdjęcie fasady. Ponadto znalazł siebie samego na dwóch fotografiach z czasów potulnej młodości.

Cyncynat był synem nieznanego przechodnia i dzieciństwo spędził w dużym internacie nad Stropią (dopiero po dwudziestce przypadkowo poznał szczebiotliwą, szczuplutką, wyglądającą jeszcze tak młodo Cecylię C. , która poczęła go pewnej nocy na Stawach, będąc jeszcze zupełnym podlotkiem). Od najmłodszych lat, cudem rozpoznawszy niebezpieczeństwo, Cyncynat pilnie doskonalił się w ukrywaniu pewnej swojej osobliwości. Nie przepuszczał cudzych promieni i w konsekwencji, gdy nie miał się na bacności, sprawiał wrażenie jedynej ciemnej przeszkody w owym świecie wzajem dla siebie przezroczystych dusz; nauczył się jednak udawać, że jest przezroczysty, wypracowawszy sobie w tym celu skomplikowany system

czegoś w rodzaju złudzeń optycznych; wystarczyło wszakże na chwilę się zapomnieć, trochę mniej starannie się pilnować, mniej uważać na przemyślnie podświetlenie i obroty płaszczyzn duszy, by od razu wszczął się popłoch. W wirze wspólnych zabaw, kiedy podniecenie sięgało zenitu, rówieśnicy nagle go opuszczali, jakby wyczuwając, że świetlistość wzroku i błękit skroni to chytry podstęp i że w istocie Cyncynat jest nieprzenikalny. Bywało, że wśród zapadającego milczenia nieprzyjemnie zaskoczony nauczyciel, marszcząc cały zapas skóry wokół oczu, długo na niego patrzył i wreszcie pytał: – No, co się z tobą dzieje, Cyncynat?

W takich razach Cyncynat brał się w garść, i przyciskając do piersi, odnosił w bezpieczne miejsce.

Bezpiecznych miejsc pozostawało z czasem coraz mniej, wszędzie docierało czułe słońce publicznej troski, a judasz w drzwiach tak był umieszczony, że w całej celi nie było ani jednego punktu, którego nie mógłby przekłuć wzrokiem stojący za drzwiami obserwator. Z tego powodu Cyncynat nie zmiął pstrych gazet, nie cisnął ich na podłogę – jak zrobiło to jego widmo (widmo towarzyszące każdemu z nas – i tobie, i mnie, i temu tam – widmo, które robi to, co w danej chwili chciałoby się zrobić, a czego zrobić nie można). Cyncynat spokojnie odłożył gazety i dopił czekoladę. Brązowa pianka, pokrywająca czekoladową gładź, zmieniła się na wardze w pomarszczone paskudztwo. Następnie Cyncynat włożył czarny szlafrok, za długi dla niego, czarne pantofle z

pomponami, czarną jarmułkę – i zaczął chodzić po celi, jak robił to każdego ranka, od pierwszego dnia więzienia.

Dzieciństwo na podmiejskich trawnikach. Grali w piłkę, w świnkę, w pajaka, w barani skok, w malinę, w rypankę... Był lekki i zwinny, ale nie lubiano się z nim bawić. Zimą miejskie zbocza pokrywały się gładką warstwą śniegu i jakże przyjemnie było mknać w dół na „szklanych” saburowowskich sankach... Jak prędko zapadała noc, gdy wracali z saneczkowania do domu... Jakie gwiazdy, jakie myśli i melancholia na górze, a na dole o niczym nie wiedzą. W mroźnym metalicznym mroku żółtym i czerwonym światłem płonęły apetyczne okna, kobiety w lisich szubkach narzuconych na jedwabne sukienki przebiegały przez ulicę z domu do domu; elektryczne wagonetki, wzniecając na mgnienie lśniąca kurzawę, przemykały po ośnieżonych szynach.

Głosik: „Arkadiju Iljczu, niech pan spojrzy na Cyncynata... ”.

Nie gniewał się na donosicieli, lecz ci się mnożyli i, dojrzewając, stawali straszni. Ciemny dla nich, jakby był wycięty z sześciennego sążnia nocy, nieprzenikalny Cyncynat kręcił się tu i tam, w panicznym pośpiechu łowiąc promienie, usiłując stać w taki sposób, by wydawało się, że przepuszcza światło. Ci, co go otaczali, rozumieli się w pół słowa, zresztą nie mieli takich słów, które kończyłyby się niespodziewanie na iżycę czy coś w tym rodzaju, zmieniając się w procę lub ptaka – ze zdumiewającymi następstwami. W małym zakurczonym

muzeum przy Drugim Bulwarze, dokąd zabierano go w dzieciństwie i dokąd później on sam zabierał swoich wychowanków, zgromadzone były rzadkie i piękne przedmioty, lecz każdy z nich był dla wszystkich mieszkańców miasta prócz Cyncynata tak samo ograniczony i przezroczysty, jak oni sami wzajem dla siebie. Co nie ma nazwy, nie istnieje. Niestety, wszystko miało nazwę.

„Istność bezimienna, jestestwo bezprzedmiotowe... ” – przeczytał Cyncynat na ścianie w miejscu, które drzwi, otwierając się, zasłaniały sobą.

„Wieczni solenizanci, ja was... ” – napisane było gdzie indziej.

Bardziej na lewo, energicznym i czystym charakterem pisma, bez jednej zbytecznej kreski: „Zwróćcie uwagę, że gdy oni z wami rozmawiają... ” – reszta, niestety, była zatarta.

Obok, koślawymi dziecięcymi literami: „Pisarzy będą karał grzywną” – i podpis: dyrektor więzienia.

Można było odczytać jeszcze jedną starą i zagadkową linijkę: „Zmierzcie przed śmiercią – potem będzie za późno”.

– Mnie w każdym razie zmierzili – powiedział Cyncynat, znów podejmując wędrówkę i ostukując ściany kosteczkami palców. – Jakże mi się jednak nie chce umierać! Dusza wtuliła się w poduszkę. Och, nie chce się! Zimno będzie po wyjściu z ciepłego ciała. Nie chcę, poczekajcie, pozwólcie mi jeszcze trochę podrzemać.

Dwanaście, trzynaście, czternaście. Piętnaście lat miał Cyncynat, kiedy zaczął pracować w fabryczce zabawek, do której został skierowany z powodu niskiego wzrostu. Wieczorami upajał się starymi książkami przy wtórze uroczego leniwego plusku drobnych fal w pływającej bibliotece imienia dra Sinieokowa, który akurat tutaj utopił się kiedyś w miejskiej rzeczulce. Pomruki łańcuchów, plusk, pomarańczowe abażury na galeryjce, plusk, lepka od księżyca powierzchnia wody – i w dali, w czarnej pajęczynie wysokiego mostu, przelatujące ogniki. Później jednak cenne woluminy zaczęły niszczyć od wilgoci, tak że w końcu trzeba było rzeczkę osuszyć, odprowadzając całą wodę specjalnie wykopanym kanałem do Stropi.

Pracując w fabryczce, długo się zmagał z wymyślnymi głupstewkami i zajmował wyrobem szmacianych lalek dla uczennic; był tam malutki włochaty Puszkina w bekieszy i podobny do szczura Gogol w kwiecistej kamizelce, i staruszek Tołstoj, tłustonosi, w siermiedze, i wielu innych, na przykład: zapięty na wszystkie guziki Dobrolubow w okularach bez szkieł. Sztucznie zapalający się do tego mitycznego dziewiętnastego wieku Cyncynat był już gotów pograżyć się zupełnie w mgłach dawności i znaleźć w nich fałszywe schronienie, lecz coś innego przyciągnęło jego uwagę.

Tam właśnie, w tych malutkich warsztatach, pracowała Marfińka; z rozchylonymi wilgotnymi wargami celowała nitką w ucho igły: „Dzień dobry, Cyncynacik!” – i tak

zaczęły się te upajające włóczęgi po bardzo, bardzo przestronnych (tak przestronnych, że dalekie wzgórza bywały nawet czasami zamglone z rozkoszy swego oddalenia) Ogrodach Tamary, gdzie wierzby bez powodu leją łzy do trzech strumieni, a strumienie spadają trzema kaskadami, z niewielką tęczą nad każdą z nich, do jeziora, po którym płynie łabędź ramie w ramie ze swym odbiciem. Płaszczyzny polan, rododendrony, dębowe zagajniki, weseli ogrodnicy w zielonych buciorach, cały boży dzień bawiący się w chowanego; jakaś grotta, jakaś idylliczna ławeczka, na której trzej żartownisie zostawili trzy foremne kupki (to podstęp – imitacja zrobiona z brązowej barwionej blachy), jakiś jelonek, wyskakujący nagle na alejkę, by tutaj na waszych oczach przemienić się w drżące plamy słońca – oto, jakie były te ogrody! Tam, tam – gaworzenie Marfińki, jej nogi w białych pończochach i aksamitnych pantofelkach, chłodne piersi i różane pocałunki o smaku leśnej poziomki. Gdybyż można stąd zobaczyć – choćby czubki drzew, choćby pasmo oddalonych wzgórz...

Cyncynat ciaśniej zawiązał szlafrok. Cyncynat poruszył, i cofając się, zaczął ciągnąć krzyczący ze złości stół: z jakimż drzeniem, jakże niechętnie sunął po kamiennej podłodze, jego drzenie udzielało się palcom Cyncynata, podniebieniu Cyncynata, tyłem idącego ku oknu (to jest ku ścianie, w której wysoko, wysoko, za kratą znajdowało się pochyłe wgłębienie okna). Upadła głośna łyżeczka, zatańczyła filizanka, potoczył się

ołówkę, jedna książka ześliznęła się z drugiej. Cyncynat postawił wierzgające krzesło na stole. Wreszcie wspiął się sam. Nic jednak, oczywiście, nie było widać – tylko gorące niebo z wytwornie zaczesanymi siwiznami pozostałymi po obłokach, które nie wytrzymały błękitu. Cyncynat ledwie mógł dosięgnąć kraty, za którą ciągnął się, lekko się wznosząc, tunel okienny z drugą kratą na końcu i jej powtórzeniem ze światła i cienia na obłupanej ścianie kamiennej stromizny. Tam, z boku, tym samym czystym wzgardliwym charakterem pisma, co jedno z na wpół zatartych zdań, niedawno czytanych, napisane było: „Nic nie widać, też próbowałem”.

Cyncynat stał na palcach, trzymając się czarnych żelaznych prętów malutkimi zbielełymi od wysiłku rękami, a połowa jego twarzy pokryta była słoneczną kratą, a lewy wąs się złocił, a w lustrzanych źrenicach połyskiwały złote klatki, po jednej w każdej, w dole zaś, z tyłu, nad za dużymi pantoflami unosiły się jego pięty.

– Tylko patrzeć, jak pan spadnie – powiedział Rodion, który już mniej więcej od pół minuty stał obok i teraz mocno ścisnął nogę chwiejącego się krzesła. – Spokojnie, spokojnie, trzymam. Może pan schodzić.

Rodion miał chabrowe oczy i, jak zawsze, wspaniałą rudą brodę. Ta piękna rosyjska twarz zwrócona była w górę, ku Cyncynatowi, który nadepnął ją bosą podeszwą, to jest jego widmo ją nadepnęło: sam Cyncynat zszedł już z krzesła na stół. Rodion objął go jak niemowlę i ostrożnie zdjął ze stołu – po czym z dźwiękiem przypominającym

głos skrzypiec, przesunął mebel tam, gdzie stał on poprzednio, i przysiadł na jego krawędzi, jedną nogą machając w powietrzu, drugą zaś opierając o podłogę, przyjąwszy fałszywą pozę nonszalancji właściwą operowym hulakom w scenie rozgrywającej się w winiarni; Cyncynat skubał pasek szlafroka i spuszczał wzrok, starając się nie płakać.

Rodion śpiewał bas barytonem, przewracając oczami i wymachując pustym kubkiem. Tę samą dziarską pieśń śpiewała kiedyś Marfińka. Łzy trysnęły z oczu Cyncynata. Biorąc jakąś maksymalnie wysoką nutę, Rodion grzmotnął kubkiem o podłogę i zeskoczył ze stołu. Dalej śpiewał już chórem, chociaż był sam. Nagle podniósł obie ręce i wyszedł.

Cyncynat, siedząc na podłodze, spojrzał przez łyzy w górę, gdzie cień kraty zmienił już miejsce. Spróbował – po raz setny – poruszyć stół, lecz, niestety, nogi były od wieków przyśrubowane do podłogi. Zjadł figę I znów zaczął chodzić po celi.

Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden. Miał dwadzieścia dwa lata, kiedy przeniesiono go do przedszkola jako nauczyciela kategorii F. Wtedy też ożenił się z Marfińką. Niemal tego samego dnia, kiedy przystąpił do wykonywania swoich nowych obowiązków (polegających na zabawianiu garbatych, chromych i zezowatych dzieci), ważna osoba złożyła na niego donos drugiego stopnia. Ostrożnie, w formie przypuszczenia, wyrażono myśl o zasadniczej nielegalności Cyncynata.

Razem z tym memoriałem rozpatrywane były przez ojców miasta dawne zażalenia, nadsyłane od czasu do czasu przez co bardziej spostrzegawczych kolegów z fabryczki. Przewodniczący rady wychowawczej i pewni inni funkcjonariusze zamykali się z nim kolejno, poddając go przewidzianym przez prawo testom. Przez kilka dni nie pozwalano mu spać, zmuszano do pospiesznej i bezsensownej gadaniny graniczącej z majaczeniem, musiał też pisać listy do rozmaitych przedmiotów i zjawisk przyrody, odgrywać scenki z życia codziennego, a także naśladować różne zwierzęta, zawody i dolegliwości. Wykonał to wszystko, wytrzymał to wszystko, ponieważ był młody, bystry, świeży, chciał żyć – pożyć troszeczkę z Marfińką. Wypuścili go niechętnie, pozwalając mu nadal zajmować się dziećmi ostatniej kategorii, których nie było szkoda – by zobaczyć, co z tego wyniknie. Prowadził je na spacerunki parami, grając na małej przenośnej katarynce, która przypominała młynek do kawy, a w święta huśtał się z nimi na huśtawce: cała kiść zamierała, wzlatując; piszcziała, opadając z powrotem. Niektóre z nich Cyncynat uczył czytać.

Jednocześnie już w pierwszym roku małżeństwa Marfińka zaczęła go zdradzać: z kim popadło i gdzie popadło. Zwykle, gdy Cyncynat wracał do domu, Marfińka, ze szczególnym sytym uśmiechem przyciskając do szyi pulchny podbródek, jakby czyniła sobie wymówki, i spoglądając spode łba uczciwymi piwnymi oczami, mówiła niskim, podobnym do gruchania

głosikiem: „A Marfińka znowu dziś to robiła”. Cyncynat przez kilka sekund patrzył na nią, tuląc – jak kobieta – dłoń do policzka, a potem, bezgłośnie skowycząc, uciekał przez wszystkie pokoje pełne jej krewnych i zamykał się w toalecie, gdzie tupał, spuszczał wodę, kasłał, by zagłuszyć łkanie. Czasami, usprawiedliwiając się, wyjaśniała mu: „Ja – wiesz przecież – jestem dobra: to taka mała rzecz, a dla mężczyzny – taka ulga”.

Wkrótce zaszła w ciążę – i nie z nim. Urodziła chłopca, niezwłocznie zaszła znowu – i znowu nie z nim – i urodziła dziewczynkę. Chłopiec był chromy i zły z natury; tępa, otyła dziewczynka – prawie ślepa. Wskutek swoich defektów oboje dostali się do jego przedszkola, i dziwny zaiste widok przedstawiała zręczna, zgrabna, rumiana Marfińka, prowadząca do domu tego kalekę, tę beczułkę. Stopniowo Cyncynat zupełnie przestał się pilnować – i pewnego razu, na jakimś otwartym zebraniu w parku miejskim, wszczął się nagle popłoch i ktoś powiedział głośno: „Obywatele, wśród nas znajduje się...” – tu następowało straszne, niemal całkowicie zapomniane słowo – i wiatr zaszeleścił w gałęziach akacji, i Cyncynat nie mógł wymyślić nic lepszego: po prostu wstał i oddalił się, w roztargnieniu zrywając listki przydrożnych krzewów. A po dziesięciu dniach został aresztowany.

„Zapewne jutro” – powiedział Cyncynat, chodząc wolno po celi. „Zapewne jutro” – powiedział Cyncynat i usiadł na łóżku, gniotąc czoło dłonią. Promień zachodu powtarzał znane już efekty. „Zapewne jutro” –

powiedział, wzdychając, Cyncynat. „Zbyt cicho było dzisiaj, a już jutro, z samego rana... ”.

Przez chwilę wszyscy milczeli: gliniany dzban z wodą na dnie, dzban, który poił wszystkich więźniów świata; ściany, które położyły sobie ręce na ramiona, jak czwórka przyjaciół omawiających niedosłyszalnym szeptem kwadratową tajemnicę; aksamitny pajak, podobny w czymś do Marfińki; duże czarne książki na stole...

„Jakież nieporozumienie” – powiedział Cyncynat i nagle się roześmiał. Wstał, zdjął szlafrok, jarmułkę, pantofle. Zdjął płócienne spodnie i koszulę. Zdjął, niby perukę, głowę, zdjął obojczyki, jak naramienniki, zdjął klatkę piersiową, jak kolczugę. Zdjął biodra, zdjął nogi, zdjął i cisnął w kąt ręce, jak rękawice. To, co z niego zostało, stopniowo rozwiało się, ledwie zabarwiwszy powietrze. Cyncynat początkowo rozkoszował się chłodem; potem zanurzywszy się całkiem w swoją tajemniczą atmosferę, swobodnie w niej i wesoło...

Gruchnął żelazny grom zasuw i Cyncynat błyskawicznie obrósł tym wszystkim, co zrzucił, aż po jarmułkę. Strażnik Rodion przyniósł w okrągłym koszyczku, wyłożonym liśćmi winogrodu, tuzin żółtych śliwek – dar żony dyrektora.

Odświeżyły cię, Cyncynacie, twoje przestępcze praktyki.

## Rozdział 3

Cyncynata obudził złowieszczy zgiełk głosów narastający w korytarzu.

Chociaż poprzedniego dnia przygotowywał się na takie przebudzenie, z sercem, z oddechem mimo wszystko nie mógł sobie poradzić. Zakrywszy serce połą szlafroka, żeby nie mogło nic widzieć – cicho, to nic (jak mówi się dziecku w chwili niewiarygodnego nieszczęścia) – zakrywszy serce i uniósłszy się nieco, Cyncynat nasłuchiwał. Szuranie wielu nóg rozlegało się w różnych warstwach słyszalności; rozlegały się głosy – także na wielu poziomach; jeden, wzdymając się, napływał: pytający; drugi, bliżej, odpowiadał. Spiesząc z głębi, ktoś przemknął i zaczął się ślizgać po kamieniach jak po lodzie. Bas dyrektora wypowiedział pośród gwaru kilka słów – niewyraźnych, lecz bez wątpienia rozkazujących. Najbardziej przerażające było to, że poprzez ten harmider przedzierał się głos dziecka – dyrektor miał córeczkę. Cyncynat rozpoznawał i skarżący się tenorek swojego adwokata, i mamrotanie Rodiona... I znowu ktoś rzucił w biegu głośne pytanie i ktoś głośno odpowiedział. Postękiwanie, trzask, stukot – zupełnie jakby szperano kijem pod ławką. „Nie znaleźli?” – dobiegł z bliska głos dyrektora. Kroki się oddaliły. Oddaliły się, wróciły. Cyncynat był u kresu wytrzymałości, spuścił nogi na podłogę: więc nie pozwolili na widzenie z Marfińką... Czy

zacząć się ubierać, czy może przyjdą mnie przystroić?  
Ach, dość już, proszę wejść...

Męczyli go jednak jeszcze przez jakieś dwie minuty.  
Nagle otworzyły się drzwi, i ślizgając się, wpadł adwokat.

Był rozczochrany i spocony. Skubał lewy mankiet, a jego oczy biegały po celi.

– Zgubiłem spinkę – krzyknął, dysząc szybko jak pies.  
– Zaczepiłem o coś... prawdopodobnie... kiedy z kochaną Emmoczką... zawsze taka psotnica... za poły... jak tylko wstąpię... chodzi o to, że słyszałem, jak coś... ale nie zwróciłem... widocznie łańcuszek... bardzo lubiłem... ale cóż robić... może jeszcze... wszystkim strażnikom obiecałem... szkoda jednak...

– Idiotyczna, senna pomyłka – powiedział cicho Cyncynat. – Fałszywie zrozumiałem to zamieszanie. To szkodzi mi na serce.

– To nic, dziękuję, głupstwo – z roztargnieniem wymamrotał adwokat. Jego oczy myszkowały przy tym po kątach celi. Widać było, że zmartwiła go strata cennego drobiazgu. Było to widać. Strata drobiazgu zmartwiła go. Drobiazg był cenny. Był zmartwiony stratą drobiazgu.

Cyncynat z cichym jękiem opadł z powrotem na poduszkę. Ten drugi usiadł w nogach łóżka.

– Szedłem do pana – powiedział adwokat – taki rześki, wesoły... Teraz jednak przygnębiło mnie to głupstwo – bo koniec końców to jest głupstwo, zgodzi się pan ze mną – są ważniejsze rzeczy. No, i jakże się pan dziś miewa?

– Mam ochotę na szczerą rozmowę – zamknąwszy oczy, odpowiedział Cyncynat. – Chciałbym podzielić się z panem kilkoma konkluzjami. Jestem otoczony nędznymi widziadłami, nie ludźmi. Dręczą mnie one tak, jak mogą dręczyć tylko bezsensowne przywidzenia, złe sny, resztki maligny, męty koszmarów – i wszystko, co uchodzi u nas za życie. Teoretycznie – chciałby się człowiek obudzić. Ale bez pomocy z zewnątrz obudzić się nie mogę, a tej pomocy nieprzytomnie się boję, poza tym moja dusza rozleniwiała się, przywykła do swoich ciasnych powijaków. Ze wszystkich widziadeł, które mnie otaczają, pan, Romanie Wissarionowiczu, jest zapewne najnędźniejszym, ale z drugiej strony – zgodnie z logiką pańskiego stanowiska w naszym wymyślonym bycie – jest pan swego rodzaju doradcą, obrońcą...

– Do pańskich usług – powiedział adwokat uradowany, że Cyncynat w końcu się rozgadał.

– Otóż chciałbym pana spytać: na jakiej podstawie odmawia mi się informacji o dokładnym terminie egzekucji? Chwileczkę – jeszcze nie skończyłem. Tak zwany dyrektor uchyla się od szczerzej odpowiedzi, powołując się na to, że... Chwileczkę! Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, od kogo zależy wyznaczenie terminu. Po drugie, chciałbym wiedzieć, jak dojść do ładu z tą instytucją czy osobą, czy grupą osób...

Adwokat, który przed chwilą próbował coś powiedzieć, teraz z jakichś powodów milczał. Jego umalowana twarz z ciemnoniebieskimi brwiami i długą zajęczą wargą nie

wyrażała szczególnej aktywności umysłowej.

– Niech pan zostawi mankiet – powiedział Cyncynat – i spróbuje się skupić.

Roman Wissarionowicz gwałtownie zmienił pozycję i splótł niespokojne palce. Powiedział płaczliwym głosem:  
– To właśnie za ten ton...

– Ścina się mnie – rzekł Cyncynat – wiem. Dalej!

– Zmieńmy temat, błagam pana – zawołał Roman Wissarionowicz. – Dlaczego nie może pan nawet teraz trzymać się w granicach tego, co dozwolone? Doprawdy, to straszne, to ponad moje siły. Wstąpiłem do pana, ot tak sobie, żeby spytać, czy nie ma pan jakichś zgodnych z prawem życzeń... może chciałby pan dostać na przykład (tu jego twarz ożywiła się) drukowany tekst przemówień wygłoszonych w sądzie? W przypadku takiego życzenia musi pan w jak najkrótszym czasie złożyć odpowiednie podanie, które moglibyśmy teraz wspólnie napisać – wyszczególniając, ile mianowicie egzemplarzy pan potrzebuje i w jakim celu. Akurat mam wolną godzinę, proszę, ach, proszę pana, zajmijmy się tym, właśnie tym! Przygotowałem nawet specjalną kopertę.

– Może dla zabawy... – rzekł Cyncynat – ale najpierw... Czyżby naprawdę nie można było uzyskać odpowiedzi?

– Specjalną kopertę – kusząco powtórzył adwokat.

– Świetnie, proszę mi ją dać – powiedział Cyncynat i podarł grubą kopertę wraz z zawartością na wijące się strzępki.

– Nie powinien był pan – krzyknął na wpół z płaczem

adwokat. – Nie powinien był pan tego robić. Nie wie pan nawet, co pan zrobił. Może tam było ułaskawienie. Drugiego nie da się zdobyć!

Cyncynat podniósł garść strzępków i usiłował odtworzyć choć jedno pełne zdanie, ale wszystko było pomieszane, zniekształcone, rozdarte.

– Pan tak zawsze – skowyczał адвокат, ściskając dłońmi skronie i chodząc po celi.

– Może ocalenie było w pańskich rękach, a pan je... Straszne! No, i co ja mam z panem zrobić? Teraz wszystko przepadło... A tak się cieszyłem... Tak pana przygotowywałem...

– Można? – przeciągłym głosem spytał dyrektor, uchylając drzwi. – Nie będę przeszkadzał?

– Prosimy, Rodrygu Iwanowiczu, prosimy – powiedział адвокат – prosimy, drogi Rodrygu Iwanowiczu. Tylko że nie za bardzo u nas wesoło...

– No, a jakże tam dzisiaj nasz miły skazaniec – zażartował elegancki i pełen godności dyrektor, ściskając w mięsistych liliowych łapach malutką chłodną rękę Cyncynata.

– Wszystko w porządku? Nic nie boli? Gawędzi pan sobie z naszym niestrudzonym Romanem Wissarionowiczem? Ale, ale, Romanie Wissarionowiczu, gołąbeczku... mam dla pana dobrą wiadomość – moja łobuzica właśnie znalazła na schodach pańską spinkę. *La uoici*. To przecież amerykańskie złoto, nieprawdaż? Bardzo wytworne. Komplementów na ogół nie prawię, ale

muszę powiedzieć...

Obaj przeszli w kąt celi, udając, że oglądają urocze cacko, omawiają jego historię i wartość, podziwiają je. Cyncynat skorzystał z okazji, żeby wyciągnąć spod łóżka – i z delikatnym jak dzwonienie paciorków dźwiękiem, pod koniec lekko zająkliwym...

– Tak, z wielkim smakiem, z wielkim smakiem – powtarzał dyrektor, wracając z kąta pod rękę z adwokatem. – Tak więc jest pan zdrow, młody człowieku – bezmyślnie zwrócił się do Cyncynata, który z powrotem gramolił się na łóżko. – Nie trzeba jednak kaprysić. Publiczność – i my wszyscy jako przedstawiciele publiczni pragniemy pańskiego dobra, to chyba jasne. Jesteśmy nawet gotowi pójść panu na rękę i zmniejszyć ciężar samotności. W najbliższych dniach jedną z naszych specjalnych cel zajmie nowy więzień. Poznacie się i to pana rozerwie.

– W najbliższych dniach? – spytał Cyncynat. – To znaczy, że będzie ich jeszcze kilka?

– No nie, to ci dopiero – zaśmiał się dyrektor – wszystko musi wiedzieć. Co, Romanie Wissarionowiczu?

– Niech pan nawet nie wspomina, mój drogi – westchnął adwokat.

– Tak jest – ciągnął jego przedmówca, potrząsając kluczami – trochę dobrej woli, skłonności do współpracy, łaskawco. Ciągłe tylko: hardość, gniew, kpinki. Wczoraj pod wieczór przynoszę mu je, znaczy się te śliwki – no, i co pan myśli? – jego wysokość nie raczył zjeść, pogardził.

Tak jest. Ale zacząłem o tym nowym więźniu. Jeszcze się nagadacie, nie ma co tak uszu zwieszać. Dobrze mówię, Romanie Wissarionowiczu?

– Tak, Rodionie, tak – z mimowolnym uśmiechem zgodził się adwokat.

Rodion pogładził brodę i mówił dalej: – Strasznie mi się żal zrobiło jego wysokości, wchodzę i co widzę? – stoi na stole i stołku, rączki-nóżki do kraty wyciąga, całkiem jak jakaś bidna chora małpka. A niebo to niebieściutkie, jaskółeczki latają i obłoczki takie – prawdziwy raj, raadość! Zdejmuję jegomością jak małe dzieciątko, niby ze stołu, a sam ryczę – słowo daję – ryczę. Strasznie mnie, znaczy się, ta żałość rozebrała.

– Może by go tak wziąć na górę? – niepewnie zaproponował adwokat.

– Czemu nie, owszem, można – ze stateczną dobroduszością, przeciągając słowa, powiedział Rodion – to zawsze można.

– Niech pan włoży szlafrok – rzekł Roman Wissarionowicz.

Cyncynat powiedział: – Poddaję się wam, widziadła, wilkołaki, parodie. Poddaję się wam.

Niemniej jednak żądam – słyszycie, żądam (i ten inny Cyncynat zaczął histerycznie tupać, gubiąc przy tym pantofle) – żeby mi powiedziano, ile mi jeszcze życia zostało... i czy dostanę widzenie z żoną.

– Prawdopodobnie dostanie pan – odparł Roman Wissarionowicz, wymieniwszy spojrzenia z Rodionem. –

Niech pan tylko nie mówi tak dużo. No, chodźmy.

– Proszę bardzo – powiedział Rodion i pchnął ramieniem otwarte drzwi.

Cała trójka wyszła: najpierw – Rodion, kulawy, w starych wypłowiałych i obwisłych z tyłu szarawarach; za nim – adwokat, we fraku, z plamką brudu na celuloidowym kołnierzyku i rąbkiem różowego muślinu na karku, tam gdzie kończyła się czarna peruczka; w końcu, za nim – Cyncynat, gubiąc pantofle, otulając się szczelniej szlafrokiem.

Na zakręcie korytarza inny strażnik, bezimienny, przyjacielsko im zasalutował. Białe kamienne światło przeszło w obszary półmroku. Szli, szli – zakręt za zakrętem – i kilkakrotnie przechodzili obok tego samego zacieku na ścianie, przypominającego jakiegoś strasznego konia z wystającymi zębami. Tu i ówdzie trzeba było włączyć światło; gorzkim, żółtym blaskiem zapalała się zakurzona żarówka, u góry lub z boku. Zdarzało się zresztą, że była przepalona i wówczas szurali nogami w gęstych ciemnościach. W pewnym miejscu, gdzie nieoczekiwanie i niewytłumaczalnie padał z góry błękitny promień, i załamując się na wyszczerbionych kamiennych płytach, mgił się i lśnił, córka dyrektora, Emmoczka, w lśniącej kraciastej sukience i kraciastych skarpetkach – zwyczajne dziecko, ale dziecko z marmurowymi łydkami małych tancerek – bawiła się piłką; piłka jednostajnie uderzała o ścianę. Dziewczynka odwróciła się, czwartym i piątym palcem odgarniając z policzka jasny kosmyk, i

odprowadziła wzrokiem króciutki pochód. Rodion, przechodząc, pieszczotliwie brzęknął kluczami; adwokat przelotnie pogładził ją po błyszczących włosach; ona jednak patrzyła na Cyncynata, który uśmiechnął się do niej lękliwie. Dotarłszy do następnego zakrętu, wszyscy trzej się obejrzel. Emmoczka spoglądała w ślad za nimi, lekko pluskając połyskującą czerwono-niebieską piłką.

Znów długo szli w ciemności, dopóki nie znaleźli się w korytarzyku bez wyjścia, gdzie ponad zwiniętym węzem przeciwpożarowym paliła się czerwona żarówka. Rodion otworzył niskie kute drzwiczki; za nimi stromo wiły się w górę stopnie kamiennych schodów. Tutaj kolejność trochę się zmieniła: Rodion, w stałym rytmie maszerując w miejscu, przepuścił najpierw adwokata, potem Cyncynata i płynnie zajmąwszy miejsce w szeregu, zamknął pochód. Po stromych schodach – ich stopniowemu rozwojowi towarzyszyło powolne rozjaśnianie się mgły, w której schody rosły – piąć się nie było łatwo, a wspinali się tak długo, że Cyncynat z nudów zaczął liczyć stopnie, doszedł już do trzycyfrowej liczby, ale potknął się i wszystko mu się poplątało. Powietrze z wolna bladeło. Cyncynat, zmęczony, wspinał się jak dziecko, każdy krok zaczynając od tej samej nogi. Jeszcze jeden zakręt, i nagle nadleciał gęsty wiatr, oślepiająco rozwarło się letnie niebo, przenikliwie zadźwięczały krzyki jaskółek.

Nasi podróżnicy znaleźli się na szerokim tarasie położonym na szczycie wieży, skąd rozpościerał się zapierający dech rozległy widok, nie tylko bowiem wieża

była potężna, ale również cała twierdza piętrzyła się potężnie na potężnej skale, wydając się jej monstrualną naroślą. Daleko w dole widać było niemal pionowe winnice i wijącą się cielistą drogę, schodzącą ku bezwodnemu korytu rzeki; przez wygięty most szedł ktoś bardzo malutki w czerwieni, biegnąca przed nim plamka była z pewnością psem.

Dalej dużym półkolem w nasłonecznionym miejscu rozłożyło się miasto: różnokolorowe domy to szły równymi szeregami w towarzystwie krągłych drzew, to krzywo spleziały po zboczach, następując na swoje własne cienie – można było dostrzec ruch uliczny na Pierwszym Bulwarze i szczególne migotanie na jego końcu, gdzie biła słynna fontanna. A jeszcze dalej, w kierunku zamglonych fałd wzgórz, zamykających horyzont, ciągnęły się ciemne, pomarszczone smugi dębowych zagajników, tu i ówdzie jak lustерko błyskał staw – a inne jasne owale wody gromadziły się, płonąc pośród delikatnej mgły, tam, na zachodzie, gdzie zaczynało się życie krętej Stropi. Cyncynat, przytuliwszy dłoń do policzka, w nieruchomej rozpaczy, nad wyraz mętnej i bodaj nawet błogiej, spoglądał na blask i mgłę Ogrodów Tamary, na szaroniebieskie, topniejące wzgórza za nimi – ach, długo nie mógł się oderwać...

Kilka kroków od niego, o szeroki kamienny parapet, porośnięty z wierzchu jakąś przedsiębiorczą trawą, oparł łokcie adwokat; jego plecy były powalane wapnem. W zadumie patrzył w przestrzeń, lewym lakierkiem

następując na prawy i tak mocno rozciągając palcami policzki, że mu się wywracały dolne powieki. Rodion znalazł gdzieś miotłę i zamiatał w milczeniu kamienne płyty tarasu.

– Jakież to wszystko urocze – zwrócił się Cyncynat do ogrodów, do wzgórz (i z jakiegoś powodu szczególnie przyjemnie było powtarzać słowo „urocze” pośród wiatru; przypominało to zabawę dzieci, które to zatykają, to znów odsłaniają uszy, ciesząc się odnowieniem słyszalnego świata). – Urocze! Nigdy nie widziałem tych wzgórz tak właśnie wyglądających, tak tajemniczo. Czy rzeczywiście w ich fałdach, w ich cienistych dolinach nie mógłbym... Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Obszedł taras dookoła. Na północy rozciągała się równina; sunęły po niej cienie obłoków; łąki przechodziły w pola uprawne; za zakrętem Stropi widniały na wpół zarosłe zielskiem kontury lotniska i budynek, w którym trzymano czcigodny zgrzybiały samolot z pstrymi łatami na zrudziałych skrzydłach; czasami używano go jeszcze w święta – głównie dla rozrywki kalek. Materia była zmęczona. Czas słodko drzemał. Był w mieście pewien człowiek, aptekarz, którego pradziad, jak mówią, zostawił pamiętnik; opisywał w nim, jak kupcy latali do Chin.

Obszedłszy taras, Cyncynat wrócił do jego południowego parapetu. Oczy Cyncynata odbywały najbardziej sprzeczne z prawem przechadzki. Teraz wyobrażał sobie, że dostrzega ten kwitnący krzak, tego ptaka, tę ginącą pod okapem bluszczu ścieżkę.

– No, dosyć tego dobrego – dobrodusznie powiedział dyrektor, rzucając miotłę w kąt i na powrót wkładając surdut. – Jazda do domu.

– Tak, już czas – odezwał się adwokat, spoglądając na zegarek.

I ten sam maleńki pochód ruszył w drogę powrotną. Najpierw – dyrektor Rodryg Iwanowicz, za nim – adwokat Roman Wissarionowicz, za nim – więzień Cyncynat, poziwając po dawce świeżego powietrza. Surdut dyrektora był z tyłu powalany wapnem.

## Rozdział IV

Weszła, wykorzystując poranne odwiedziny Rodiona, prześliznąwszy się pod jego rękami, w których trzymał tacę.

– Ej, ej, ej – zawołał ostrzegawczo, zaklinając czekoladową burzę. Delikatną nogą zamknął za sobą drzwi, mamrocząc w wąsy: – A to ci swawolnica...

Emmoczka tymczasem, chowając się przed nim, przycupnęła za stołem.

– Książkę pan czyta? – zauważył Rodion, promieniując dobrocią. – Pożyteczne zajęcie.

Cyncynat, nie podnosząc oczu znad kartki, wydał pomruk, jambiczne potwierdzenie, ale oczy nie chwytaly już linijek tekstu.

Rodion wypełnił swoje nieskomplikowane obowiązki: pogonił szmatką kurz, nagle roztańczony w smudze światła, nakarmił pająka – i wyszedł.

Emmoczka – wciąż jeszcze przycupnięta, ale już nieco swobodniejsza, nieznacznie się kołysząc, jak na resorach – skrzyżowała obnażone pokryte puszką ramiona, rozchyliła różowe usta, i mrugając długimi, bladymi, niemal jakby siwymi rzesami, patrzyła ponad stołem na drzwi. Znajomy już ruch: szybko, pierwszymi palcami, jakie się trafiły, odgarnęła ze skroni lniane włosy, z ukosa rzuciwszy spojrzenie na Cyncynata, który odłożył książkę i czekał, co będzie dalej.

– Poszedł – powiedział Cyncynat.

Emmoczka wstała z kucek, ale ciągle jeszcze przygarbiona patrzyła na drzwi. Była zakłopotana, nie wiedziała, co ma przedsięwziąć. Nagle wyszczerzyła w uśmiechu zęby, błysnęła swoimi łydkami baletnicy i rzuciła się do drzwi – oczywiście zamkniętych. Jej szarfa z mory sprawiła, że powietrze w celi się ożywiło.

Cyncynat zadał jej dwa zwykłe w takich razach pytania. Krygując się, wymieniła imię i powiedziała, że dwanaście.

– Nie żal ci mnie? – spytał Cyncynat.

Nic na to nie odpowiedziała. Podniosła do twarzy gliniany dzban, który stał w kącie. Pusty, z głuchym pogłosem. Pohukała w jego głębinę, chwilę później znów się cisnęła – i teraz stała plecami do ściany, opierając się o nią tylko łopatkami i łokciami, ślizgając się do przodu na wyprężonych stopach w płaskich pantofelkach – i znów wracając do pionu. Uśmiechnęła się sama do siebie i chmurnie, jak na nisko stojące słońce, spojrzała na Cyncynata, nie przestając się ześlizgiwać. Wszystko wskazywało na to, że było to dzikie, niespokojne dziecko.

– Naprawdę nie żal ci mnie? – powiedział Cyncynat. – Niemożliwe, nie mogę w to uwierzyć. No, chodź tutaj, głupiutka sarenko, i mów, za ile dni umrę.

Emmoczka jednak nic nie odpowiedziała, tylko zsunęła się na podłogę i spokojnie usiadła, przyciskając podbródek do podciągniętych i ściśniętych kolan, na które naciągnęła sukienkę, ukazując od dołu gładkie uda.

– Emmoczka, powiedz mi – tak cię proszę... Ty

przecież wszystko wiesz – czuję, że wiesz... Ojciec mówił przy stole, matka mówiła w kuchni... Wszyscy, wszyscy mówią. We wczorajszej gazecie wycięli zgrabne okienko – to znaczy, że gadają o tym i tylko ja jeden...

Jak porwana wichrem zerwała się z podłogi, i znowu rzuciwszy się do drzwi, zaczęła w nie łomotać – nie dłońmi, ale raczej piętami rąk. Jej rozpuszczone, jedwabistoblade włosy kończyły się długimi lokami.

„Gdybyś była dorosła – pomyślał Cyncynat – gdyby twoja dusza pokryta była choć odrobiną mojej patyny, to, jak w poetyckiej starożytności, mych strażników spoiłabyś winem, najciemniejszą wybrawszy godzinę... ”.

– Emmoczko! – krzyknął – błagam cię, powiedz mi, nie dam ci spokoju, powiedz mi, kiedy umrę?

Obgryzając palec, podeszła do stołu, na którym piętrzyły się książki. Gwałtownym ruchem otworzyła jedną z nich, przerzuciła ją z szelestem, omal nie wyrywając kartek, zamknęła z trzaskiem, wzięła inną. Jakiś dreszcz przebiegał po jej twarzy – to marszczył się piegowaty nos, to język wypychał od wewnątrz policzek.

Szczęknięły drzwi: Rodion, który widocznie spojrzał przez judasza, wszedł mocno rozgniewany.

– A sio, panienko! Dostanie mi się za to, dostanie mi się.

Zachichotała piskliwie, wymknęła się jego krabowatej dłoni i rzuciła do otwartych drzwi. Tam, na progu, zatrzymała się nagle z urzekającą taneczną precyzją – i, ni to posyłając zwiewny pocałunek, ni to zawierając sojusz

milczenia, spojrzała przez ramię na Cyncynata; po czym – z tą samą rytmiczną nagłością – zerwała się i uciekła dużymi, wysokimi, sprężystymi krokami, już przygotowującymi wzlot.

Rodion, burcząc, brzęcząc kluczami, ciężko podążał za nią.

– Chwileczkę! – krzyknął Cyncynat. – Przeczytałem już wszystkie książki. Proszę mi znowu przynieść katalog.

– Książki... – ze złością uśmiechnął się Rodion i z ostentacyjnym hałasem zamknął za sobą drzwi.

Jakaż udreka! Cyncynacie, jakaż udreka! Jakaż kamienna udreka, Cyncynacie – i bezlitosne uderzenia zegara, i opasły pajak, i żółte ściany, i szorstkość czarnej wełnianej kołdry. Pianka na czekoladzie. W samym środku chwycić dwoma palcami i zerwać całą z powierzchni – już nie płaską powłokę, ale pomarszczoną brązową spódniczkę. A płyn pod nią letni – słodkawy, zastały. Trzy grzanki w wypaleniskach szyldkretowych miseczek. Krążek masła z odcisniętym monogramem dyrektora. Jakaż udreka, Cyncynacie, ileż okruchów w pościeli.

Posmuciwszy się, pojęczawszy, pochrzęściwszy wszystkimi stawami, Cyncynat wstał z łóżka, włożył zniechęcony szlafrok i zaczął wędrować po celi. Raz jeszcze obejrzał wszystkie napisy na ścianach w nadziei, że odkryje gdzieś nowy. Jak świeżo opierzona wrona na pniaku, stał długo na krześle, nieruchomo spoglądając w górę na zebraczą porcję nieba. Znow chodź w kółko.

Znów czytał osiem punktów znanego mu już na pamięć regulaminu więziennego:

1. Bezwarunkowo zabrania się opuszczać budynek zakładu.

2. Potulny więzień jest chlubą więzienia.

3. Uprasza się o zachowanie ciszy codziennie między godz. 13 a 15.

4. Zabrania się wprowadzania kobiet.

5. Śpiew, tańce i żarty ze strażnikami dozwolone są tylko za obopólną zgodą i w określone dni.

6. Pożądane jest, aby więzień nie miewał snów (w przeciwnym razie powinien niezwłocznie je przerywać), których treść mogłaby być sprzeczna z pozycją i mianem więźnia, takich jak: wspaniałe krajobrazy, spacery ze znajomymi, obiady rodzinne, a także stosunki seksualne ze wszystkimi tymi, którzy w realnej rzeczywistości i na jawie nie zezwoliliby rzeczonyj osobie na zbliżenie, wobec czego będzie ona uznana przez prawo za winną gwałtu.

7. Korzystając z gościnności więzienia, więzień ze swej strony nie powinien uchylać się od udziału w pracach porządkowych i innych zajęciach personelu więziennego w takim stopniu, w jakim zostanie mu to zaproponowane.

8. Dyrekcja w żadnym wypadku nie odpowiada za rzeczy zaginione, jak i za zaginięcie samego więźnia.

Udręka, udręka, Cyncynacie. Wędruj dalej, Cyncynacie, zahaczając szlafrokiem to o ścianę, to o krzesło. Udręka! Stosy książek na stole – wszystkie

przeczytane. I chociaż wiedział, że wszystkie przeczytane, Cyncynat poszukał, poszperał, zajrzał do grubego tomu... nie siadając, przerzucił znane mu już stronicę.

Był to oprawiony rocznik czasopisma, które wychodziło kiedyś dawno – w ledwie dającym się wyobrazić wieku. Biblioteka więzienna, ze względu na liczbę i rzadkość posiadanych książek uważana za drugą w mieście, miała kilka takich kuriozów. Był to daleki świat, gdzie najzwyklejsze przedmioty skrzyły się młodością i wrodzonym zuchwalstwem, wynikającym z czci, jaka otaczała pracę włożoną w ich wykonanie. Były to lata powszechnej płynności; naoliwiony metal wykonywał bezgłośnie akrobacje; niesłychana gibkość muskularnych ciał dyktowała zgrabne linie garniturów; gładkie szkło ogromnych okien zaginało się na rogach domów; dziewczyna w kostiumie kąpielowym leciała swobodną jaskółką ponad błyszczącym basenem – tak wysoko, że wydawał się on nie większy od spodka; skoczek wzwyż leżał na wznak w powietrzu, osiągnąwszy już taką krańcowość wysiłku, że gdyby nie chorągiewkowe fałdy na spodenkach z lampasami, przypominałoby to leniwy spoczynek; i bez końca lała się, płynęła woda; wdzięk spadającej wody, oślepiające szczegóły łazienek, atlasowe zmarszczki oceanu z padającym na nie dwuskrzydłym cieniem. Wszystko było lśniące, migotliwe; wszystko namiętnie ciążyło ku pewnego rodzaju doskonałości, dającej się określić jedynie jako brak tarcia. Upajając się wszystkimi

pokusami koła, życie dowierciło się do takiego zawrotu głowy, że ziemia uciekła spod nóg, i pośliznąwszy się, upadłszy, osłabnąwszy od mdłości i rozmarzenia... czy mam powiedzieć?... znalazłszy się jakby w innym wymiarze... Tak, materia postarzała się, zmęczyła, niewiele ocalało z legendarnych czasów – dwie lub trzy maszyny dwie lub trzy fontanny – i nikomu nie było żal przeszłości, a nawet samo pojęcie „przeszłości” uległo przeobrażeniu.

„A może – pomyślał Cyncynat – błędnie interpretuję te obrazki. Epoce nadaję cechy jej fotografii. To bogactwo cieni i potoki światła, i połysk opalonego ramienia, i niezwykle odbicie, i płynne przejście z jednego żywiołu w drugi – wszystko to jest, być może, jedynie właściwością zdjęcia, szczególnego rodzaju światłodruku, szczególnych form tej sztuki, a w istocie świat wcale nie był taki falisty, wilgotny i prędko – zupełnie jak w przypadku naszych nieskomplikowanych aparatów, które po swojemu utrwalają nasz dzisiejszy naprędce sklecony i pomalowany świat”.

„A może (Cyncynat zaczął szybko pisać na kratkowanej kartce) błędnie interpretuję... Epoce nadaję... To bogactwo... Potoki... Płynne przejście... A w istocie świat... Zupełnie jak w przypadku... Czy takie przypuszczenia mogą jednak zmniejszyć moją udrekę? Ach, moja udreko – co mam zrobić z tobą, z sobą? Jak śmiać trzymać przede mną w tajemnicy... Ja, który mam przejść przez najboleśniejszą z prób, ja, który dla

zachowania godności, choćby powierzchownej (tak czy owak poza milczącą bladość nie wyjdę – tak czy owak nie jestem bohaterem... ), muszę w chwili tej próby panować nad swoim ciałem i duchem, ja, ja... słabnę powoli... nieświadomość jest straszna – no, powiedzcież mi wreszcie... Ale nie, masz martwić każdego ranka... Poza tym, gdybym wiedział, ile zostało mi jeszcze czasu, mógłbym coś... Niewielką pracę... zapis pewnych przemyśleń... Ktoś kiedyś przeczyta i poczuje się tak, jakby pierwszy raz zbudził się w nieznanym kraju. To znaczy, chcę powiedzieć, sprawiłbym, że zalałyby się nagle łzami szczęścia, że jego oczy stopniałyby – a kiedy tego doświadczy, świat będzie czystszy, obmyty, odświeżony. Jakże mam się zabrać do pisania, jeśli nie wiem, czy zdążę, i męka polega właśnie na tym, że mówisz sobie: przecież wczoraj bym zdążył – i znów myślisz: przecież wczoraj bym... I zamiast koniecznej, jasnej i dokładnej pracy, zamiast rytmicznej zaprawy przygotowującej duszę do chwili porannego wstawania, kiedy... wiadro kata, kiedy podadzą ci, duszo, żebyś się umyła... więc zamiast tego mimowolnie oddajesz się banalnym i bezsensownym marzeniom o ucieczce – niestety, o ucieczce... kiedy dzisiaj przybiegła, tupiąc i chichocząc – to znaczy, chcę powiedzieć... Nie, trzeba przecież coś utrwalić, zostawić. Nie jestem zwyczajnym... ja jeden pośród was jestem żywy... Nie tylko moje oczy są inne i słuch, i smak, nie tylko węch jak u jelenia, a dotyk jak u nietoperza – co innego jest najważniejsze: dar połączenia tego

wszystkiego w jednym punkcie... Nie, nie odkryłem jeszcze tajemnicy – nawet to jest tylko krzesiwem – jeszcze nawet nie napomknąłem o rozpaleniu ognia, o nim samym. Moje życie. Kiedyś w dzieciństwie na dalekiej wycieczce szkolnej, odłączywszy się od innych – a może mi się to przyśniło – trafiłem w upalne południe do sennego miasteczka, tak sennego, że kiedy człowiek drzemiący na przyzbie pod jasną pobielaną ścianą wstał wreszcie, żeby mi pokazać drogę, jego niebieski cień na ścianie nie od razu za nim podążył... och, wiem, że było to moje przeoczenie, pomyłka, że cień wcale nie marudził, lecz po prostu – powiedzmy – zaczepił o chropowatość ściany... ale właśnie o to mi chodzi: między ruchem człowieka a ruchem opieszałego cienia – ta sekunda, ta synkopa – to właśnie jest ów rzadki rodzaj czasu, w którym żyję – pauza, przerwa, kiedy serce jest jak piórko... I napisałbym jeszcze o ustawicznym drzeniu... i o tym, że część moich myśli zawsze tłoczy się wokół niewidzialnej pępowiny łączącej świat z czymś – jeszcze nie powiem, z czym... Lecz jakże mi o tym pisać, skoro boję się, że nie zdążę, że niepotrzebnie rozjątrzę... Kiedy dzisiaj przybiegła – jeszcze dziecko – oto, co chcę powiedzieć – jeszcze dziecko, ale z pewnymi furtkami dla mojej myśli – zastanawiałem się słowami starożytnych wierszy – mych strażników społabyś winem... uratowałyabyś mnie. Gdyby tylko została takim dzieckiem, a jednocześnie wydorowała, zrozumiała – i udałoby się: płonące policzki, czarna wietrzna noc, ratunek, ratunek... I

na próżno powtarzam sobie, że nie ma dla mnie na świecie schronienia... Jest! Znajdę je! Kwitnący wawóz na pustyni! Trochę śniegu w cieniu górskiej skały! A przecież to jest niezdrowe – to, co robię – i tak jestem słaby, a rozpalam się, marnując resztki sił. Jakaż udreka, ach, jakaż... I oczywiście jest dla mnie, że nie zdarłem jeszcze ostatniej błony ze swojego strachu".

Zamyślił się. Potem odrzucił ołówek, wstał, zaczął chodzić. Dobięły go uderzenia zegara. Posługując się ich dźwiękiem jak platformą, na powierzchnię wspięły się kroki; platforma rozplynęła się, kroki pozostały i oto weszli do celi: Rodion z zupą i pan bibliotekarz z katalogiem.

Był to zdrowo wysoki, lecz chorobliwie wyglądający mężczyzna, blady, z cieniami pod oczyma, z łysiną otoczoną ciemnym wianuszkim włosów, z długim tułowiem w niebieskim swetrze – miejscami wypłowiałym, z granatowymi łatami na łokciach. Ręce trzymał w kieszeniach śmiertelnie wąskich spodni, a pod pachą ścisnął dużą księgę oprawną w czarną skórę. Cyncynat już raz miał przyjemność go widzieć.

– Katalog – powiedział bibliotekarz, którego mowa odznaczała się swego rodzaju arogancką lakonicznością.

– Doskonale, proszę mi go zostawić – odparł Cyncynat – coś sobie wybiorę. Jeśli chce pan zaczekać, usiąść – to proszę. A jeśli woli pan iść...

– Iść – powiedział bibliotekarz.

– Doskonale. Wobec tego katalog przekażę później

Rodinowi. To może pan zabrać... Te tygodniki starożytnych – piękne, wzruszające... Z tym ciężkim tomem, wie pan, jak z balastem poszedłem na dno czasów. Zachwycające doznanie.

– Nie – powiedział bibliotekarz.

– Proszę mi przynieść więcej, wypiszę, jakie lata. I jakąś powieść, coś nowszego. Idzie pan już? Ma pan wszystko?

Zostawszy sam, Cyncynat zajął się zupą; jednocześnie kartkował katalog. Zasadnicza jego część była starannie i pięknie wydrukowana; pośród tekstu drukowanego znajdowało się wiele tytułów wpisanych ręcznie czerwonym atramentem – drobnym, ale wyraźnym pismem. Laikowi trudno się było zorientować w zawartości katalogu, gdyż tytuły ułożone były nie w porządku alfabetycznym, lecz według liczby stron, przy czym zaznaczano także, ile dodatkowych kartek wklejono (aby uniknąć niepożądanych zbieżności) do tej czy innej książki. Dlatego też Cyncynat szukał bez określonego celu, wybierając to, co akurat wydawało mu się interesujące. Katalog utrzymany był we wzorowej czystości; tym bardziej dziwił fakt, że na białym odwrocie jednej z pierwszych stron dziecięca ręka wykonała ołówkiem serię rysunków, których treści Cyncynat nie od razu się domyślił.

## Rozdział 5

– Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje – lepkiem basem powiedział dyrektor, wchodząc następnego ranka do celi Cyncynata.

Rodryg Iwanowicz wydawał się jeszcze bardziej wystrojony niż zwykle: plecy jego odświętnego surduta były, jak u woźniców, utuczone watą – szerokie i nabite; peruczka lśniła jak nowa; pulchne ciasto podbródka było upudrowane jak kołacz, a w butonierce różował woskowy kwiatek z nakrapianym pyskiem. Spoza okazałej postaci dyrektora, który uroczyście zatrzymał się na progu, zaglądali z ciekawością pracownicy służby więziennej, także odświętnie wystrojeni i także wypomadowani. Rodion przypiął sobie nawet jakiś orderek.

– Jestem gotów. Zaraz się ubiorę. Wiedziałem, że to dzisiaj.

– Gratulacje – powtórzył dyrektor, nie zwracając uwagi na gorączkowe ruchy Cyncynata. – Przypadł mi w udziale zaszczyt zawiadomienia, że od dzisiaj ma pan sąsiada – tak, tak, właśnie przyjechał. Naczekał się pan, co? No nic, teraz – z powiernikiem, z towarzyszem zabawy i pracy nie będzie już tak nudno. Poza tym – ale to oczywiście musi zostać między nami – mogę pana poinformować, że przyszło pozwolenie na widzenie z żoną: *demain matin*.

Cyncynat opadł z powrotem na poduszkę i powiedział:

– Tak, to dobrze. Dziękuję panu, kukło, woźnico,

malowana świnio... Przepraszam, jestem trochę...

W tym momencie ściany celi zaczęły się wybrzuszać i marszczyć – jak odbicia na poruszonej wodzie: dyrektor zafalował, łóżko zmieniło się w łódkę. Cyncynat chwycił się burty, żeby nie stracić równowagi, ale dulka została mu w rękę – i zanurzony po szyję w tysiącach nakrapianych kwiatów, popłynął, zaplątał się w coś i zaczął tonąć. Zakasawszy rękawy, wzięli się do dragów i bosaków, szturchali go, zahaczali od spodu, ciągnęli do brzegu. Wyciągnęli.

– Jesteśmy nerwowi jak mała kobietka – z uśmiechem powiedział lekarz więzienny vel Rodryg Iwanowicz. – Proszę oddychać swobodnie. Jeść może pan wszystko. Czy poci się pan w nocy? Tylko tak dalej, jeśli będzie pan grzeczny, to – kto wie, kto wie – może pozwolimy zerknąć jednym okiem na tego nowego... ale uwaga, tylko zerknąć i tylko jednym...

– Jak długo... to widzenie... ile mi dadzą... – z trudem wymamrotał Cyncynat.

– Za chwilę, za chwilę. Niech się pan tak nie spieszy, nie gorączkuje. Obiecaliśmy pokazać, to pokażemy. Proszę włożyć pantofle, przygładzić włosy. Myślę, że... – dyrektor spojrzał pytająco na Rodiona, który kiwnął głową. – Tylko proszę zachować całkowite milczenie – zwrócił się znowu do Cyncynata – i nie chwytać niczego w rękę. No, niech pan wstaje, niech pan wstaje. Nie zasłużył pan na to, łaskawco, źle się pan zachowuje, ale mimo wszystko jest pozwolenie... Teraz ani słowa,

cichuteńko...

Na palcach, chwytając rękami równowagę, Rodryg Iwanowicz wyszedł z celi, a razem z nim Cyncynat w swoich za dużych sepleniących pantoflach. W głębi korytarza, przy drzwiach z imponującymi skoblami stał już lekko zgarbiony Rodion, i odchyliwszy klapkę, patrzył przez judasza.

Nie odrywając się od niego, uczynił ręką gest nakazujący jeszcze większą ciszę, który niepostrzeżenie przeszedł w inny – zapraszający. Dyrektor jeszcze wyżej uniósł się na palcach, odwrócił się z groźnym grymasem na twarzy, ale Cyncynat nie mógł nie szurać nieco pantoflami. Tu i ówdzie gromadziły się w półmroku korytarzy niewyraźne postaci pracowników służby więziennej, garbiły się, przyłożonymi do czoła dłońmi osłaniały oczy, jak gdyby chciały dojrzeć coś w oddali. Laborant Rodion ustąpił Rodrygowi Iwanowiczowi miejsca przy nastawionym okularze. Skrzypnąwszy solidnie plecami, Rodryg Iwanowicz chciwie wbił wzrok... Tymczasem w szarym mroku niewyraźne postaci bezgłośnie przebiegały z miejsca na miejsce, bezgłośnie się nawoływały, formowały w szeregi – i oto już przesuwały się w miejscu, jak tłoki, ich liczne miękkie nogi, szykując się do wystąpienia. Dyrektor wreszcie powoli się odsunął i leciutko pociągnął Cyncynata za rękaw, zapraszając go jak profesor laika, który przypadkiem wpadł na chwilę, do obejrzenia preparatu. Cyncynat potulnie przybliżył oko do świecącego kółka. Z

początku widział tylko bąbelki słonecznego blasku, barwne smugi, potem zobaczył łóżko, takie samo jak w jego celi; obok niego stały dwie porządnie wyglądające walizki z błyszczącymi zamkami i duży podłużny futerał, przypominający futerał puzonu...

– No co, widzi pan coś? – wyszeptał dyrektor, przysuwając się blisko i pachnąc jak lilie w otwartej trumnie.

Cyncynat kiwnął głową, chociaż nie widział jeszcze najważniejszego; skierował spojrzenie w lewo i wtedy dopiero zobaczył!

Na krześle, bokiem do stołu, nieruchomo, jakby był zrobiony z cukru, siedział bezbrody tłuscioszek, mniej więcej trzydziestoletni, ubrany w staromodną, ale czystą i świeżo wyprasowaną pizamkę więzienną – cały w paski: w pasiastych skarpetkach, w nowiutkich safianowych pantoflach; założywszy jedną krótką nogę na drugą, trzymając się pulchnymi rękami za goleń, pokazywał dziewiczy spód stopy; na małym palcu błyskał przejrzysty akwamaryn, jasnokasztanowe włosy na zdumiewająco krągłej głowie rozdzielał pośrodku przedziałek, długie rzęsy rzucały cień na cherubinkowaty policzek, pomiędzy malinowymi wargami połyskiwała biel wspaniałych, równiutkich zębów. Cały był jakby z lekka powleczonego blaskiem, z lekka się roztopiał w snopie słonecznego światła, lejącego się na niego z góry. Na stole nie było nic prócz eleganckiego zegara podróznego w skórzanym obramowaniu.

– Dosyć – z uśmiechem szepnął dyrektor – ja też ciem – i znowu przylgnął do otworu.

Rodion pokazał Cyncynatowi na migi, że pora wracać do siebie. Niewyraźne postaci pracowników pełne szacunku podchodziły gęsiego: za plecami dyrektora ustawiała się już cała kolejka pragnących także popatrzeć; niektórzy przyprowadzili swoich najstarszych synów.

– Stanowczo pana rozpieszczamy – burknął na zakończenie Rodion i długo nie mógł otworzyć drzwi do celi Cyncynata, poczęstował je nawet soczystym rosyjskim przekleństwem – i to poskutkowało.

Wszystko ucichło. Wszystko było jak zawsze.

– Nie, nie wszystko, przyjdiesz do mnie jutro – powiedział na głos Cyncynat, dygocząc jeszcze po niedawnym zawrocie głowy.

„Co ci powiem? – myślał dalej, dalej mamrotał, dalej drżał. – Co ty mi powiesz? Pomimo wszystko kochałem cię i będę cię kochał – na kolanach, z ramionami ściągniętymi do tyłu, pokazując katu pięty i naprężając gęsią szyję – wszystko jedno, nawet wtedy. I potem – może przede wszystkim potem – będę cię kochał i kiedyś dojdzie między nami do prawdziwych, wyczerpujących wyjaśnień – i wtedy już jakoś dopasujemy się do siebie, zetkniemy właściwymi krawędziami, rozwiążemy łamigłówkę: przeprowadzić z takiego to do takiego to punktu... tak, żeby ani razu... albo – nie odrywając ołówka... albo jeszcze jakoś inaczej... połączymy, przeprowadzimy i powstanie ze mnie i z ciebie ten jedyny

w swoim rodzaju nasz wzór, do którego tak tęsknię. Jeśli będą robić takie rzeczy każdego ranka, to wyszkolą, stanę się całkiem jak z drewna...".

Cyncynat się rozziwał – łzy ciekły mu po policzkach, a w ustach wciąż na nowo i na nowo wyrastał pagórek. Nerwy – spać się nie chciało. Trzeba było zająć się czymś do jutra – nowych książek jeszcze nie przyniesiono. Katalogu nie oddał... Prawda, rysuneczki! Ale teraz, w blasku jutrzejszego spotkania...

Ręka dziecka, z pewnością Emmoczki, narysowała szereg obrazków, dających (jak się wczoraj Cyncynatowi zdawało) logiczne opowiadanie, obietnicę, próbkę marzenia. Najpierw: pozioma linia, czyli ta oto kamienna podłoga, na niej – rudymentarne krzesło, przypominające owada, a u góry – krata z sześciu kwadracików. Potem to samo, tylko przy udziale księżycy w pełni z kwaśno opuszczonymi za kratą kącikami ust. Dalej: taboret z trzech kresek, na nim strażnik bez oczu (to znaczy, że śpi), obok zaś na podłodze – kółko z sześcioma kluczami. To samo kółko, tylko większe, i sięgająca po nie ręka – niezmiernie pięciopalczasta, w krótkim rękawie. Zaczyna się robić interesująco: uchylone drzwi, za nimi coś jakby ptasia noga – wszystko, co widać z uciekającego więźnia. Sam więzień, z przecinkami na głowie zamiast kędziorów, w ciemnym szlafrocuku, przedstawionym tak, jak pozwalały umiejętności – jako trójkąt równoramienny; więźnia prowadzi dziewczynka: widelcowate nóżki, falista spódniczka, równoległe linie włosów. To samo,

tylko w postaci planu, mianowicie: kwadrat celi, krzywa korytarza z trasą ucieczki, oznaczoną linią przerywaną, i harmonijka schodów na końcu. Wreszcie epilog: ciemna wieża, a nad nią zadowolony księżyc – kąciki ust uniesione ku górze.

Nie – to oszukiwanie samego siebie, bzdura. Dziecko bezmyślnie nabazgrało... Wypiszmy tytuły i odłożmy katalog. Tak, dziecko... Z językiem wysuniętym w prawym kąciku ust, mocno trzymając ogryzek ołówka, przyciskając go pobielełym od wysiłku palcem... A potem – połączywszy końce jakiejś szczególnie udanej linii – odchylając się od rysunku, raz tak, raz owak obracając głowę, kręcąc łopatkami i znów przypadając do papieru, przesuwając język w lewo... tak starannie... Bzdura, nie będziemy już o tym...

Zastanawiając się, czym by się tu zająć i jak ożywić apatyczny czas, Cyncynat postanowił ze względu na jutrzejszą Marfińkę doprowadzić swój wygląd do porządku. Rodion zgodził się przytaszczyć znowu taką samą balie, w jakiej Cyncynat pluskał się w przeddzień rozprawy. Czekać na wodę, Cyncynat usiadł przy stole; dzisiaj stół lekko się chwia.

„Widzenie, widzenie – pisał Cyncynat – oznacza najpewniej, że mój straszny ranek już blisko. Pojutrze o tej porze moja cela będzie pusta. Jestem jednak szczęśliwy, że cię zobaczę. Do warsztatów wchodziliśmy po różnych schodach, mężczyźni po jednych, kobiety po drugich – ale spotykaliśmy się na przedostatnim podeście.

Nie potrafię już przywołać wyglądu Marfińki z dnia, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, ale pamiętam, od razu zauważyłem, że rozchyła usta, na sekundę przedtem nim się roześmieje, i okrągłe piwne oczy, i koralowe kolczyki – ach, jakże by człowiek chciał odtworzyć ją teraz taką jak wtedy, nowiutką i jeszcze twardą – a potem stopniowe mięknięcie – i ta fałdka między policzkiem a szyją, kiedy odwracała do mnie głowę, już trochę cieplejsza, niemal żywa. Jej świat. Jej świat złożony jest z prostych składników, połączonych w prosty sposób; najprostszy przepis z książki kucharskiej jest chyba bardziej skomplikowany niż ten świat, który ona, nucąc sobie, piecze: codziennie – dla siebie, dla mnie, dla wszystkich. Skąd jednak – nawet wtedy, w pierwszych dniach – skąd złość i upór, które nagle... Miękka, zabawna, ciepła i nagle... Początkowo mi się zdawało, że postępuje tak specjalnie: może po to, żeby pokazać, jaką upartą jędzą stałaby się na jej miejscu inna. Jakże byłem zdumiony, kiedy okazało się, że taka właśnie jest naprawdę! Przez jakieś bzdury – moja głupiutka, jaka mała głowa, jeśli namacać ją pod tym wszystkim jasnokasztanowym, gęstym, czemu potrafi nadać wygląd niewinnej gładkości z dziewczęcym połyskiem na ciemieniu. «Pariska żoneczka to cicha woda, niby taka spokojna, a kaśliwa» – powiedział mi jej pierwszy, niezapomniany kochanek i najpodlejsze jest to, że użył tego przymiotnika wcale nie w przenośnym... ona rzeczywiście we wiadomej chwili... jedno z tych wspomnień, które trzeba jak najszybciej

odegnać od siebie, bo inaczej owładnie człowiekiem, zmiążdży. «Marfińka znowu dziś... ». A raz widziałem, widziałem, widziałem – z balkonu – widziałem – i od tego czasu nigdy nie wchodziłem do żadnego pokoju, nie obwieszczając swego nadejścia już z daleka – kaszlem, bezsensownymi okrzykami. Jakie to było straszne: to ujrzane w przelocie wygięcie, ten zadyszany pośpiech – wszystko, co w cienistych, tajemniczych kryjówkach Ogrodów Tamary było moje i co potem utraciłem. Policzyć, ilu miała... Wieczne męczarnie: rozmawiać przy obiedzie z tym czy innym jej kochankiem, udawać wesołość, łupać orzechy, dowcipkować – śmiertelnie bać się schylić, żeby nie zobaczyć przypadkiem pod stołem dolnej części potwora, którego górna część, wyglądająca całkiem przyjemnie i przyzwoicie, składała się z młodej kobiety i młodego mężczyzny, widocznych za stołem po pas, spokojnie posilających się i paplających – a dolna część była jakimś wijącym się, wściekłym, czworonożnym... Zstąpiłem do piekieł za upuszczoną serwetką. Marfińka mówiła potem o sobie (w tej samej liczbie mnogiej): «Bardzo się wstydzimy, że nas widziano» – i odymała usta. A jednak: kocham cię. Beznadziejnie, śmiertelnie, nieodwracalnie... Dopóki w tych ogrodach będą rosły dęby, dopóty będę cię... Kiedy ci niezłomie dowiedziono, że jestem osobą niepożądaną, że wszyscy stronią ode mnie, zdziwiłaś się, że sama nic nie zauważyłaś – a przecież tak łatwo było przed tobą ukrywać! Pamiętam, jak zaklinałaś mnie, żebym się

zmienił, poprawił, w istocie nie rozumiejąc zupełnie, co mianowicie powinienem w sobie zmienić i jak się to właściwie robi, i ciągle jeszcze nic nie rozumiesz, nie zastanawiasz się nad tym, czy rozumiesz, czy nie, a kiedy się dziwisz, twoje zdziwienie jest niemal przytulne. Ale gdy w sądzie woźny obchodził z kapeluszem publiczność, wrzuciłaś jednak do niego swoją karteczkę".

Nad kołyszącą się przy nabrzeżu balią unosiła się niczemu niewinna, wesola, kusząca para. Cyncynat gwałtownie – dwa szybkie ruchy – westchnął i odłożył zapisane stronice. Ze swego skromnego kuferka wyciągnął czysty ręcznik. Cyncynat był taki malutki i cienki, że cały zdołał się zmieścić w balii. Siedział w niej jak w czółenku i spokojnie płynął. Czerwonawy promień wieczoru mieszał się z parą i wzbudzał w niewielkim świecie kamiennej celi różnobarwne drzenie. Dopłynawszy do brzegu, Cyncynat wstał i wyszedł na ląd. Wycierając się, walczył z zawrotami głowy i biciem serca. Był bardzo chudy – i teraz, kiedy światło zachodu uwypuklało cienie jego żeber, sama budowa jego klatki piersiowej zdawała się tryumfem mimikry, albowiem wyrażała kratową naturę jego otoczenia, jego ciemnicy. Mój biedny mały Cyncynat. Wycierając się, starając się w samym sobie znaleźć rozrywkę, oglądał wszystkie swoje żyłki i mimowolnie myślał o tym, że już wkrótce go odkorkują i wszystko się wyleje. Jego kości były lekkie i delikatne; wyczekująco, z dziecięcą uwagą spoglądały na niego z dołu potulne paznokcie u nóg (ech, wy kochane,

wy niewinne); i kiedy tak siedział na łóżku, rozebrany, całe chudziutkie plecy – od kości ogonowej po kręgi szyjne – pokazując obserwatorom za drzwiami (dochodziły stamtąd szepty, coś omawiano, słysząc było szuranie – nie szkodzi, niech tam), mógł się wydawać chorowitym wyrostkiem, nawet jego potylica z długim wgłębieniem i kępką mokrych włosów była zupełnie chłopięca – i wyjątkowo poręczna. Z tego samego kuferka Cyncynat wyjął lusterko i buteleczkę z pachnącym depilatorem, przywodzącym mu zawsze na pamięć tę niezmiernie włochatą myszkę, którą Marfińka miała na jednym z boków. Wtarł płyn w kłujące policzki, starannie omijając wąsy.

Teraz jest dobrze, czysto. Westchnął i włożył chłodną koszulę nocną, pachnącą jeszcze domowym praniem.

Pociemniało. Leżał i nadal płynął. Rodion o zwykłej godzinie zapalił światło, zabrał kubek i balię. Po nitce spuścił się pajak i usiadł na palcu, który Rodion wyciągał do kosmatego zwierzątka, rozmawiając z nim jak z kanarkiem. Drzwi na korytarz przez cały czas były lekko uchylone – mignęło tam coś... przez chwilę zwisały wijące się koniuszki bladych loków, zniknęły, kiedy Rodion poruszył się, spoglądając w górę na malutkiego akrobatę odchodzącego pod kopułę cyrku. Drzwi wciąż w jednej czwartej były uchylone. Ciężki Rodion z rudą kędzierzawą brodą, ubrany w skórzany fartuch, poruszał się powoli po celi, a kiedy zegar (bliższy teraz dzięki bezpośredniemu połączeniu) zachrypiał przed wybiciem

godziny, z jakiegoś zakamarka za pasem wyjął swoją cebulę i porównał czas. Potem, sądząc, że Cyncynat śpi, dość długo się w niego wpatrywał, oparty na miotle jak na halabardzie. Doszedłszy do nie wiadomo jakich wniosków, poruszył się znowu... Tymczasem bezgłośnie i niezbyt szybko wsunęła się w drzwi czerowno-niebieska gumowa piłka, po przyprostokątnej potoczyła się prosto pod łóżko, na chwilę zniknęła, wywołała brzęknięcie i wytoczyła się, biegnąc po drugiej przyprostokątnej, to znaczy w kierunku Rodiona, który wciąż nic nie zauważając, przypadkowo kopnął ją, kiedy przestępował z nogi na nogę – i wtedy piłka wycofała się po przeciwprostokątnej w tę samą szparę, z której przybyła. Rodion wziął miotłę na ramię i opuścił celę. Światło zgasło.

Cyncynat nie spał, nie spał, nie spał – nie, spał, ale z jękiem znowu się wygramolił – i proszę, znowu nie spał, spał, nie spał – i wszystko się mieszało: Marfińka, szafot, aksamit – i jak to będzie wyglądać – i co? Egzekucja czy widzenie? Wszystko się dokumentnie ze sobą stopiło, ale Cyncynat jeszcze na chwilę otworzył oczy, bo zapaliło się światło i Rodion wszedł na palcach, wziął ze stołu czarny katalog, wyszedł, pociemniało.

## Rozdział 6

Co to było – przez to wszystko straszne, nocne, ociężałe – co to takiego było? Jako ostatnie się odsunęło, niechętnie ustępując miejsca ciężkim, ogromnym wozom snu, i oto teraz jako pierwsze wybiegło – takie miłe, miłe – rosnące, coraz jaśniejsze, oblewające ciepłem serce: Marfińka dzisiaj przyjdzie!

W tym momencie Rodion, jak w teatrze, przyniósł na tacy liliowy bilecik. Usiadłszy na łóżku, Cyncynat przeczytał, co następuje: „Milion przeproszeń! Niewybaczalna gafa! Sięgnąwszy po artykuły prawa, stwierdzono, że na widzenie zezwala się dopiero po upływie tygodnia od daty procesu. Odłóżmy to zatem do jutra. Trzymajmy się ciepło, ukłony. U nas wszystko po staremu, kłopotów po uszy, przysłana ostatnio farba do budek wartowniczych znowu okazała się do niczego, o czym już pisałem, ale bez rezultatu”.

Starając się nie patrzeć na Cyncynata, Rodion zbierał ze stołu wczorajsze naczynia. Musiało być pochmurnie: przenikające z góry światło było szare, i skórzane ubranie litościwego Rodiona zdawało się mokre, chropawe.

– No cóż – powiedział Cyncynat – proszę bardzo, proszę bardzo... Tak czy owak jestem bezsilny. (Inny Cyncynat, mniejszy, płakał, zwinąwszy się w kłębek). Jak jutro, to jutro. Prosiłbym jednak o zawołanie...

– W tej chwili – wypalił Rodion z taką gotowością,

jakby tylko tego pragnął – już miał wybiec, ale dyrektor, zbyt niecierpliwie czekający za drzwiami, zjawił się odrobinę za wcześnie i nastąpiło zderzenie.

Rodryg Iwanowicz trzymał kalendarz ścienny i nie wiedział, gdzie go położyć.

– Milion przeproszeń – krzyknął – niewybaczalna gafa! Sięgnąwszy do artykułu... – dosłownie powtórzywszy tekst swego bileciku, Rodryg Iwanowicz usiadł u stóp Cyncynata i pospiesznie dodał: – W każdym razie może pan złożyć skargę, ale uważam za swój obowiązek uprzedzić pana, że najbliższy zjazd odbędzie się jesienią, a do tego czasu upłynie wiele wody i nie tylko wody. Czy wyrażam się jasno?

– Nie mam zamiaru się skarżyć – powiedział Cyncynat – ale chciałbym o coś pana spytać: czy z rzekomej natury rzekomych rzeczy, z których zbudowany jest ten rzekomy świat, da się wydobyć choć jedną rzecz, mogącą służyć jako gwarancja, że spełnicie swoją obietnicę?

– Obietnicę? – ze zdziwieniem spytał dyrektor, przestawszy się wachlować tekturową częścią kalendarza (twierdza o zachodzie słońca, akwarela). – Jaką obietnicę?

– Dotyczącą jutrzejszej wizyty mojej żony. Powiedzmy, że w danym wypadku nie zgodzicie się dać mi gwarancji – ale ja postawię pytanie ogólniejsze: czy w ogóle istnieje, czy może istnieć w tym świecie jakiegokolwiek zapewnienie, cokolwiek, co mogłoby być rękojmią – czy też sama idea gwarancji jest tutaj nieznaną?

Pauza.

– Biedny jednak ten nasz Roman Wissarionowicz – powiedział dyrektor – słyszał pan? Leży w łóżku, przeziębził się i to, zdaje się, poważnie.

– Czuję, że za nic mi pan nie odpowie; to logiczne, nawet bowiem brak odpowiedzialności wytwarza w końcu swoją logikę. Trzydzieści lat przeżyłem pośród widziadeł – materialnych, według świadectwa dotyku – ukrywając, że jestem żywy i rzeczywisty; teraz jednak, kiedy wpadłem, nie muszę się już krępować. Sprawdzę przynajmniej w praktyce całą nierealność waszego świata.

Dyrektor chrząknął i ciągnął jak gdyby nigdy nic:

– Na tyle poważnie, że jako lekarz nie jestem pewien, czy będzie mógł uczestniczyć – to jest, czy zdaży wyzdrowieć – *bref*, czy uda mu się wziąć udział w pańskim benefisie...

– Proszę wyjść – powiedział Cyncynat przez zaciśnięte zęby.

– Niech pan nie upada na duchu – ciągnął dyrektor. – Jutro, jutro urzeczywistni się to, o czym pan marzy... A kalendarz ładniutki, prawda?

Artystyczna robota. Nie, nie dla pana.

Cyncynat przymknął oczy. Kiedy je znowu otworzył, dyrektor stał pośrodku celi zwrócony plecami do niego. Na krześle ciągle jeszcze poniewierały się skórzany fartuch i ruda broda, które najwidoczniej zostawił tu Rodion.

– Trzeba będzie dzisiaj szczególnie starannie posprzątać pańskie mieszkanie – powiedział, nie

odwracając się. – Doprowadzić wszystko do porządku ze względu na jutrzejsze spotkanie... Jak będziemy tu myli podłogę, poproszę pana... poproszę pana...

Cyncynat znowu zmrużył oczy, a przycichły nagle głos ciągnął:

– ... poproszę pana o wyjście na korytarz. To nie będzie długo trwało. Dołożymy wszelkich starań, żeby jutro w należyty sposób, czysto, elegancko, uroczyście...

– Proszę wyjść! – krzyknął Cyncynat, podnosząc się i drżąc na całym ciele.

– To się całkiem nie da zrobić – z powagą powiedział Rodion, mozając się z rzemieniami fartucha. – Trza tu tego... popracować. Patrzajcie, ludzie, ile kurzu... Sam mi pan podziękuje.

Przejrzał się w kieszonkowym lusterku, nastroszył brodę na policzkach, i podszedłszy wreszcie do łóżka, podał Cyncynatowi ubranie. Do pantofli przezornie wepchano trochę zmiętego papieru, a poły szlafroka starannie zawinięto i spięto szpilką. Cyncynat, nieznacznie się kołysząc, włożył ubranie i lekko wsparty na ramieniu Rodiona wyszedł na korytarz. Tam usiadł na taborecie i wsunął ręce w rękawy jak chory. Rodion, zostawiwszy drzwi do izolatki szeroko otwarte, wziął się do sprzątanía. Krzesło postawiono na stół; z łóżka zerwano prześcieradło; brzęknął pałak wiadra; przeciąg przerzucił papiery na stole i jedna z kartek lotem ślizgowym opadła na podłogę.

– Co się pan tak rozkleił? – wrzasnął Rodion,

przekrzykując szum wody, plaskanie, stukot. – Przeszedłby się pan trochę po korytarzach... Niech się pan nie boi, będę tu cały czas, jakby co, starczy zawołać.

Cyncynat posłusznie wstał z taboretu, ledwie jednak ruszył wzdłuż chłodnej ściany, niewątpliwie pokrewnej skale, na której wyrosła twierdza, ledwie przeszedł parę kroków – i to jakich kroków! Słabych, nieważkich, pokornych – ledwie zmienił położenie Rodiona, otwartych drzwi i wiader w uciekającą do tyłu perspektywę – a już poczuł powiew wolności, która mocniej dmuchnęła, kiedy skręcił za róg. Nagich ścian nie ożywiało nic prócz rys i plam od zapotnień; tylko w jednym miejscu ktoś nabazgrał ochrą machnięciami malarza pokojowego: „Próba pędzla, próba pędz...” – i obrzydliwy zaciek farby. Cyncynatowi, nieprzywykłemu do samotnych spacerów, zwiotczały mięśnie, zakłuło go w boku.

Wtedy właśnie Cyncynat przystanął, i rozglądając się, jakby dopiero co trafił do tej kamiennej głuszy, krańcowo nateżył wolę, przywołał na pamięć całe swoje życie i spróbował z maksymalną precyzją uświadomić sobie swoje położenie. Oskarżony o najstraszliwszą ze zbrodni, o gnozeologiczną zgniliznę, rzecz tak rzadką i nieprzyzwoitą, że trzeba się było uciekać do omówień w rodzaju: „nieprzenikalność”, „nieprzezroczystość”, „przeszkoda”; skazany za tę zbrodnię na śmierć; zamknięty w twierdzy, gdzie oczekiwał niewiadomego, ale bliskiego i nieuchronnego dnia egzekucji (która w wyraźnym przeczuciu jawiła mu się jako wykręcenie,

szarpnięcie i chrupnięcie monstrualnego zęba, przy czym całe jego ciało było rozpalonym dźwiękiem, głowa zaś – owym zębem); stojący teraz z zamierającym sercem na więziennym korytarzu – jeszcze żywy, jeszcze nienaruszony, jeszcze cynycynatowy – Cyncynat C. poczuł dzikie pragnienie wolności – najzwyczajszej, fizycznej, fizycznie urzeczywistnialnej, i natychmiast wyobraził sobie – z taką zmysłową wyrazistością, jak gdyby wszystko to było płynną, przypominającą koronę emanacją jego istoty – miasto za spłycającą rzeką, miasto z widoczną zewsząd – to tak, to owak, to wyraźnie zarysowaną, to znów zgranatowiałą – wysoką twierdzą, w której wnętrzu teraz się znajdował. I ten powiew wolności był tak silny i słodki, że wszystko wydało mu się lepsze niż było w rzeczywistości: jego strażnicy, którymi w istocie byli wszyscy, wydali się bardziej zgodliwi... w ciasnocie widmowych obrazów życia rozum wypatrywał możliwości dróżki... przed oczami tańczyło mu jakieś marzenie... jakby tysiąc tęczowych igiełek wokół oślepiającego odbicia słońca na niklowanej kuli... Stojąc na więziennym korytarzu i słuchając potężnych uderzeń zegara, który właśnie zaczął swoje niespieszne odliczanie, wyobraził sobie życie miasta – takie jak zwykle o tej świeżej porannej godzinie: Marfińka z koszykiem wychodzi z domu I idzie ze spuszczonej oczami po błękitnym chodniku, a trzy kroki za nią – czarnowąsy zuch; elektryczne wagonetki w kształcie łabędzi lub łódek płyną i płyną bulwarem, siedzi się w nich jak w

karuzelowej kołysce; z magazynów meblowych wynoszą dla przewietrzenia kanapy i fotele, przysiadają na nich i przez chwilę odpoczywają przechodzący obok uczniowie, a mały dyżurny z taczkami pełnymi wspólnych zeszytów i książek ociera czoło jak dorosły robotnik; na odświeżonej, wilgotnej jezdni terkoczą nakręcane dwuosobowe „zegareczki”, jak nazywają je tu, na prowincji (a przecież są one zwyrodniałymi potomkami samochodów z przeszłości, tych wspaniałych lakierowanych muszli... dlaczego mi się przypomniały? no tak – zdjęcia w tygodniku); Marfińka wybiera owoce; strasznie zgrzybiałe konie, które dawno już przestały się zdumiewać osobliwościami piekła, rozwożą do miejskich punktów dystrybucji towary z fabryk; uliczni sprzedawcy pieczywa, ze złocistymi twarzami, w białych koszulach, nawołują, żonglując bułkami: podrzucając je wysoko, łapiąc i znowu zawirowując; przy oknie obrośniętym glicyniami popijają czterej weseli telegrafiści, trącąc się pucharami i wznosząc toasty za zdrowie przechodniów; słynny kalamburzysta, żarłoczny, czubaty starzec w czerwonych spodniach z jedwabiu, zajada w pawilonie na Małych Stawach, parząc sobie język, smażone skoryszki; a oto chmury się rozeszły i w takt muzyki orkiestry dętej cętkowane słońce biegnie spadzistymi ulicami, odwiedza zaułki; szybko idą przechodnie; pachnie lipą, karburyną, mokrym kurzem; wieczna fontanna przed mauzoleum kapitana Sennego obficie zrasza rozpryskującą się wodą kamiennego kapitana, płaskorzeźbę u jego słoniowatych

nóg i drżące róże; Marfińka z pełnym koszykiem idzie ze spuszczonej oczami do domu, a trzy kroki za nią płowowłosa frant... Tak to, dopóki bił zegar, Cyncynat patrzył i słuchał przez ściany, i chociaż wszystko w tym mieście zawsze było w istocie całkowicie martwe i okropne w porównaniu z sekretnym życiem Cyncynata i jego występny płomieniem, chociaż doskonale o tym wiedział i chociaż wiedział również, że nie ma dla niego żadnej nadziei, to jednak zapragnął w tej chwili znaleźć się na znajomych kolorowych ulicach... ale zegar skończył bić, zmyślane niebo zasnuło się chmurami i więzienie znowu nabrało mocy.

Cyncynat wstrzymał oddech, poruszył się, znieruchomiał znowu, zaczął nasłuchiwać: gdzieś z przodu, w niewiadomej odległości, rozległ się stuk.

Był miarowy, nikły, pulsujący i Cyncynat, któremu zaraz zatrzepotały wszystkie listki, usłyszał w nim zaproszenie. Ruszył dalej – bardzo uważny, lśniący, lekki; skręcił za nie wiadomo który już róg. Stukanie umilkło, ale potem dosłownie podleciało bliżej, jak niewidzialny dzieciół. Puk, puk, puk. Cyncynat przyspieszył kroku, i znowu ciemny korytarz zakręcił. Nagle zrobiło się jaśniej – nie na dzienną modłę jednak – i oto stuk stał się określony, zadowolony z siebie. Tuż przed nim Emmoczka w bladym świetle rzucała piłką o ścianę.

Korytarz był w tym miejscu szeroki i początkowo Cyncynatowi wydawało się, że w ścianie po lewej stronie jest duże, głębokie okno i że właśnie z niego leje się to

dziwne dodatkowe światło. Emmoczka, schyliwszy się, żeby podnieść piłkę i jednocześnie podciągnąć skarpetkę, chytrze i nieśmiało się obejrzała. Na jej nagich ramionach i wzdłuż goleni stały dęba jasne włoski. Oczy błyskały zza białawych rzęs. I oto wyprostowała się, odgarniając z twarzy płowe loki tą samą ręką, w której trzymała piłkę.

– Tędy nie wolno chodzić – powiedziała; miała coś w ustach, coś szcęknięło pod policzkiem, stuknęło o zęby.

– Co ty tam ssiesz? – spytał Cyncynat.

Emmoczka wysunęła język; na jego koniuszku, żyjącym własnym życiem, leżała błyszcząca berbersowa landrynka.

– Mam więcej – powiedziała – chce pan?

Cyncynat potrząsnął głową.

– Tędy nie wolno chodzić – powtórzyła Emmoczka.

– Dlaczego? – spytał Cyncynat.

Wzruszyła ramieniem, i strojąc grymasy, wyginając rękę, w której trzymała piłkę, naprężając łydki, podeszła do miejsca, gdzie – jak sądził – powinno być wgłębienie, okno – i wiercąc się, nagle jeszcze bardziej długonoga, usadowiła się na kamiennym występie, przypominającym okienny parapet.

Nie, była to tylko imitacja okna, w gruncie rzeczy witryna, a za nią – tak, oczywiście, jakże nie poznać! – panorama Ogrodów Tamary.

Landszaft ów, napacykowany w kilku planach, utrzymany w mętnozielonych tonach i oświetlony ukrytymi żaróweczkami, przypominał nie tyle terrarium

czy makietę dekoracji teatralnej, co kotarę, na której tle mozoli się orkiestra dęta. Wszystko oddane zostało dość wiernie, jeśli chodzi o ugrupowania i perspektywę – i gdyby nie wyblakłe kolory, nieruchomość wierzchołków drzew i apatyczne oświetlenie, można by, zmrużywszy oczy, wyobrazić sobie, że przez okienko na wieży patrzy się z tego właśnie więzienia na tamte właśnie ogrody. Poblązliwe oko rozpoznawało te drogi, tę kędzierzawą zielenią zagajników, a po prawej stronie portyk i pojedyncze topole, i nawet bladą plamkę pośrodku nieprzekonywającego błękitu jeziora, mającą zapewne przedstawiać łabędzia. A w głębi, w konwencjonalnej mgle rysowały się krągłe kształty wzgórz, nad nimi zaś, na tym szaroniebieskim niebie, pod którym żyją i umierają aktorzy, widniały nieruchome kumulusy. I wszystko to było jakieś nieświeże, zmurszałe, zakurzone, a szyba, przez którą patrzył Cyncynat, cała była w plamach – niektóre z nich pozwalały się domyślać dłoni dziecka.

– Mimo wszystko zabierz mnie tam – wyszeptał Cyncynat – błagam cię.

Siedział obok Emmoczki na kamiennym występie i oboje wpatrywali się w sztuczną dal za szkłem; Emmoczka zagadkowo wodziła palcem po krętych ścieżkach, a jej włosy pachniały wanilią.

– Tatko idzie – powiedziała nagle szybko, ochryłym głosem, spojrzawszy za siebie; zeskoczyła na podłogę i gdzieś znikła.

I rzeczywiście, ze strony przeciwnej tej, z której przybył Cyncynat (w pierwszej chwili przyszło mu nawet na myśl lustro), podzwaniając kluczami, zbliżał się Rodion.

– Prosiemy do domu – powiedział żartobliwie.

Światło w witrynie zgasło i Cyncynat zrobił krok, zamierzając wrócić tą samą drogą, którą się tu dostał.

– Gdzie, gdzie – krzyknął Rodion – prosto! Tak bliżej.

I dopiero wtedy Cyncynat zrozumiał, że załomy korytarza nie prowadziły go donikąd, lecz tworzyły ogromny wielokąt – teraz bowiem, skręciwszy za róg, zobaczył w głębi swoje drzwi, a zanim do nich dotarł, przeszedł koło celi, gdzie trzymano nowego aresztanta. Drzwi do tej celi były otwarte na oścież, stał tam na krześle, ubrany w tę swoją pasiastą piżamkę, sympatyczny kurdupel, którego Cyncynat już widział, i przybijał do ściany kalendarz: puk, puk – jak dzięcioł.

– Oderwij wzrok, piękna dziewico – dobrodusznie powiedział Rodion.

– Do domu, do domu. No, wysprzątane u pana, co? Tera i gości przyjmować nie wstyd.

Wydawał się szczególnie dumny z tego, że pajak siedział na czystej, nienagannie regularnej pajęczynie, najwyraźniej dopiero co stworzonej.

## Rozdział 7

Uroczy poranek! Swobodnie, bez dawnego tarcia, przenikał przez zakratowaną szybę, którą wczoraj umył Rodion. Od żółtych, lepkich ścian wionęło poprzeprowadzkową nowością. Stół nakryty był czystym obrusem, jeszcze pełnym powietrza, niezbyt ściśle przylegającym. Szczodrze zmoczona kamienna podłoga tchnęła chłodem fontanny.

Cyncynat włożył to, co wziął ze sobą najlepszego – kiedy naciągał białe jedwabne skarpetki, które jako pedagog miał prawo nosić na galowych przedstawieniach, Rodion wniósł mokry kryształowy wazon z pucołowatymi piwoniami wyhodowanymi w ogródku dyrektora i postawił go na środku stołu... nie, niezupełnie na środku; wycofał się, po chwili zaś wrócił z taborettem i dodatkowym krzesłem, ustawił je nie byle jak, ale planowo, ze smakiem. Wchodził kilka razy, a Cyncynat nie miał odwagi spytać: „czy długo jeszcze?” – i jak to bywa w tych szczególnie beczynnych chwilach kiedy, odświętnie wystrojony, czekasz na gości i jakoś nie sposób się niczym zająć – łąził w kółko, to przysiadając w niezwykłych dla siebie miejscach, to poprawiając kwiaty w wazonie – aż wreszcie Rodion zlitował się i powiedział, że teraz to już niedługo.

Punktualnie o dziesiątej zjawił się nagle Rodryg Iwanowicz w swym najlepszym, najbardziej

monumentalnym surducie – napuszony, nieprzystępny, powściągliwie podniecony: postawił masywną popielniczkę i wszystko (z wyjątkiem Cyncynata) zlustrował wzrokiem, zachowując się jak pochłonięty swymi zajęciami majordomus, który poświęca uwagę jedynie urodzie martwego inwentarza, pozwalając żywemu, by sam się zatroszczył o piękny wygląd. Wrócił, niosąc zieloną buteleczkę zaopatrzoną w gumową gruszkę, i jął z potężnym szumem rozpylać sosnowy zapach; dość bezceremonialnie odepchnął Cyncynata, kiedy ten zaplątał mu się pod nogi. Krzesła ustawił Rodryg Iwanowicz inaczej niż Rodion i długo patrzył wytrzeszczonymi oczami na ich oparcia: były różne – jedno w kształcie liry, drugie prostokątne. W końcu, nadawszy policzki i ze świstem wypuściwszy powietrze, odwrócił się do Cyncynata.

– A pan jak, gotowy? – spytał. – Znalazł pan wszystko, co trzeba? Sprzączkom nic nie brakuje? A tu, czemu to jakieś takie wymięte? Ech, mój panie... Proszę pokazać łapki. *Bon.* Teraz niech pan uważa, żeby się nie zabrudzić. Myślę, że już niedługo...

Wyszedł i jego soczysty, rozkazujący bas budząc echa, zadźwięczał w korytarzu. Rodion otworzył drzwi do celi, zablokował je w tej pozycji i rozwinął na progu chodniczek w poprzeczne pasy.

– Idą – szepnął, mrugając porozumiewawczo, i znowu zniknął.

Gdzieś szcęknął trzykrotnie klucz w zamku, rozległy

się zmieszane ze sobą głosy, nagły powiew poruszył włosami Cyncynata...

Cyncynat był bardzo zdenerwowany, drzenie wciąż nadawało jego wargom pozór uśmiechu.

– Tędy. No to jesteśmy na miejscu – dało się słyszeć basowe pogadywanie dyrektora, w chwilę potem zjawił się on sam, z galanterią prowadząc pod rękę tłuściutkiego, pasiastego więźnia, który, nim wszedł, zatrzymał się na chodniczku, bezgłośnie zsunął safianowe stopy i zgrabnie się uklonił.

– Pozwoli pan przedstawić sobie M'sieur Pierre'a – w radosnym uniesieniu zwrócił się dyrektor do Cyncynata. – Prosimy do środka, prosimy. M'sieur Pierre, nie może pan sobie wyobrazić, jak tu na pana czekano... Poznajcie się, panowie... Długo oczekiwane spotkanie... Pouczające widowisko... Raczy pan nie pogardzić, proszę nie mieć nam za złe...

Sam już nie wiedział, co mówi – zachłystywał się, wycinał ciężkie hołubce, zacierał ręce, nie posiadał się z radosnego zakłopotania.

M'sieur Pierre, bardzo spokojny i skupiony, podszedł bliżej, uklonił się znowu – i Cyncynat machinalnie zamienił z nim uścisk dłoni; przybyły jakieś pół sekundy dłużej niż jest to przyjęte zatrzymał w swojej miękkiej malutkiej łapce wyślizgujące się palce Cyncynata, w ten sposób przeciąga uścisk subtelny stary doktor – tak miękko, tak apetycznie – o, już puścił.

Śpiewnym, wysokim i gardłowym głosem M'sieur

Pierre powiedział:

– Także niezwykle się cieszę, że mogę wreszcie pana poznać. Niech mi wolno będzie żywić nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

– Właśnie, właśnie – zarechotał dyrektor – och, proszę usiąść... Proszę czuć się jak u siebie w domu... Pański kolega jest tak uszczęśliwiony odwiedzinami, że nie znajduje słów.

M'sieur Pierre usiadł i wtedy okazało się, że jego nóżki ledwie że sięgają podłogi, co zresztą nawet w najmniejszym stopniu nie ujmowało mu powagi ani tego szczególnego wdzięku, jakim natura obdarza niektórych wybranych tłuscioszków. Jego jasne, jakby pokryte glazurą oczy uprzejmie wpatrywały się w Cyncynata, Rodryg Iwanowicz zaś, także przysiadłszy na krześle, chichocząc od czasu do czasu, podszczuwając, pijany radością, przenosił wzrok z jednego na drugiego, chciwie obserwując po każdym słowie gościa, jakie wrażenie wywarło na Cyncynacie.

M'sieur Pierre powiedział:

– Jest pan niezwykle podobny do matki. Nigdy nie miałem okazji jej widzieć, ale Rodryg Iwanowicz był tak dobry i obiecał pokazać mi zdjęcie.

– Tak jest! – powiedział dyrektor. – Postaramy się.

M'sieur Pierre mówił dalej:

– W ogóle, niezależnie od tego, szalenie interesuję się fotografią, od młodości; mam teraz trzydzieści lat, a pan?

– Ma równo trzydzieści – powiedział dyrektor.

– No widzi pan, zgadłem. Skoro pan także tym się interesuje, pokażę zaraz...

Z weszłą mu w krew werwą sięgnął ku piersi i z kieszonki pizamy wyjął wypchany portfel, z niego zaś – gruby plik fotografii amatorskich najmniejszego formatu. Przeglądając je, jak talię malutkich kart, zaczął kłaść po jednej na stole, a Rodryg Iwanowicz chwycił każdą, wydawał okrzyk zachwytu, długo oglądał – i powoli, ciągle rozkoszując się fotografią lub już wyciągając rękę po następną, podawał dalej – chociaż dalej panował bezruch i milczenie. Na wszystkich tych zdjęciach był M'sieur Pierre, M'sieur Pierre w najróżniejszych pozach – to w ogrodzie, z nagrodzonym pomidorzyskiem w dłoniach, to siedzący jednym pośladkiem na jakiejś poręczy (profil, fajka w zębach), to w fotelu na biegunach, pograżony w lekturze, a obok – szklanka ze słomką...

– Znakomite, rewelacyjne – mówił Rodryg Iwanowicz, kuląc się, kręcąc głową, pozerając oczami każdą fotografię lub nawet trzymając dwie naraz i przenosząc wzrok z jednej na drugą. – Ho, ho, ho, jakie ma pan tu bicepsy! Kto by pomyślał – przy pańskiej delikatnej budowie ciała. Oszalamiające! Ojej, cudo ty moje – z ptaszkiem pan rozmawia.

– Oswojony – powiedział M'sieur Pierre.

– Niezmiernie ciekawe! Patrzcie no... A to co takiego – nic, tylko zajada pan arbuza!

– Tak jest – powiedział M'sieur Pierre. – Te już pan obejrzał. O, proszę bardzo.

– Urocze, ot co. Dawać tu tę porcję, on jeszcze nie widział...

– Tutaj żongluję trzema jabłkami – powiedział M'sieur Pierre.

– A to dopiero! – dyrektor aż cmoknął.

– Przy porannej herbatce – powiedział M'sieur Pierre – to ja, a to mój ojciec nieboszczyk.

– A jakże, a jakże, poznaję... Te szlachetne zmarszczki.

– Na brzegu Stropi – powiedział M'sieur Pierre. – Był pan tam kiedy? – zwrócił się do Cyncynata.

– Zdaje się, że nie – odpowiedział Rodryg Iwanowicz. – A to gdzie? Jaki elegancki paltocik! A wie pan co, wygląda tu pan na starszego niż w rzeczywistości. Chwileczkę, chciałbym jeszcze raz tamto z polewaczką...

– Proszę... To wszystko, co mam przy sobie – powiedział M'sieur Pierre i znowu zwrócił się do Cyncynata: – Gdybym wiedział, że tak bardzo to pana interesuje, wziąłbym więcej, mam albumy, z dziesięć się zbierze.

– Cudowne, fantastyczne – powtarzał Rodryg Iwanowicz, liliową chusteczką wycierając oczy, zwilgotniałe od tych wszystkich radosnych chichotów, wzruszeń.

M'sieur Pierre złożył portfel. Nagle w jego rękę znalazła się talia kart.

– Proszę wybrać w myśli dowolną – zaproponował, rozkładając karty na stole; odsunął łokciem popielniczkę; dalej rozkładał.

– Wybraliśmy – ochoczo powiedział dyrektor.

M'sieur Pierre, błaznując nieco, przyłożył palec do czoła, potem szybko zebrał karty, zuchowato zatrzeszczał talią i wyrzucił trójkę trefl.

– Zdumiewa mnie to – zawołał dyrektor. – Po prostu mnie to zdumiewa.

Talia zniknęła równie niezauważalnie, jak się pojawiła – i przywoławszy na twarz wyraz kamiennej powagi, M'sieur Pierre powiedział: – Przychodzi stara baba do doktora i mówi: „Zachorowałam, panie dochtórze, na okropne jakieś choróbsko, strach, że umrę od niego”. „A jakie ma pani objawy?”. „Głowa się trzęsie, panie dochtórze” – i M'sieur Pierre, mamlając i trzęsąc się, zaczął udawać staruszkę.

Rodryg Iwanowicz wybuchnął dzikim śmiechem, walnąwszy pięścią w stół, omal nie spadł z krzesła, rozkasłał się, jęknął, z trudem się uspokoił.

– Pan, M'sieur Pierre, jest duszą towarzystwa – powiedział, płacząc ze śmiechu – prawdziwą duszą! Jak żyję, nie słyszałem takiego dobrego kawału.

– Jacy jesteście smutni, jacy wrażliwi – zwrócił się M'sieur Pierre do Cyncynata, wysuwając wargi, jakby chciał rozśmieszyć nadąsane dziecko. – Ciągłe tylko milczymy i milczymy, a wąsiki nam trzepoczą, a żyłka na szyi pulsuje, a oczka się zamglify...

– To wszystko z radości – wtrącił pospiesznie dyrektor.  
– *N'y faites pas attention.*

– Tak, rzeczywiście, radosny dzień, wspaniały dzień –

powiedział M'sieur Pierre – ja sam wręcz kipię z podniecenia, dusza mi kipi... Nie chcę się chwalić, ale znajdzie pan we mnie, kolego, rzadkie połączenie zewnętrznej towarzyskości z wewnętrzną delikatnością, rozmowności z umiejętnością zachowywania milczenia, figlarności z powagą... Kto pocieszy płaczące niemowlę, kto sklei mu zabawkę? M'sieur Pierre. Kto wstawi się za wdową? M'sieur Pierre. Kto wesprze zdrową radą, kto znajdzie lekarstwo, kto przyniesie radosną nowinę? Kto? No kto? M'sieur Pierre. Wszystko – M'sieur Pierre.

– Nadzwyczajne! Co za talent! – zawołał dyrektor, jak gdyby słuchał wierszy, a przy tym ciągle zerkał, ruszając brwią, na Cyncynata.

– Wydaje mi się więc – ciągnął M'sieur Pierre. – A, właśnie – przerwał sam sobie – zadowolony pan ze swojej kwatery? Nie marznie pan w nocy? Jeść dają dobrze, nie za mało?

– Dostaje to samo, co ja – odpowiedział Rodryg Iwanowicz – każdy posiłek to uczta.

– Uczta się, ludzie, uczta – zażartował M'sieur Pierre.

Dyrektor chciał znowu ryknąć śmiechem, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i pojawił się w nich posepny, tyczkowaty bibliotekarz ze stertą książek pod pachą. Szyję miał owiniętą wełnianym szalikiem. Z nikim się nie witając, zwałił książki na łóżko, w powietrzu nad nimi zawisły na chwilę ich stereometryczne widma z kurzu – zawisły, drgnęły i znikły.

– Chwileczkę – powiedział Rodryg Iwanowicz –

panowie się chyba nie znają.

Bibliotekarz, nie patrząc na nikogo, skinął głową, a dobrze wychowany M'sieur Pierre wstał z krzesła.

– M'sieur Pierre, bardzo proszę – powiedział błagalnie dyrektor, przykładając dłoń do gorsu – bardzo proszę, niech mu pan pokaże sztuczkę.

– Och, czy to warto... Takie głupstwo... – robił skromnisa M'sieur Pierre, ale dyrektor nie ustępował:

– Cud prawdziwy! Czerwona magia! Wszyscy zaklinamy pana! No, proszę się zgodzić... – Chwileczkę! Niech pan chwileczkę zaczeka – krzyknął do bibliotekarza, który skierował się ku drzwiom. – M'sieur Pierre coś panu zaraz pokaże. Prosimy, prosimy! Stójże pan...

– Proszę wybrać w myśli jedną z tych kart – z komiczną powagą oznajmił M'sieur Pierre; potasował karty; wyrzucił piątkę pik.

– Nie – powiedział bibliotekarz i wyszedł.

M'sieur Pierre wzruszył okrągłutkim ramieniem.

– Zaraz wracam – mruknął dyrektor i także wyszedł.

Cyncynat i jego gość zostali sami. Cyncynat otworzył książkę i zagłębił się w lekturze, to znaczy wciąż od nowa czytał pierwsze zdanie. M'sieur Pierre patrzył na niego z dobrotliwym uśmiechem, położywszy łapkę na stół, dłonią do góry, zupełnie jakby proponował Cyncynatowi zawarcie pokoju. Dyrektor wrócił. W zaciśniętej dłoni mocno trzymał wełniany szalik.

– Może przyda się panu, M'sieur Pierre – powiedział,

podał szalik, usiadł, głośno jak koń wypuścił powietrze i zaczął przyglądać się swemu kciukowi, z którego końca sterczał jak sierp na wpół zerwany paznokieć.

– O czym to mówiliśmy? – z uroczym taktem, jak gdyby nic się nie stało, zawołał M'sieur Pierre. – Aha, rozmawialiśmy o fotografiach. Przyniosę kiedyś aparat i zrobię panu zdjęcie. Będzie kupa śmiechu. Co pan czyta, można zobaczyć?

– Mógłby pan odłożyć książkę – zauważył rwanym głosem dyrektor. – Ma pan przecież gościa.

– Niech mu pan da spokój – uśmiechnął się M'sieur Pierre.

Zapadło milczenie.

– Robi się późno – rzekł głucho dyrektor, spojrzawszy na zegarek.

– Tak, zaraz idziemy... Aj, jaki ponurak. Niech pan patrzy, niech pan patrzy – usteczka całe drżą... słoneczko, zdaje się, zaraz wyjdzie zza chmur... Ponurak, ponurak!...

– Chodźmy – powiedział dyrektor, wstając.

– Zaraz... Tak mi tutaj dobrze, że trudno się oderwać. W każdym razie, mój drogi sąsiedzie, będę korzystał z pańskiego pozwolenia i odwiedzał pana często, często – oczywiście, jeśli daje mi pan takie pozwolenie – a przecież daje pan – prawda?... A więc, do widzenia. Do widzenia! Do widzenia!

Z komicznymi ukłonami, naśladowując kogoś, M'sieur Pierre się wycofał; dyrektor znowu wziął go pod rękę, wydając lubieżne nosowe odgłosy. Wyszli, ale w ostatniej

chwili dało się słyszeć: – Przepraszam, zapomniałem czegoś, zaraz pana dogonię – i dyrektor z powrotem wdarł się gwałtownym strumieniem do celi, podszedł blisko do Cyncynata, uśmiech zniknął na chwilę z jego fioletowej twarzy.

– Wstyd mi – wyświszczał przez zaciśnięte zęby – wstyd mi za pana. Zachowywał się pan jak... Idę, idę – wrzasnął, już znowu promieniejąc, porwał ze stołu wazon z piwoniami, i rozpryskując wodę, wyszedł.

Cyncynat wciąż wbijał wzrok w książkę. Na stronę upadła kropla. Kilka widocznych przez nią liter z petitu zmieniło się w cycero, napuchnąwszy jakby umieszczono nad nimi łupę.

## Rozdział 8

(Są tacy, co temperują ołówek do siebie, jakby skrobali ziemniaki, są też tacy, co strugają od siebie, jak kijek... Do tych ostatnich należał Rodion. Miał stary scyzoryk z kilkoma ostrzami i korkociągiem. Korkociąg sypiał na zewnątrz).

„Dzisiaj mija ósmy dzień (pisał Cyncynat ołówkiem, który się skrócił o ponad jedną trzecią długości), a ciągle jeszcze nie tylko żyję, to znaczy jestem obło ograniczony i zaćmiony sobą, ale i, jak każdy śmiertelnik, nie znam godziny śmierci i mogę zastosować do siebie regułę odnoszącą się do wszystkich: prawdopodobieństwo przyszłości jest odwrotnie proporcjonalne do stopnia jej teoretycznego oddalenia. Inna rzecz, że w moim przypadku ostrożność każe posługiwać się tylko bardzo niewielkimi liczbami – ale nic, nic, żyję. Tej nocy – a zdarza się to nie po raz pierwszy – miałem dziwne wrażenie: zdejmuję z siebie warstwę za warstwą i w końcu... nie wiem, jak to opisać – ale wiem jedno: poprzez to stopniowe zdejmowanie dochodzę do ostatniego, niepodzielnego, stałego, promieniejącego punktu i ten punkt mówi: «jam jest!» – jak pierścień z perłą w skrwawionym tłuszczu rekina – o, moje wierne, moje wieczne... i ten punkt mi wystarczy – właściwie niczego więcej nie trzeba. Być może jako obywatel przyszłego stulecia, gość przybyły zbyt wcześnie (gospodyni jeszcze

nie wstała), być może po prostu jako karnawałowe monstrum w gapiącym się, beznadziejnie świątecznym świecie – przeżyłem bolesne życie i jego ból chciałbym przedstawić, ale wciąż się boję, że nie zdążę. Odkąd tylko siebie pamiętam – a pamiętam siebie z bezprawną wyrazistością – byłem swoim własnym współnikiem przestępstwa, zbyt wiele wiedzającym o sobie, a przeto niebezpiecznym, a przeto... Wywodzę się z takiego palącego mroku, wiruję jak bąk z taką siłą napędową, z takim żarem – że do dziś czuję (czasem we śnie, czasem zanurzając się w bardzo gorącej wodzie) to moje pierwotne dygotanie, pierwsze oparzenie, sprężynę mojego «ja». Jakże wyskoczyłem – śliski i nagi! Tak, z obszaru dla innych zakazanego i niedostępnego, tak, coś niecoś wiem, tak... ale nawet teraz, kiedy ostatecznie wszystko jest skończone, nawet teraz – Czy boję się kogoś sprowadzić na manowce? Albo nic nie wyjdzie z tego, co chcę opowiedzieć, zostaną tylko czarne trupy uduszonych słów, jak wisielcy... wieczorne zarysy cyrylickich lub greckich liter, ściskające za gardło gammy, głodne kruki i wrony... wydaje mi się, że wolałbym powróż, ponieważ wiem z pewnością i nieodwołalnie, że będzie to topór; trochę zyskanego czasu, który jest mi teraz tak drogi, że cenię każdą chwilę wytchnienia, każde odroczenie... Chodzi mi o czas na myślenie, o urlop, którego udzielam swojej myśli na darmową podróż od faktów do fantazji – i z powrotem... Chodzi mi jeszcze o wiele innych rzeczy, ale nieumiejętność pisania, pośpiech, zdenerwowanie,

słabość... Coś niecoś wiem. Coś niecoś wiem. Ale tak trudno to coś wyrazić! Nie, nie mogę... chciałby to człowiek rzucić – a jednocześnie ma wrażenie, że kipiąc, podnosi się jak mleko, że oszaleje od łaskotek, jeżeli nie znajdzie jakiegoś środka wyrazu. O nie – nie cieknie mi ślinka na myśl o własnej osobie, nie kwapię się do gorących zapasów ze swoją duszą w mrocznym pokoju; nie mam żadnych, żadnych pragnień, oprócz pragnienia, żeby się wypowiedzieć – całej niemocie świata na złość. Jakże się boję. Jakże mnie mdli. Nikt jednak nie zabierze mi siebie. Boję się – i oto gubię jakąś nić, którą jeszcze przed chwilą czułem w palcach. Gdzie się podziała? Wyśliznęła się! Dygoczę nad kartką papieru, dogryzam się do grafitu, zgarbionymi plecami usiłuję odgrodzić się od drzwi, przez które przenika spojrzenie i kłuje mnie w kark – i zdaje się, że już-już wszystko zemnę, podreę... Przez pomyłkę trafiłem tutaj – nie do więzienia, tylko w ogóle do tego straszego, pasiastego świata; ten świat to niby nie najgorszy przykład wytworu sztuki amatorskiej, ale w istocie – nieszczęście, potworność, szaleństwo, pomyłka – i proszę, opuścił na mnie drewniany młot ogromny rzeźbiony niedźwiedź. A przecież od wczesnego dzieciństwa miewałem sny... W moich snach świat był uszlachetniony, uduchowiony; ludzie, których na jawie tak bardzo się bałem, pojawiali się w nich poddani migotliwej refrakcji, jakby byli przepojeni i otoczeni tą wibracją powietrza, jaka podczas upału ożywia same kontury przedmiotów; głosy tych ludzi, ich chód, wyraz

oczu, a nawet wyraz ubrania – nabierały ekscytującego znaczenia; mówiąc prościej: w moich snach świat ożywał, stawał się taki uroczo ważny, wolny i eteryczny, że później było mi ciężko oddychać kurzem namalowanego życia. Poza tym już dawno przyzwyczałem się do myśli, że to, co wszyscy nazywają snami, jest półrzeczywistością, obietnicą rzeczywistości, jej przedsmakiem i tchnieniem, to znaczy, że zawierają one w sobie, w bardzo mętnej i rozcieńczonej postaci, więcej prawdziwej rzeczywistości niż nasza wychwalana jawa, będąca z kolei półsnem, złą drzemką, do której przenikają z zewnątrz osobliwie wykoślawione głosy i obrazy rzeczywistego świata, przepływającego za opłótkami świadomości; zdarza się przecież, że słyszymy we śnie straszną, przewrotną historię, ponieważ gałąź ociera się o szybę, albo widzimy samych siebie zapadających się w śnieg, ponieważ zsuwa się nam kołdra. Jakże jednak boję się obudzić! Jakże boję się tej chwili czy raczej: cząstki chwili – już wtedy rozciętej, kiedy, chrząknąwszy jak drwal – A czego tu się bać? Przecież dla mnie będzie to już tylko cień topora i opadające «at» innym już usłyszę słuchem. A jednak się boję! Tak łatwo, paroma pociągnięciami pióra, nie da się tego załatwić. Niedobrze też, że moje myśli krążą w jednym miejscu, bezustannie wsysane przez tę dziurę w przyszłości – nie chcę już o tym myśleć, co innego chcę wyjaśnić... piszę jednak mdło i mgliście, jak poetyczny pojedynekowicz u Puszkina. Niedługo wykształci mi się chyba trzecie oko – z tyłu, na

karku, między kruchymi kręgami: szalone oko, szeroko otwarte, z pulsującą źrenicą i różowym żyłkowaniem na lśniącej gałce. Nie dotykaj! Nawet – silniej, chrapliwie: nie rusz! Wszystko przeczuwam! I jakże często dźwięczy mi w uszach mój przyszły szloch i straszny bulgoczący kaszel, jakim dławi się świeżo ścięty człowiek. Wszystko to jednak nie jest na temat, a moje rozważania o snach i jawie – też nie są na temat... Stop! Znowu czuję, że zaraz wypowiem się naprawdę, osaczę słowo. Niestety, nikt mnie nie uczył takich łowów, a prastara wrodzona umiejętność pisania dawno już poszła w zapomnienie, dawno już zapomniano czasy, kiedy nie trzeba było uczyć tej sztuki, kiedy wybuchała ona i rozprzestrzeniała się jak pożar – teraz pisanie wydaje się czymś równie nieprawdopodobnym, jak wydobywana niegdyś z monstrualnych fortepianów muzyka, która chyżo szemrała albo rozszczepiała nagle świat na ogromne, połyskujące, lite bloki – to ja wyobrażam to sobie tak wyraziście, ale wy nie jesteście mną i w tym całe nieuchronne nieszczęście. Nie umiem pisać, ale przeczuwając jakimś występny zmysłem, jak się składa słowa i co trzeba zrobić, żeby wytarte słowo ożyło, żeby zapożyczyło od swego sąsiada jego blask, żar, cień, samo się w nim, słownym sąsiedzie, odbijając i jednocześnie jego odświeżając tym odbiciem, tak że cała linijka zaczyna żyć i opalizować – przeczuwam istotę takiego sąsiedztwa słów, nie mogę go jednak w żaden sposób uchwycić, a tego właśnie przede wszystkim wymaga moje zadanie,

które nie dotyczy ani teraz, ani tutaj. Nie tutaj! Tępe «tutaj», które podpira i w którym rozpiera się «t», twarda twierdza, w której murach zamknięto nieustannie skuczając upiorną trwozę, to «tutaj» trzyma mnie, tłoczy, przygniata.

Ale nocami – jakie przebłyski, jakie... On jest, jest mój senny świat, nie może go nie być, bo przecież musi istnieć wzór, skoro istnieje nędzna kopia. Senny, wypukły, granatowy – odwraca się powoli do mnie. I to jest tak, jak gdy w pochmurny dzień leży się na plecach, z zamkniętymi oczami – i nagle pod powiekami porusza się ciemność, powoli zmienia się w tęskny uśmiech, a potem w gorące doznanie szczęścia, i wie się: zza chmur wyjrzało słońce. Od takiego właśnie doznania zaczyna się mój świat: stopniowo rozjaśnia się mgliste powietrze – i rozlewa się w nim taka promienna, drżąca dobroć, tak swobodnie rozprostowuje się moja dusza w swojej ojczyściej okolicy – Ale co dalej, co dalej? – tak, tu przebiega linia, za którą przestaję być panem sytuacji... Słowo, wyciągnięte na powietrze, pęka, jak pękają w sieciach kuliste ryby, które oddychają i połyskują tylko w ciemnych, sprężonych głębinach. Czynię jednak jeszcze ostatni wysiłek i oto, zdaje się, jest zdobycz – ach, to tylko ulotny obraz zdobyczy! Tam – niezrównaną mądrością płonie ludzkie spojrzenie; tam swobodnie przechadzają się dręczeni tutaj dziwacy; tam czas układa się zgodnie z wolą człowieka, jak wzorzysty dywan, którego fałdy można zebrać w taki sposób, by zetknęły się ze sobą dwa

dowolne wzory – i znowu dywan się rozwija, i człowiek żyje dalej albo nakłada kolejny obraz na poprzedni, bez końca, bez końca – z leniwą, długotrwałą uwagą kobiety, dobierającej pasek do sukienki – i oto kobieta płynnie ruszyła ku mnie, miarowo bodąc kolanem aksamit, wszystko zrozumiawszy, i dla mnie zrozumiała... Tam, tam – oryginał tych ogrodów, po których błakaliśmy się tutaj, w których ukrywaliśmy się; tam wszystko uderza swoją czarowną oczywistością, prostotą doskonałego dobra; tam wszystko raduje duszę, wszystko przeniknięte jest tą uciechą, którą znają dzieci; tam błyszczą to lustro, które czasami puszcza zajaczka aż tutaj... Ale wszystko to – nie tak, niezupełnie tak, i mieszam się, przestępuję z nogi na nogę, łzę bez miary – a im dłużej poruszam się i szperam w wodzie, gdzie na piaszczystym dnie szukam blasku, który mignął mi przed oczami, tym mętniejsza woda, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że znajdę, pochwycę. Nie, niczego jeszcze nie powiedziałem albo raczej powiedziałem same rzeczy książkowe... i koniec końców należałoby to rzucić i rzuciłbym, gdybym się trudził dla kogokolwiek spośród żyjących teraz, skoro jednak nie ma na świecie ani jednego człowieka umiającego mówić moim językiem; albo krócej: ani jednego człowieka umiającego mówić; albo jeszcze krócej: ani jednego człowieka – to przychodzi mi troszczyć się tylko o siebie, o tę siłę, która każe mi się wypowiedzieć. Zimno mi, osłabłem, strach mnie przenika, mój kark mruga i mruży się, i znowu z szaleńczą uwagą

patrzy – a jednak, jak kubek do miejskiego źródła, jestem przykuty łańcuchem do tego stołu – i nie wstanę, dopóki się nie wypowiem... Powtarzam (nabierając nowego rozpędu, posłuszny się rytmem powracających zaklęć), powtarzam: coś niecoś wiem, coś niecoś wiem, coś niecoś... Jeszcze jako dziecko, jeszcze mieszkając w kanarkowożółtym dużym, chłodnym domu, gdzie mnie i setki innych dzieci przygotowywano do szczęśliwego niebytu dorosłych bałwanów, w których wszyscy moi rówieśnicy bez trudu, bezboleśnie się przekształcili; jeszcze wtedy, w tych przeklętych czasach, wśród zmurszałych książek i jaskrawo pomalowanych pomocy naukowych, i przejmujących duszę chłodem przeciągów – wiedziałem, nie dowiedziawszy się, wiedziałem, nie dziwiąc się, wiedziałem, jak wie się różne rzeczy o sobie, wiedziałem to, czego wiedzieć niepodobna – wiedziałem chyba jeszcze lepiej niż wiem teraz. Wyczerpało mnie bowiem życie: nieustanne drżenie, zatajanie wiedzy, udawanie, strach, bolesny wysiłek wszystkich nerwów – nie osłabnąć, nie zadźwięczeć... i jeszcze dzisiaj boli mnie to miejsce pamięci, gdzie odcisnął się sam początek tego wysiłku, to znaczy chwila, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że rzeczy, które zdawały mi się naturalne, są w istocie zabronione, niemożliwe, że wszelka myśl o nich jest występkiem. Dobrze pamiętam ten dzień! Chyba dopiero co nauczyłem się wtedy stawiać litery, widzę bowiem siebie z miedzianym pierścionkiem na małym palcu, a pierścionki takie nakładano dzieciom umiejącym

już przepisywać słowa z klombów w ogrodzie szkolnym, na którym petunie, floksy i aksamitki układały się w długie sentencje. Siedziałem z podwiniętymi nogami na niskim parapecie okiennym i przyglądałem się z góry, jak moi rówieśnicy, ubrani w długie różowe fartuszki identyczne z tym, który miałem na sobie, wzięwszy się za ręce, wirują na trawniku wokół słupa przystrojonego wstążkami. Czy byłem wtedy za coś ukarany? Nie, to raczej niechęć innych dzieci do bawienia się ze mną oraz śmiertelne zakłopotanie, wstyd i przygnębienie, jakie odczuwałem, kiedy miałem się do nich przyłączyć, kazały mi wybrać ten biały kąt parapetu, wyraźnie ograniczony cieniem na wpół otwartego okna. Dobiały mnie okrzyki, jakich wymagała zabawa, i donośny, rozkazujący głos rudej «pedagożki»: widziałem jej loki i okulary – i z pełnym wstrętu przerażeniem, nigdy mnie nie opuszczającym, obserwowałem, jak szturcha najmniejsze spośród dzieci, żeby kręciły się zwawiej. I ta nauczycielka, i słup w pasy, i białe chmury, pozwalające od czasu do czasu przebić się ślizgającemu się słońcu, które nagle tryskało takim namiętym, szukającym czegoś światłem – wszystko to z takim roziskrzeniem powtarzało się w szybie otwartego okna... Słowem, czułem taki strach i smutek, że starałem się utonąć w sobie, skryć się tam, zupełnie jakbym chciał zahamować i wyśliznąć się z bezsensownego życia, które mnie niosło. W tym momencie na końcu kamiennej galerii, na której się znajdowałem, pojawił się najstarszy spośród

wychowawców – jego imienia nie pamiętam – gruby, spocony, z czarną włochatą piersią; zamierzał wziąć kąpiel. Już z daleka krzyknął do mnie głosem, którego siłę wyolbrzymiała akustyka, żebym poszedł do ogrodu; przybliżył się szybko i machnął ręcznikiem. Pełen smutku, roztargniony, nieświadomie i niewinnie, zamiast zejść do ogrodu po schodach (galeria znajdowała się na drugim piętrze), nie myśląc o tym, co robię, ale w gruncie rzeczy posłusznie, nawet pokornie, prosto z parapetu zszedłem na miękkie, sprężyste powietrze i nie doznając niczego szczególnego prócz niewyraźnego wrażenia, że jestem bosy (choć miałem na nogach buty), powoli się poruszyłem, najnormalniej w świecie zrobiłem parę kroków do przodu, wciąż z tym samym roztargnieniem, posysając i oglądając palec, w który wbiłem sobie rano drzazgę... nagle jednak niezwykła, ogłuszająca cisza wyrwała mnie z zadumy: zobaczyłem w dole twarze oszołomionych dzieci, podniesione ku mnie jak blade margerytki, i «gożkę», padającą – jak się zdawało – na wznak; zobaczyłem też przystrzyżone na okrągło krzewy i ręcznik, który nie doleciał jeszcze do trawnika; zobaczyłem siebie samego – chłopca w różowym fartuszkach, zastygłego w powietrzu; odwróciwszy się, zobaczyłem o trzy powietrzne kroki od siebie dopiero co opuszczone okno i włochate ramię wyciągnięte w złowrogim zdumieniu... ".

(W tym momencie, niestety, w celi zgasło światło – Rodion wyłączył je równo o dziesiątej).



## Rozdział 9

I znowu dzień rozpoczął się szumem głosów. Rodion posepnie wydawał polecenia, pomagało mu jeszcze trzech pracowników. Na widzenie przybyła cała rodzina Marfińki wraz z całym umeblowaniem. Nie tak, nie tak wyobrażaliśmy sobie to długo oczekiwane spotkanie... Jakżeż się oni wpakowali! Stary ojciec Marfińki – ogromna łysa głowa, worki pod oczami, kauczukowy stukot czarnej laski; bracia Marfińki – bliźniaki, podobni do siebie jak dwie krople wody, tylko jeden ze złotymi wąsami, a drugi ze smolistymi; dziadek i babka Marfińki ze strony matki – tak starzy, że już przeświecali; trzy fertyczne kuzynki, których jednak w ostatniej chwili z jakichś powodów nie wpuszczono; dzieci Marfińki – chromy Diomedon i chorobliwie otyła Polina; wreszcie sama Marfińka, w swojej czarnej wyjściowej sukni, z aksamitką wokół zimnej białej szyi i z lusterkiem w rękę; nie odstępował jej bardzo poprawny młody człowiek o nienagannym profilu.

Teść, opierając się na lasce, usiadł w skórzanym fotelu, który przybył wraz z nim, z wysiłkiem umieścił tłustą zamszową nogę na stołeczku, i gniewnie kiwając głową, spod ciężkich powiek wbił spojrzenie w Cyncynata, którego ogarnęło znajome mętne uczucie na widok brandeburów ozdabiających ciepłą kurtkę teścia, rozmieszczonych wokół jego ust zmarszczek, które

wyrażały jakby wieczną odrazę, i purpurowej plamy na żyłkowanej skroni ze zgrubieniem – przypominającym duży rodzynek – na samej żyłę.

Dziadek i babka (on – trzęsący się, pomarszczony, w połatanych spodniach; ona – z ostrzyżonymi na jeża siwymi włosami i tak chuda, że mogłaby na siebie naciągnąć jedwabny pokrowiec parasola) umieścili się na dwu jednakowych krzesłach z wysokimi oparciami; dziadek nie wypuszczał z małych owłosionych dłoni masywnego, oprawionego w złotą ramę portretu swojej matki – zamglonej młodej kobiety także trzymającej jakiś portret.

Jednocześnie wciąż nadchodziły meble, sprzęt gospodarski, nawet poszczególne fragmenty ścian. Połyskiwała szeroka lustrzana szafa, która przybyła wraz ze swym własnym prywatnym odbiciem (kącik małżeńskiej sypialni – pas słońca na podłodze, upuszczona rękawiczka i otwarte drzwi w głębi). Wtoczono niewesoły rowerek z różnymi ortopedycznymi figielkami. Na inkrustowanym stoliku już od dziesięciu lat znajdowały się płaski granatowy flakon i szpilka. Marfińka usiadła na swojej czarnej, haftowanej w róże sofie.

– Biada, biada! – oznajmił teść i stuknął laską.

Staruszkowie uśmiechali się lekliwie.

– Daj spokój, tatusiu, słyszeliśmy to już tysiąc razy – powiedziała cicho Marfińka i wzruszyła zmarzniętym ramieniem.

Nieodstępny młody człowiek podał jej aksamitny szal, lecz ona, tkliwie uśmiechnąwszy się kącikiem cienkich ust, odsunęła jego czułą rękę. („Przede wszystkim patrzę na ręce mężczyzny”). Młodzieniec ubrany był w szykowny czarny mundur pracownika telegrafu i pachniał fiołkowymi perfumami.

– Biada! – z mocą powtórzył teść i zaczął szczegółowo i z upodobaniem przeklinać Cyncynata. Wzrok Cyncynata przyciągnęło zielone w białe groszki ubranko Poliny: ruda, zezowata, w okularach, nie śmiech wzbudzająca, lecz smutek tymi groszkami i pulchnością, apatycznie poruszając tłustymi nogami w brązowych wełnianych pończochach i bucikach zapinanych na guziki, podchodziła do obecnych i dosłownie studiowała każdego z nich, poważnie, w milczeniu patrząc małymi ciemnymi oczami, które zbiegały się u nasady nosa. Biedaczka miała zawiązaną na szyi serwetkę – widać zapomniano ją zdjąć po śniadaniu.

Teść nabrał powietrza i znów stuknął laską, a wtedy Cyncynat powiedział:

– Tak, słucham.

– Milcz, bezczelny – krzyknął tamten. – Mam prawo oczekiwać od ciebie – nawet dzisiaj, kiedy stoisz na progu śmierci – odrobiny szacunku. Znalazł sobie sposób, żeby trafić na szafot... Wyjaśnij mi proszę, jak mogłeś, jak śmiałeś...

Marfińka cicho spytała o coś swojego młodego człowieka, który ostrożnie się kręcił, szperając koło siebie

i pod sobą na sofie.

– Nie, nie, nic takiego – odpowiedział także cicho.

– Musiałem po drodze... Nic takiego, znajdzie się... Ale czy pani na pewno nie jest chłodno?

Marfińka, kręcąc przecząco głową, położyła miękką dłoń na jego przegubie; natychmiast cofnąwszy rękę, poprawiła suknię na kolanach i syczącym szeptem zawołała syna, który kleił się do wujów; ci odpychali go – przeszkadzał im słuchać. Diomedon, ubrany w szarą bluzę z gumką na biodrach, wyginając się cały w rytmicznych skrętach, dość szybko przebył odległość dzielącą ich od matki. Jego lewa noga była zdrowa i rumiana; prawa natomiast przypominała skomplikowaną konstrukcję karabinu: lufa, pas. Okrągłe piwne oczy i rzadkie brwi miał po matce, lecz dolną część twarzy: szczęki jak u buldoga – tę miał oczywiście po kimś innym.

– Siadaj tu – powiedziała Marfińka półgłosem i szybkim ruchem przytrzymała zsuwające się z sofy lusterko.

– Powiedz mi – ciągnął teść – jak śmiałeś, ty, szczęśliwy ojciec rodziny – piękne meble, cudowne dzieciaki, kochająca żona – jak śmiałeś nie wziąć pod uwagę, nie zastanowić się, łotrze? Zdaje mi się czasami, że jestem po prostu starym bałwanem i niczego nie rozumiem, bo inaczej trzeba by założyć taką otchłań ohydy... Milczeć! – ryknął i staruszkowie znów się wzdrygnęli i uśmiechnęli.

Czarny kot, przeciągając się, prężąc tylne łapy, otarł się

bokiem o nogę Cyncynata, potem znalazł się nagle na kredensie, odprowadzającym go wzrokiem, i stamtąd bezszelestnie skoczył na ramię adwokata, który dopiero co wszedłszy na palcach, siedział w kątku na pluszowym pufie – był bardzo przeziębiony i sponad gotowej do użycia chusteczki do nosa przypatrywał się wszystkim obecnym, a także rozmaitym przedmiotom domowego użytku, nadającym celi wygląd pomieszczenia, w którym odbywa się licytacja; przestraszył się kota i konwulsyjnie zrzucił go z siebie.

Teść kipiał, mnożył przekleństwa i zaczynał już chrypieć. Marfińska zakryła dłonią oczy, jej młody człowiek wpatrywał się w nią, napinając gulowate mięśnie szczęki. Na kanapie z wygiętym oparciem siedzieli bracia Marfiński; brunet, cały ubrany na żółto, z rozpiętym kołnierzykiem, trzymał zwitek papieru nutowego jeszcze bez nut – był jednym z pierwszych śpiewaków miasta; jego brat, w lazurowych szarawarach, elegant i kpiarz, przyniósł prezent dla szwagra – salaterkę jaskrawych owoców zrobionych z wosku. Poza tym założył sobie na rękaw opaskę z krepy, i łowiąc spojrzenia Cyncynata, pokazywał ją palcem.

Teść w zenicie krasomówczego gniewu nagle stracił oddech i tak szarpnął fotelem, że cichutka Polina, stojąca obok i wpatrzona w jego usta, przewróciła się do tyłu, za fotel; leżała tam bez ruchu w nadziei, że nikt tego nie zauważył. Teść zaczął z trzaskiem otwierać pudełko papierosów. Wszyscy milczeli.

Zmięte dźwięki zaczynały się stopniowo rozprostowywać. Brat Marfińki, brunet, odchrząknął i zaśpiewał półgłosem: *Mali e trano t'amesti...* – zaciął się i spojrzał na brata, który zrobił straszne oczy. Adwokat, uśmiechając się z jakiegoś powodu, znowu zajął się chusteczką. Na sofie Marfińka szeptała ze swoim kawalerem, który błagał ją, żeby włożyła szal – więzienne powietrze było wilgotnawe. Zwracali się do siebie: pan i pani, ale z jakimż ładunkiem czułości żeglowało to „pan” i to „pani” na horyzoncie ich ledwie dosłyszalnej rozmowy... Staruszek, drżąc okropnie, wstał z krzesła, oddał portret staruszce, i osłaniając drżący jak on sam płomień, podszedł do teścia Cyncynata, a swojego zięcia, i chciał mu... Lecz płomień zgasł i ten ostatni zmarszczył się ze złością:

– Nudzisz, doprawdy, z tą swoją głupią zapalniczką – powiedział posepnie, lecz już bez gniewu – i wtedy atmosfera się ożywiła, i od razu wszyscy zaczęli rozmawiać:

„*Mali e trano t'amesti...* ” – pełnym głosem zaśpiewał brat Marfińki.

– Diomedon, zostaw tego kota – powiedziała Marfińka – przedwczoraj już jednego udusiłeś, nie można tak codziennie. Niech mu pan odbierze, Wiktorze, drogi.

Korzystając z ogólnego ożywienia, Polina wypełzła zza fotela i cichutko wstała. Adwokat podszedł do teścia Cyncynata i podał mu ogień.

– Weź słowo „tak” – mówił do Cyncynata jego

szwagier kpiarz – i przeczytaj wspak. Zabawnie wychodzi, co? Będiesz się dalej upierał? No, bracie, wdepnąłeś w nielichą historię. A właściwie, co cię podkusiło?

Tymczasem niepostrzeżenie otworzyły się drzwi. Na progu, obaj z rękami jednakowo splecionymi na plecach, stali M'sieur Pierre oraz dyrektor, i cicho, delikatnie, poruszając jedynie źrenicami, przyglądali się towarzystwu. Patrzyli tak mniej więcej przez minutę, zanim nie odeszli.

– Wiesz co – mówił, dysząc gorąco, szwagier – posłuchaj starego druha. Pokajaj się, Cyncynacik. No, zrób to dla mnie. A nuż jeszcze przebaczą, co? Pomyśl, jak to nieprzyjemnie, kiedy łeb odrabują. Co ci zależy? No, pokajaj się, nie bądź durniem.

– Uszanowanie, uszanowanie, uszanowanie – powiedział, podchodząc, adwokat. – Proszę mnie nie całować, jestem jeszcze bardzo przeziębiony. O czym panowie rozmawiają? W czym mogę pomóc?

– Dajcie mi przejść – wyszeptał Cyncynat – muszę dwa słowa... żonie...

– Teraz, najdroższy, omówmy kwestie majątkowe – powiedział orzeźwiony teść, tak wyciągając laskę, że Cyncynat wpadł na nią. – Stój, stójże, mówię do ciebie!

Cyncynat nie zatrzymał się; trzeba było wyminąć duży stół, nakryty na dziesięć osób, a potem precyzyjnie się między parawanem i szafą, żeby dotrzeć do Marfińki, spoczywającej na sofie. Młody człowiek przykrył jej nogi

szalem. Cyncynat już niemal doszedł, lecz nagle rozległ się wściekły pisk Diomedona. Cyncynat obejrzał się i zobaczył Emmoczkę, która znalazła się tutaj nie wiadomo jak, i teraz drażniła chłopca: naśladowując jego kalectwo, utykała na jedną nogę ze skomplikowanymi podrygami. Cyncynat złapał ją za nagie przedramię, ale mu się wyrwała i uciekła; za nią, kołyszając się z boku na bok, pospieszała Polina w cichej ekstazie ciekawości.

Marfińka zwróciła się w jego stronę. Młody człowiek bardzo taktownie wstał.

– Tylko dwa słowa, Marfińko, błagam cię – powiedział szybko Cyncynat, potknął się o leżącą na podłodze poduszkę i niezgrabnie usiadł na brzegu sofy, wtulając się w swój powalany popiołem szlafrok.

– Lekka migrena – rzekł młody człowiek. – Nic dziwnego. Szkodzą jej takie wzruszenia.

– Ma pan rację – powiedział Cyncynat. – Tak, ma pan rację. Chciałbym pana prosić... ja muszę na osobności...

– Łaskawy pan pozwoli – rozległ się obok głos Rodiona.

Cyncynat wstał; Rodion i jeszcze jeden pracownik, patrząc sobie w oczy, chwycili sofę, na której spoczywała Marfińka; chrząknęli, podnieśli mebel i ruszyli ku wyjściu.

– Do widzenia, do widzenia – dziecinnie wołała Marfińka, kołyszając się w rytm kroków tragarzy. Lecz nagle zmrużyła oczy i zakryła twarz. Jej kawaler szedł troskliwie z tyłu, niosąc podniesiony z podłogi czarny

szal, bukiet, swój kaszkiet i pojedynczą rękawiczkę. Dookoła panowało zamieszanie. Bracia chowali naczynia do kufra. Ich ojciec, dysząc astmatycznie, ujarzmił wieloskrzydłowy parawan. Adwokat proponował wszystkim duży arkusz papieru do pakowania, nie wiadomo gdzie przezeń zdobyty; widziano go, jak bezskutecznie próbował zawinąć w niego każdą z bladopomarańczową rybką pływającą w mętnej wodzie. Pośród zamieszania szeroka szafa ze swym własnym prywatnym odbiciem stała jak ciężarna kobieta, troskliwie trzymając i odwracając lustrzany brzuch, żeby go nikt nie dotknął. Przechylnono ją do tyłu i chwiejnym krokiem wyniesiono. Wszyscy podchodzili do Cyncynata, żeby się pożegnać.

– No, nie wspominaj źle – powiedział teść i z chłodną kurtuazją pocałował Cyncynata w rękę, jak wymagał obyczaj. Jasnowłosey brat posadził sobie brata-bruneta na ramiona; w takiej pozycji pożegnali się obaj z Cyncynatem i wyszli – jak żywa góra. Dziadek z babką, drżąc, kłaniali się i podtrzymywali zamglony portret. Pracownicy służby więziennej wciąż wynosili meble. Podeszły dzieci: Polina, poważna, wznosiła oczy, Diomedon przeciwnie, wbijał wzrok w podłogę. Wyprowadził je adwokat, trzymając oboje za ręce. Ostatnia podleciała Emmoczka: blada, zapłakana, z różowym nosem i drżącymi wilgotnymi ustami – milczała, lecz nagle z lekkim trzaskiem stanęła na palcach i oplótłszy jego szyję gorącymi ramionami, coś

niewyraźnie zaszepiała i zaszlochała głośno. Rodion chwycił ją za przegub – sądząc z jego mamrotania, wołał ją już od dawna i teraz zdecydowanie powlókł do wyjścia. Ona zaś, wygiąwszy się, przechyliwszy i odwróciwszy do Cyncynata głowę ze spływającymi włosami, wyciągnąwszy do niego – dłonią do góry – czarującą rękę, w pozie branki z baletu, lecz z odcieniem prawdziwej rozpacz, niechętnie podążała za wlokącym ją Rodionem – jej oczy były wywrócone, ramiączko zsunęło się – i wreszcie, biorąc duży rozmach, jak wodę z wiadra wylał ją Rodion na korytarz; wciąż jeszcze mamrocząc, wrócił ze śmietniczką, żeby zabrać martwego kota, który leżał płasko pod stołem. Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem. Trudno było uwierzyć, że w tej celi dopiero co...

## Rozdział 10

– Kiedy wilczek zaznajomi się bliżej z moimi poglądami, przestanie ode mnie stronić. Coś niecoś, zresztą, już się udało osiągnąć i z całej duszy się z tego cieszę – mówił M'sieur Pierre, który swoim zwyczajem siedział bokiem do stołu, ciasno skrzyżowawszy tłuste uda, i wygrywał jedną ręką bezgłośnie akordy na przykrywającej blat ceracie. Cyncynat, podpierając ręką głowę, leżał na łóżku.

– Jesteśmy teraz sami, na dworze pada – ciągnął M'sieur Pierre. – Taka pogoda sprzyja pogwarkom od serca. Nie ma co, wyjaśnijmy sobie raz na zawsze... odniosłem wrażenie, że dziwi pana, a nawet szokuje, stosunek naszej zwierzchności do mnie; wygląda to tak, jakbym tu był na specjalnych prawach – nie, nie, proszę nie zaprzeczać – mówmy bez ogródek, skoro już o tym mówimy. Niechże mi pan pozwoli powiedzieć sobie dwie rzeczy. Zna pan przecież naszego miłego dyrektora (nawiasem mówiąc: wilczek traktuje go niezbyt sprawiedliwie, ale o tym później... ), wie pan, jaki jest wrażliwy, jak łatwo się zapala, jaki zachwyt budzi w nim każda nowość – myślę, że i panem zachwycał się w pierwszych dniach – namiętność, jaką do mnie teraz zapłonął, nie powinna więc pana niepokoić. Nie bądźmyż tacy zazdrośni, przyjacielu. Po drugie, zdaje się pan, o dziwo, jeszcze do tej pory nie wiedzieć, za co tu trafiłem –

ale kiedy panu powiem, wiele pan zrozumie. Przepraszam, co to pan ma na szyi – o, tutaj – tak, tutaj.

– Gdzie? – spytał machinalnie Cyncynat, obmacując sobie kręgi szyjne.

M'sieur Pierre podszedł do niego i usiadł na brzegu łóżka.

– O, tutaj – powiedział – ale nie, teraz widzę, że to tylko cień tak padał. Zdawało mi się, że ma pan tu jakąś obrzmiałość. Jakoś tak niepewnie porusza pan głową. Boli? Przeziębził się pan?

– Och, niech mi pan da spokój, bardzo proszę – powiedział żałośnie Cyncynat.

– Nie, chwileczkę. Ręce mam czyste, niech mi pan pozwoli pomacać.

Zdaje się, że jednak... Boli tutaj? A tutaj?

Malutką, ale muskularną ręką szybko dotykał szyi Cyncynata, uważnie ją badając i z lekkim świstem oddychając przez nos.

– Nie, nic tu nie ma. Wszystko w porządku – powiedział wreszcie, odsuwając się i klepiąc pacjenta po karku. – Tylko strasznie ma ją pan cieniutką – poza tym wszystko w normie, a czasem, wie pan, zdarza się... Proszę pokazać język. Język to zwierciadło żołądka. Proszę się przykryć, proszę się przykryć, trochę tutaj chłodno. O czym to gawędziliśmy? Niech mi pan przypomni.

– Gdyby pan rzeczywiście pragnął mojego dobra – powiedział Cyncynat – to zostawiłby mnie pan w spokoju.

Proszę już sobie pójść.

– Czyżby naprawdę nie chciał mnie pan wysłuchać – z uśmiechem zaprotestował M'sieur Pierre – czyżby pan tak uparcie wierzył w słuszność swoich wniosków, nieznanych mi w dodatku, niech pan zwróci uwagę, nieznanych.

Cyncynat milczał zasepiony.

– Proszę mi więc pozwolić oznajmić sobie – nieco podniosłym tonem ciągnął M'sieur Pierre – jakiego to rodzaju zbrodnię popełniłem. Obwiniono mnie – słusznie czy nie, to już inna sprawa – obwiniono mnie... No, o co, jak pan myśli?

– Niechże już pan powie – z anemicznym uśmieszkiem rzekł Cyncynat.

– Wstrząśnie to panem. Obwiniono mnie o próbę... Ach, niewdzięczny, nieufny przyjacielu... Obwiniono mnie o próbę udzielenia panu pomocy w ucieczce z tej twierdzy.

– Czy to prawda? – spytał Cyncynat.

– Ja nigdy nie kłamię – imponującym tonem powiedział M'sieur Pierre. – Być może, czasami trzeba kłamać – to już inna sprawa – być może, taka bezwzględna szczerłość jest głupia i koniec końców nie przynosi żadnego pożytku – niewykluczone. Fakt jednak pozostaje faktem: nigdy nie kłamię. Trafiłem tu, kochaneczku, przez pana. Zabrano mnie nocą... Gdzie to było? Powiedzmy, w Wyszniegradzie. Tak, jestem wyszniegradczykiem. Kruszarnie soli, sady. Jeśli zechce pan kiedyś przyjechać

w odwiedzin, ugoszczę pana naszymi wyszniami – nie odpowiadam za kalambur, wziąłem go z herbu naszego miasta. Tam – nie w herbie, tylko w areszcie – pański pokorny sługa przesiedział trzy doby. Potem rozprawa w trybie przyspieszonym. Potem – przywieziono mnie tutaj.

– To znaczy, że chciał mnie pan uratować... – rzekł Cyncynat w zadumie.

– Chciałem czy nie chciałem – to moja rzecz, najdroższy mi druhu, z zapiecka karaluchu. W każdym razie zostałem o to oskarżony – wie pan, donosiciele to wszystko młode chłopaki, gorące głowy – i *voilà*, „stoję dziś tutaj, stoję urzeczony” – pamięta pan romans? Głównym dowodem był jakiś plan tej twierdzy z moimi, rzekomo, notatkami. Rzekomo, proszę sobie wyobrazić, obmyśliłem w najdrobniejszych szczegółach pańską ucieczkę, karaluszku.

– Rzekomo czy?...

– Jakie to naiwne, urocze stworzenie! – zaśmiał się M'sieur Pierre, pokazując liczne zęby. – Chce, żeby wszystko było takie proste, jakie w życiu nigdy, niestety, nie bywa!

– Człowiek chciałby jednak wiedzieć – rzekł Cyncynat.

– Co? Czy moi sędziowie nie mylili się? Czy rzeczywiście zamierzałem pana uratować? Ech, mój panie...

M'sieur Pierre wstał i zaczął chodzić po celi.

– Dajmy temu spokój – powiedział, westchnąwszy. – Niech pan sobie myśli, co chce, mój nieufny przyjacielu.

Było tak czy owak, dość, że trafiłem tu przez pana. Powiem więcej: także na szafot wejdziemy razem.

Chodził po celi, cicho, sprężyście stawiając stopy i podrygując miękkimi częściami ciała opiętego przydziałową piżamką, a Cyncynat z ciężką, ponurą powagą śledził każdy krok zwinnego tłuszczoszka.

– Dla śmiechu uwierzę panu – powiedział w końcu – zobaczymy, co z tego wyniknie. Słyszysz pan, wierzę w pańskie słowa. A nawet, żeby uczynić moją wiarę bardziej prawdopodobną, dziękuję panu.

– Ależ po co, to niepotrzebne... – rzekł Msieur Pierre i znowu usiadł przy stole.

– Chciałem po prostu, żeby orientował się pan w sytuacji... No i doskonale. Teraz jest nam obu źzej, prawda? Nie wiem jak panu, ale mnie zbiera się na płacz. I to jest dobre uczucie. Niech pan płacze, niech pan nie wstrzymuje tych zdrowych łez.

– Jakże tu okropnie – powiedział ostrożnie Cyncynat.

– Wcale nie okropnie. A właśnie, już dawno chciałem pana zganić za stosunek do życia tutaj. Nie, nie, proszę tego nie lekceważyć. Niech mi pan pozwoli jako przyjacielowi... Traktuje pan niesprawiedliwie naszego kochanego Rodiona, a już szczególnie pana dyrektora. Może i jest on niezbyt lotny, nieco nadęty, trochę roztrzepany, a do tego zawsze gotów palnąć mowę – tak, to wszystko prawda, sam czasami nie całkiem go trawię i, rzecz jasna, nie mogę się z nim dzielić swoimi najskrytszymi myślami, tak jak dzielę się z panem,

zwłaszcza kiedy duszę – proszę wybaczyć wyrażenie – zżera udręka. Niezależnie jednak od wszelkich ewentualnych wad jest on człowiekiem prostolinijnym, uczciwym i dobrym. Tak, rzadkiej dobroci człowiekiem – niech pan nie zaprzecza – nie mówiłbym, gdybym nie wiedział, nigdy nie rzucam słów na wiatr, a poza tym mam większe doświadczenie i lepiej znam życie i ludzi niż pan. Toteż boli mnie, kiedy widzę, z jakim okrutnym chłodem, z jaką wyniosłą pogardą odtrąca pan Rodryga Iwanowicza. Zdarza mi się w jego oczach wyczytać taką mękę... Co się zaś tyczy Rodiona, jakże to tak – pan, taki inteligentny człowiek, nie potrafi pod maską udawanej gburowości dostrzec całej wzruszającej poczciwości tego dziecka w skórze dorosłego mężczyzny? Och, rozumiem, że jest pan nerwowy, że ciężko panu bez kobiet, ale mimo wszystko, Cyncynacie – niech mi pan wybaczy – to jednak nieładnie, nieładnie... I w ogóle krzywdzi pan swoim stosunkiem ludzi... Niemal nie tyka pan wspaniałych obiadów, jakie tu dostajemy. Dobrze, powiedzmy, że panu nie smakują – proszę mi wierzyć, też mam niejakie pojęcie o gastronomii – ale pan z nich szydzi, a przecież ktoś je gotował, ktoś się starał... Rozumiem, że bywa tu niekiedy nudno, że chciałoby się pójść na spacer, podokazywać – dlaczego jednak myśleć tylko o sobie, o swoich pragnieniach, dlaczego pan ani razu nie zareagował choćby uśmiechem na pracowite żarciki naszego drogiego, rozczulającego Rodryga Iwanowicza?... A może on potem płacze, może nie sypia

po nocach, wspominając pańską reakcję...

– Obrona niewątpliwie zręczna – powiedział Cyncynat – ale ja znam się na kukłach. Nie ustąpię.

– I bardzo niedobrze – urażonym tonem powiedział M'sieur Pierre. – Kładę to na karb pańskiej młodości – dodał po chwili milczenia. – Nie, nie, nie może pan być taki niesprawiedliwy...

– A proszę mi powiedzieć – spytał Cyncynat – czy pan także nic nie wie? Wiadomy człowiek jeszcze nie przyjechał? Ścinka jeszcze nie jutro?

– Nie powinien pan używać takich słów – konfidencjonalnie zauważył M'sieur Pierre. – Zwłaszcza z taką intonacją... Jest w tym coś wulgarnego, niegodnego porządnego człowieka. Jak może to panu przejść przez usta – dziwię się...

– A jednak – kiedy? – spytał Cyncynat.

– W odpowiednim czasie – wymijająco odpowiedział M'sieur Pierre – cóż to za idiotyczna ciekawość? A w ogóle... Nie, musi się pan jeszcze dużo nauczyć, tak nie można. Ta arogancja, te uprzedzenia...

– Jakże jednak oni to ciągną... – rzekł sennie Cyncynat. – Człowiek się oczywiście przyzwyczaja... Dzień po dniu trzyma się duszę w pogotowiu – a przecież i tak wezmą znienacka. Minęło dziesięć dni, a ja jeszcze nie zwariowałem. Cóż, jakieś tam nadzieje... Niewyraźne, jak w wodzie – ale przez to tym bardziej kuszące. Mówił pan o ucieczce...

Zdaje mi się, domyślam się, że jeszcze ktoś nad tym

pracuje... Pewne aluzje... Ale jeśli to oszustwo, fałdka materii, która sprawia wrażenie ludzkiej twarzy...

Westchnął i zamilkł.

– Nie, to interesujące – powiedział M'sieur Pierre – co to za nadzieje i kto jest tym wybawcą?

– Wyobraźnia – odpowiedział Cyncynat. – A pan chciałby uciec?

– Jak to – uciec? Dokąd? – zdziwił się M'sieur Pierre.

Cyncynat znowu westchnął.

– Czy to nie wszystko jedno, dokąd? Moglibyśmy razem... Ale nie wiem, czy przy pańskiej tuszy może pan szybko biegać. Pańskie nogi...

– No, teraz to już pan wygaduje głupstwa – wierząc się na krześle, rzekł M'sieur Pierre. – Tylko w bajeczkach dla dzieci ucieka się z więzienia.

A uwagi na temat mojej tuszy proszę łaskawie zachować dla siebie.

– Spać mi się chce – powiedział Cyncynat.

M'sieur Pierre podwinął prawy rękaw. Ukazał się tatuaż. Pod zdumiewająco białą skórą jak tłuste krągłe zwierzątko przemieszczał się mięsień. M'sieur Pierre wparł się mocno stopami w podłogę, złapał jedną ręką krzesło, odwrócił je do góry nogami i zaczął wolno podnosić. Kołysząc się od wysiłku, trzymał je przez chwilę wysoko nad głową, a potem powoli opuścił. Był to jedynie wstęp.

Dyszając niezauważalnie, długo i starannie wycierał ręce czerwoną chusteczką, podczas gdy pajak, jak najmłodszy

członek cyrkowej rodziny, wykonywał prostą sztuczkę nad pajęczyną.

Rzuciwszy mu chusteczkę, M'sieur Pierre krzyknął coś po francusku i oto nagle okazało się, że stoi na rękach. Jego kragła głowa powoli nabiegała piękną różową krwią; lewa nogawka opadła, obnażając kostkę; wywrócone oczy – jak u każdego, kto przyjmie taką pozycję – stały się podobne do oczu ośmiornicy.

– No i co? – spytał po kolejnym skoku, doprowadzając ubranie do porządku.

Z korytarza dobiegł szum oklasków – a potem, osobno, maszerując, zaczął nieskładnie klaskać kłown, ale wpadł na barierkę.

– No i co? – powtórzył M'sieur Pierre. – Krzepa jest? Zręczności nie brakuje? Czy może jeszcze panu mało?

Jednym susem wskoczył na stół, stanął na rękach i zębami chwycił oparcie krzesła. Muzyka zamarła. M'sieur Pierre unosił krzesło, tkwiące między mocno zaciśniętymi zębami, drgały naprężone mięśnie i skrzypiała szczeka.

Cicho rozwarły się drzwi i wszedł – w botfortach, z batem, upudrowany i zalany oślepiającym liliowym światłem – dyrektor cyrku.

– Sensacja! Rewelacyjny numer! – wyszeptał, i zdjawszy cylinder, usiadł obok Cyncynata.

Coś chrupnęło i M'sieur Pierre, wypuściwszy z ust krzesło, fiknął kozła i znalazł się znów na podłodze. Najwyraźniej nie wszystko było w porządku. Natychmiast zakrył usta chusteczką, rzucił szybkie spojrzenie pod stół,

potem na krzesło, dostrzegł nagle to, czego szukał, i z głuchym przekleństwem spróbował zerwać z oparcia wbity w nie sztuczną szczękę na zawiasach. Wspaniale wyszczerzona, za nic nie chciała puścić, jak konwulsyjnie zaciśnięte zęby buldoga. Wtedy M'sieur Pierre, nie tracąc głowy, objął krzesło rękami i razem z nim wyszedł.

Rodryg Iwanowicz, który niczego nie zauważył, wściekle bił brawo.

Arena jednak pozostawała pusta. Dyrektor podejrzliwie spojrział na Cyncynata, poklaskał jeszcze trochę, ale już bez takiego zapachu, wzdrygnął się i wyraźnie przybity opuścił łóżę.

Na tym przedstawienie się skończyło.

## Rozdział 11

Gazet do celi już nie dostarczano: widząc, że wycina się z nich wszystko, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z egzekucją, Cyncynat sam się ich wyrzekł. Śniadanie stało się prostsze: zamiast czekolady – choćby słabej – podawano mu jakąś lurę z flotyllą listków herbaty; grzanek nie sposób było rozgryźć. Rodion nie ukrywał, że obmierzło mu obsługiwanie milczącego i grymaśnego więźnia.

Jakby naumyślnie kręcił się po celi wciąż dłużej i dłużej. Jego płomiennorude brodzisko, bezmyślny błękit oczu, skórzany fartuch, ręce podobne do kleszczy – wszystko to, powtarzając się, wywierając przygnębiające wrażenie takiej nudy, że Cyncynat odwracał się do ściany przez cały czas sprzątania.

Tak też było i teraz – tylko powrót krzesła, noszącego na górnej krawędzi prostego oparcia ślady jakby po zębach buldoga, posłużył za wyróżnik początku tego dnia. Razem z krzesłem Rodion przyniósł od M'sieur Pierre'a bilecik – litery zwijające się w loczki, uroda znaków przestankowych, podpis jak taniec siedmiu zasłon. W żartobliwych i czułych słowach sąsiad dziękował Cyncynatowi za wczorajszą przyjacielską rozmowę i wyrażał nadzieję, że niebawem się ona powtórzy.

„Niech mi pan pozwoli się zapewnić – tak kończył się bilecik – że fizycznie jestem bardzo, bardzo silny

(dwukrotnie podkreślone przy pomocy linijki), a jeśli się pan o tym jeszcze nie przekonał, będę miał honor pokazać panu kiedyś kilka innych interesujących (podkreślone) przykładów zręczności i zadziwiającego rozwoju mięśni".

Potem przez trzy godziny pod rząd, z niezauważalnymi przerwami momentami ponurego odrętwienia, to poskubując wąsy, to kartkując książkę, Cyncynat chodził po celi. Zgłębił ją już dokładnie – znał ją znacznie lepiej niż, powiedzmy, pokój, w którym mieszkał przez wiele lat.

Zagadnienie ścian przedstawiało się następująco: było ich niezmiennie cztery; całe były pomalowane na żółto; ponieważ jednak pozostawały w cieniu, zasadniczy ton wydawał się ciemny i gładki, jakby gliniasty, w porównaniu z owym ruchomym miejscem, gdzie spędzało dnie jasnorude odbicie okna: tu, w świetle, wyraźnie widać było wszystkie nierówności gęstej żółtej farby – nawet wygięte w falisty łuk rowki, ślad po zgodnym przejeździe włosków pędzla; była też pewna znajoma rysa, do której drogocenny równoległobok docierał o dziesiątej rano.

Z ciemoszarej kamiennej podłogi unosił się pełzający, chwytający za pięty chłodek: niedorozwinięte, złe, malutkie echo zamieszkiwało jakąś część lekko wklęsłego sufitu z żarówką (otoczoną siatką) na środku – a właściwie nie, nie całkiem na środku: nieregularność, która męcząco drażniła oczy – w tym sensie nie mniej męcząca była nieudana próba zamalowania żelaznych

drzwi.

Spośród trzech przedstawicieli mebli – łóżka, stołu i krzesła, tylko to ostatnie było ruchome. Ruszał się również pająk. W górze, tam gdzie zaczynało się lekkie nachylenie wgłębienia okna, wypasione czarne zwierzątko znalazło punkty oparcia dla pierwszorzędnej pajęczyny – z tym samym sprytem, jaki wykazywała Marfińka, kiedy w kącie, najmniej na pierwszy rzut oka nadającym się do tego celu, wieszala wypraną bieliznę, znajdując i miejsce, i sposób. Złożywszy przed sobą łapy tak, że włochate łokcie sterczały w przeciwne strony, okrągłymi piwnymi oczami pająk patrzył na rękę z ołówkiem, wyciągającą się ku niemu, i zaczynał się cofać, nie spuszczać z niej wzroku. Z wielką ochotą natomiast koniuszkami łap brał z olbrzymich palców Rodiona muchę albo ćmę – teraz na przykład na południowym zachodzie pajęczyny wisiało sieroce skrzydło motyla, purpurowe, z jedwabistym ściemnieniem i małymi niebieskimi rombami wzdłuż ząbkowanej krawędzi. Leciutko poruszał nim delikatny przeciąg.

Napisy na ścianach były zamazane. Zniknął też regulamin. Zabrany – lub może rozbity – został klasyczny dzban z mroczną podziemną wodą na echowym dnie. Wszystko było nagie, groźne i zimne w tym pomieszczeniu, gdzie ton „więzienia” tłumila obojętność poczekalni – w urzędzie, szpitalu czy jeszcze gdzie indziej – właściwa godzinie, kiedy ma się już ku wieczorowi i słyszeć jedynie szum w uszach... przy tym

potworność tego oczekiwania była jakoś związana z nieprawidłowym umiejscowieniem środka sufitu.

Na stole, od pewnego czasu przykrytym kraciastą ceratą, leżały pożyczone z biblioteki tomy oprawne w czarną skórę, z jakiej robi się buty. Mocno nadgryziony ołówek, który utracił zgrabny, smukły wygląd, spoczywał na szybko i niespokojnie zapisanych kartkach, ułożonych w kształt wiatraka. Znajdował się tu również list do Marfińki, ukończony jeszcze poprzedniego dnia, to znaczy dzień po widzeniu; Cyncynat wciąż nie mógł się zdecydować na jego wysłanie, pozwolił mu więc trochę poleżeć, jakby po samej rzeczy spodziewał się dojrzewania, którego w żaden sposób nie mógł się doczekać od bezwolnej myśli, wymagającej innego klimatu.

Teraz mowa będzie o drogocенności Cyncynata; o jego cielesnej niepełności; o tym, że większa jego część znajdowała się w zupełnie innym miejscu, a tu, skonsternowany, błąkał się tylko niewielki ułamek – biedny, mglisty Cyncynat, stosunkowo głupi Cyncynat – tak jak we śnie człowiek bywa ufny, słaby i głupi. Ale nawet we śnie – jednak, jednak – jego prawdziwe życie nazbyt przeświecało.

Twarz Cyncynata – pobladła, przejrzysta, z puszkami na zapadniętych policzkach i wąsami odznaczającymi się taką delikatnością włosowej materii, że wydawały się zmierzwionym blaskiem słońca nad górną wargą; nieduża i mimo wszystkich udręk jeszcze młoda twarz Cyncynata

ze ślizgającymi się, jakby trochę widmowymi oczami o zmiennym odcieniu miała wyraz absolutnie u nas niedopuszczalny, miała go zwłaszcza teraz, kiedy Cyncynat przestał się maskować. Koszula z wykładanym kołnierzykiem, rozchylający się czarny szlafroczek, za duże pantofle na delikatnych nogach, filozoficzna jarmułka na czubku głowy i lekkie falowanie (skądś jednak wiało, był przeciąg!) przejrzystych włosów na skroniach dopełniały obrazu, którego całą nieprzyzwoitość trudno wyrazić słowami – składały się na nią tysiące ledwie dostrzegalnych, zachodzących na siebie drobiazgów: jasny kontur ust nie do końca dorysowanych, ale muśniętych ręką mistrza nad mistrze, trzepotliwe ruchy pustych, jeszcze niepodtuszuowanych rąk, rozbiegające się i znów schodzące promienie w ożywionych oczach... ale nawet i to wszystko, przeanalizowane i przemyślane, nie mogło jeszcze wyjaśnić Cyncynata – wyglądało to tak, jakby jedną stroną swojej istoty niedostrzegalnie przechodził w innym wymiar, jak cała zawilość drzewnego listowia przechodzi z cienia w blask i nie sposób dociec, w którym miejscu zaczyna się zanurzenie w migotanie innego żywiołu. Zdawało się, że – już, już zaraz – poruszając się po ograniczonej przestrzeni było jak wymyślonej celi, Cyncynat postawi stopę w taki sposób, że naturalnie i bez wysiłku przez jakąś świetlistą szparę w powietrzu wśliznie się za jego kulisy – i zniknie za nimi z taką samą niewymuszoną gładkością, z jaką odbłask obracającego

się lustra przebiega po wszystkich sprzętach, by nagle zniknąć gdzieś, jak gdyby za powietrzem, w nieznanej głębi. A przy tym wszystko dyszało w nim delikatnym, sennym, ale w istocie niezwykle silnym, gorącym i niezależnym życiem: błękitne jak sam błękit pulsowały żyłki, krystalicznie czysta ślina zwilżała wargi, skóra drżała na policzkach i czole, lamowanym rozpuszczonym światłem... i wszystko to tak drażniło, że obserwator miał chęć z miejsca rozedrzeć, poćwiartować, zetrzeć z powierzchni ziemi to beczelnie wyślizgujące się ciało i wszystko, co dawało sobą do zrozumienia, co mgliście wyrażało całą tę niemożliwość, swobodę, oślepiający blask – dosyć już, dosyć – nie spaceruj więcej, połóż się, Cyncynacie, żeby nie podniecać, nie rozdrażniać – i rzeczywiście, czując smagnięcie drapieżnego spojrzenia zza drzwi, Cyncynat kładł się albo siadał przy stole i otwierał książkę.

Na stos czerniejący na stole składały się następujące książki: po pierwsze, współczesna powieść, na którą Cyncynatowi, kiedy żył na wolności, szkoda było czasu; po drugie, jedna z owych nieustannie wydawanych antologii zawierających urywki i skrócone przeróbki utworów literackich sprzed wieków; po trzecie, opracione numery starego czasopisma; po czwarte, kilka sfatygowanych tomików jakiejś obszernej pracy w niezrozumiałym języku, przyniesionej przez pomyłkę – on tego nie zamawiał.

Powieścią był słynny *Quercus* i Cyncynat przeczytał

już ponad jedną trzecią książki: około tysiąca stron. Bohaterem powieści był dąb. Była to biografia dębu. W miejscu, gdzie Cyncynat przerwał lekturę, dąb wchodził w trzeci wiek życia; proste obliczenie pozwalało się domyślać, że przy końcu dobieje co najmniej sześciuset lat.

Idea powieści uchodziła za szczytowe osiągnięcie myśli współczesnej. Wykorzystując proces stopniowego rozrostu drzewa (samotnie i potężnie stojącego na krawędzi przepaści, na której dnie bezustannie szumiała woda), autor po kolei odmalowywał wszystkie wydarzenia historyczne – albo cienie wydarzeń historycznych – których świadkiem mógł być dąb; raz był to dialog dwu wojowników, co zsiadli z koni – bułanka i jabłkowitego – żeby odpocząć w cieniu szlachetnych liści; raz – popas zbójców i pieśń uciekinierki z obnażoną głową; raz – pokazany w świetle sinego burzowego zygzaka pospieszny przejazd wielmoży, pierzchającego przed gniewem cara; raz – leżące na rozpostartym płaszczu zwłoki, które wciąż jeszcze zdawały się drgać – wrażenie wywołane przez ruchome cienie liści; raz wreszcie – dramatyczny epizod z życia wieśniaków. Był też akapit na półtorej strony, w którym wszystkie słowa zaczynały się literą „p”.

Autor, rzekłbyś, siedzi z aparatem fotograficznym gdzieś w najwyższych gałęziach Quercusa i wypatruje zdobyczy, by natychmiast się na nią rzucić. Nadpływały i odpływały rozmaite obrazy przeszłości, zatrzymując się na chwilę pośród świetlistych zielonych plam. Niezbędne

przerwy między wydarzeniami, okresy, kiedy nic się nie działo, wypełniane były naukowymi opisami samego dębu, dokonywanymi z punktu widzenia dendrologii, ornitologii, koleopterologii, mitologii – lub też opisami popularnymi, nie pozbawionymi szczypty ludowego humoru. Między innymi sporządzona została szczegółowa lista wszystkich inicjałów, wrytych na korze drzewa, wraz z ich objaśnieniami. Wreszcie niemało uwagi poświęcono muzyce wód, palecie zórz i obyczajom pogody.

Cyncynat poczytał trochę i odłożył książkę. Było to niewątpliwie największe dzieło, jakie wydała jego epoka – mimo to zmagął się ze stronicami z uczuciem melancholii, ustawicznie zalewając opowieść falą własnych myśli: na cóż mi te wszystkie dalekie, kłamliwe, martwe historie – mnie, gotującemu się na śmierć? Albo też zaczynał wyobrażać sobie, jak autor, człowiek jeszcze młody, mieszkający podobno na jednej z wysp Morza Północnego, sam będzie umierać; i było to w pewnym sensie śmieszne – że kiedyś niezawodnie umrze autor, a było śmieszne dlatego, że jedyną prawdziwą i niewątpliwą rzeczą okazywała się sama śmierć, nieuchronność fizycznej śmierci autora.

Światło zmieniało miejsce na ścianie. Zjawił się Rodion z tym, co nazywał *Fruhstuck*. Znowu skrzydło motyla przesuwano się w jego palcach, zostawiając na nich ślady kolorowego pudru.

– Ciągłe jeszcze nie przyjechał? – zagadnął Cyncynat,

nie po raz pierwszy zadając to pytanie, mocno drażniące Rodiona, który i tym razem nic nie odpowiedział.

– A następnego widzenia nie będzie? – spytał Cyncynat.

W oczekiwaniu na codzienną zgagę położył się na chwilę, i odwróciwszy się do ściany, długo, długo pomagał zarysować się na niej wzorom, które ustępliwie tworzyły się z gruzełków połyskliwej farby i ich okrągłutkich cieni; odkrywał na przykład maleńki profil z ogromnym mysim uchem; potem wzór się zatracił i Cyncynat nie był w stanie go zrekonstruować. Od ochry wionęło grobem, była krostowata, okropna, wzrok jednak ciągle wybierał i wiązał ze sobą potrzebne pryszczyki – tak bardzo mu brakowało, tak bardzo spragniony był choćby niewyraźnej aluzji do ludzkiej twarzy. Wreszcie Cyncynat odwrócił się, położył na wznak i z taką samą uwagą zaczął obserwować cienie i pęknięcia na suficie.

„A w ogóle zdaje się, że mnie wykończyli – pomyślał. – Tak zmiekle, że będzie to można zrobić nożykiem do owoców”.

Przez pewien czas siedział na brzegu łóżka, zgarbiony, z dłońmi ściśniętymi kolanami. Wydał drżące westchnienie i znów zaczął chodzić. Ciekawe, bądź co bądź, w jakim to języku. Drobna, gęsto zbita, ornamentalna czcionka, sierpowate litery z jakimiś kropkami i zawijasami w środku były chyba wschodnie – przypominały w czymś napisy na kindzałach w muzeum. Takie stare tomiki, mroczne stroniczki... niektóre z

żółtymi zaciekami...

Zegar wybił siódmą i po chwili zjawił się Rodion z obiadem.

– Na pewno jeszcze nie przyjechał? – spytał Cyncynat.

Rodion już miał wyjść, ale obejrzał się na progu:

– Wstydu pan nie ma – rzekł płaczliwym głosem – od rana do wieczora i od wieczora do rana zbija pan baki... karm go tu, człowieku, chuchaj na niego, leć z nóg, a on ci się odwdzięczy tylko głupimi pytaniami. Tfu, niegodziwy...

Czas, brzęcząc jednostajnie, płynął dalej. Powietrze w celi pociemniało, a kiedy stało się całkiem nieprzeniknione i o ciężałe, pedantycznie zapaliło się światło na środku sufitu – nie, niezupełnie na środku – bolesne przypomnienie. Cyncynat rozebrał się i położył do łóżka z *Quercusem*. Autor dochodził już do czasów cywilizowanych, jak można było wyrokować na podstawie rozmowy trzech wesołych wędrowców, Tita, Puda i Żyda Wiecznego Tułacza, pociągających wino z bukłaków na chłodnym mchu pod czarnym wieczornym dębem.

– Czy naprawdę nikt mnie nie uratuje? – spytał nagle głośno Cyncynat i usiadł na łóżku (dłonie otworzył w geście biedaka, pokazującego, że nie ma nic).

– Czy naprawdę nikt? – powtórzył Cyncynat, patrząc na bezlitosną żółtość ścian i ciągle tak samo trzymając puste dłonie.

Przeciąg zmienił się w leśny powiew. Z gęstwiny cieni,

które rozrosły się w górze, wypadł, podskoczył i potoczył się po kołdrze wielki, dwa razy większy niż w naturze, wspaniale pomalowany na połyskliwy żółtawy kolor, wypolerowany i mocno, jak jajko w kieliszku, tkwiący w swojej korkowej miseczce – żołądź-rekwizyt.

## Rozdział 12

Obudziło go głucho postukiwanie, czochochanie; coś się gdzieś osypało. Tak, zasnawszy wieczorem zdrowy, budzi się człowiek po północy w gorączce. Dość długo słuchał tych dźwięków – turup, turup, tek, tek, tek – nie myśląc o ich znaczeniu, tylko tak sobie, dlatego że go obudziły i że słuch nie miał nic innego do roboty. Turup, stukot, skrobanie, syp, syp, syp, syp. Gdzie? Po prawej stronie? Po lewej? Cyncynat uniósł się na łóżku.

Słuchał. Cała głowa zmieniła się w narząd słuchu, całe ciało – w napięte serce; słuchał i zaczynał już zgadywać sens niektórych sygnałów: ciemność w celi słabo naciągnęła... czerń opadła na dno... Za kratą okna szary półmrok: a więc – trzecia, pół do czwartej... Zmarznięci strażnicy śpią... Dźwięki dobiegają skądś z dołu, nie, chyba raczej z góry, nie, jednak z dołu – zupełnie jakby za ścianą, na poziomie podłogi, żelaznymi pazurami skrobała wielka mysz.

Szczególnie podniecająco działała na Cyncynata skupiona stanowczość dźwięków, natarczywa powaga, z jaką w ciszy fortecznej nocy zmierzały do celu, być może jeszcze dalekiego, ale na pewno osiągalnego. Wstrzymując oddech, z widmową lekkością, jak arkusz bibułki, zsunął się... i na paluszkach... po kleistej, lepkiej... do tego rogu, skąd jakby... jakby... ale podszedłszy zrozumiał, że się omylił – stukało bardziej na

prawo i wyżej; poruszył się – i znowu stracił orientację, uległszy złudzeniu słuchowemu, kiedy to dźwięk, przebiegając głowę na ukos, w pośpiechu zostaje obsłużony przez niewłaściwe ucho.

Niezgrabnie stąpnąwszy, Cyncynat potrącił tacę, która stała na podłodze pod ścianą: „Cyncynat!” – powiedziała z wyrzutem taca – i w tym samym momencie stukanie umilkło z niespodziewaną raptownością, w której słuchacz odkrywał napęniający otuchą rozsądek; i stojąc nieruchomo przy ścianie, wielkim palcem u nogi przyciskając do tacy łyżeczkę i pochylając otwartą, wydrażoną głowę, Cyncynat czuł, że nieznany kopacz nasłuchuje zastygły tak samo jak on.

Minęło pół minuty i dźwięki powróciły – cichsze, bardziej powściągliwe, ale jeszcze wyrazistsze i mądrzejsze. Odwracając się i powoli zdejmując stopę z cynowej powierzchni, Cyncynat znów spróbował ustalić ich położenie: po prawej stronie, jeśli stoi się twarzą do drzwi – tak, po prawej – i w każdym razie jeszcze dość daleko... tylko tyle udało mu się stwierdzić po długim nasłuchiowaniu. Ruszywszy w końcu z powrotem w kierunku łóżka, żeby włożyć pantofle – stać bowiem boso już się dłużej nie dało – spłoszył we mgle głośnonogie krzesło, które nigdy dwukrotnie nie nocowało w tym samym miejscu, i dźwięki znowu umilkły, tym razem już na dobre; to znaczy, być może po roztropnej pauzie odezwałyby się jeszcze, ale ranek nabierał już sił i Cyncynat widział – oczami przywykłej wyobraźni – jak

na swoim taborecie w korytarzu, parując wilgocią i rozdziawiając jaskrawoczerwone usta, przeciąga się Rodion.

Przez całe rano Cyncynat nasłuchiwał i zastanawiał się, czym by tu i w jaki sposób okazać swój stosunek do dźwięków, gdyby się powtórzyły. Na zewnątrz rozszalała się letnia burza, zainscenizowana prosto, lecz ze smakiem, w celi zrobiło się ciemno, jakby zapadł wieczór, słychać było grzmoty – to potężne i krągłe, to znów ostre i trzaskające; błyskawice w niespodziewanych miejscach tłoczyły odbicie kraty. W południe zjawił się Rodryg Iwanowicz.

– Ma pan gościa – powiedział – ale najpierw chciałem się przekonać...

– Kto to? – spytał Cyncynat, a jednocześnie myślał: „żeby tylko nie w tej chwili” (to znaczy, żeby tylko nie w tej chwili odezwało się znowu stukanie).

– Chodzi o to, widzi pan, że nie jestem pewien, czy życzy pan sobie...

Rzecz w tym, że to pańska matka – *votre mere parait-il*.

– Matka? – spytał Cyncynat, jakby upewniając się, czy dobrze usłyszał.

– No tak – matka, mama, mamusia – słowem: kobieta, która pana urodziła. Wpuścić? Niech się pan decyduje szybciej.

– ... Widziałem ją wszystkiego raz w życiu – powiedział Cyncynat – i doprawdy nic do niej... nie, nie, nie warto, nie trzeba, to nie ma sensu.

– Jak pan chce – powiedział dyrektor i wyszedł.

Po chwili, gruchając uprzejmie, wprowadził malutką Cecylię C. w czarnym deszczowcu.

– Zostawię państwa samych – dodał dobrodusznie – chociaż jest to wbrew naszemu regulaminowi; bywają przecież takie sytuacje, kiedy... wyjątki... matka i syn... rozumiem...

*Exit* – tyłem, jak dworzanin.

Cecylia C, ubrana w błyszczący czarny deszczowiec i taki sam nieprzemakalny kapelusz z opuszczonym rondem (które przydawało mu czegoś sztormowo-rybackiego), wciąż stała pośrodku celi i jasnym wzrokiem spoglądała na syna; odpięła guziki; głośno pociągnęła nosem i powiedziała w charakterystyczny, właściwy sobie sposób – szybko i gwałtownie wyrzucając z siebie słowa:

– Ale burza, ale błocko, myślałam, że już nigdy tu nie doleżę, na drodze potopy, rwące potoki...

– Proszę usiąść – powiedział Cyncynat – niech pani tak nie stoi.

– No, no, ale tu u pana cicho – mówiła Cecylia C, raz po raz pociągając nosem i energicznie, jak tarką, pocierając palcem skórę pod nim, tak że jego różowy koniuszek marszczył się i kiwał. – Jedno można w każdym razie powiedzieć: cicho i dosyć czysto. Nawiasem mówiąc, u nas na oddziale nie ma takich dużych pojedynków. Ach, łóżko – kochanie ty moje, jak to łóżko wygląda!

Ciężko rzuciła torbę akuszerską, zręcznie zdjęła czarne

niciane rękawiczki z małych, ruchliwych dłoni, i nisko pochylając się nad łóżkiem, zaczęła je słać – sama jakby się ścieląc – na nowo. Czarne plecy z foczym połyskiem, pasek, pocerowane pończochy.

– O, tak lepiej – powiedziała, wyprostowawszy się; potem na chwilę wzięła się pod boki i z ukosa spojrzała na zawalony książkami stół.

Wyglądała młodo i wszystkie jej rysy dostarczały wzoru rysom Cyncynata, które na swój sposób je naśladowały. Cyncynat sam niejasno czuł to podobieństwo, kiedy spoglądał na jej twarzyczkę ze spiczastym noskiem, na pochyły blask przejrzystych oczu. Na częściowo odsłoniętych piersiach czerwieniał, od nasady szyi w dół, trójkąt piegowatej opalenizny; ale ogólnie rzecz biorąc, była to ciągle ta sama skóra, z której wykrojono kiedyś kawałek na Cyncynata – blada, delikatna, cała w błękitnych żyłkach.

– Ajajaj, tu także by trzeba... – zaszcebiotała i szybko – wszystko robiła szybko – zabrała się do książek, układając je w równe stosiki. W trakcie tej pracy zainteresowała się ilustracją w otwartym czasopiśmie, wyjęła z kieszeni deszczowca futerał w kształcie nasienia bobu, i opuściwszy kąciki ust, włożyła *pince-nez*. – Dwudziesty szósty rok – powiedziała z uśmiechem – takie dawne czasy, wprost wierzyć się nie chce.

(... dwie fotografie: na jednej białozęby prezydent na dworcu kolejowym w Manchesterze ściska dłoń namaszczonej latami prawnuczki ostatniego wynalazcy;

na drugiej – ciele z dwiema głowami, które urodziło się w naddunajskiej wiosce... ).

Bez powodu westchnęła, odsunęła tom, straciła ołówek, nie zdołała go złapać i powiedziała: „ups!”.

– Proszę dać spokój – powiedział Cyncynat – nieporządek jest tutaj niemożliwy, możliwe są tylko przesunięcia.

– O, przyniosłam panu (wyciągnęła z kieszeni płaszczka tutkę, wyciągając zarazem podszewkę). Proszę. Cukiereczek. Niech pan sobie possie na zdrówko.

Usiadła i wydeła policzki.

– Drapałam się, wdrapałam i jestem wykończona – powiedziała, sapiąc umyślnie, a potem znieruchomiała, z niejasną tęsknotą spoglądając na pajęczynę w górze.

– Po co pani przyszła? – spytał Cyncynat, chodząc po celi. – Ani pani to niepotrzebne do szczęścia, ani mnie. Po co? W końcu nic w tym ładnego ani ciekawego. Widzę przecież wyraźnie, że jest pani taką samą parodią, jak wszyscy, jak wszyscy. I jeśli częstuje się mnie taką zręczną parodią matki... Ale proszę sobie wyobrazić, że – założmy – pokładam nadzieję w jakimś dalekim dźwięku; jak mam w niego wierzyć, skoro nawet pani jest oszustwem. Niech pani jeszcze powie: przyniosłam podarki. I dlaczego pani deszczowiec jest mokry, a buty suche – to przecież niedbalstwo. Proszę przekazać moją uwagę rekwizytorowi.

Cecylia – pospiesznie i ze skruchą:

– Miałam jeszcze kalosze, zostawiłam je na dole, w

kancelarii, słowo honoru...

– Och, dosyć już, dosyć. Niech się pani nie tłumaczy. Proszę grać swoją rolę – więcej szczebiotania, więcej bez troski i będzie nieźle, ujdzie.

– Przyszłam, bo jestem pańską matką – powiedziała cicho, a Cyncynat się roześmiał: – Proszę nie wpadać w farsę. Niech pani pamięta, że to dramat. Humor humorem – ale mimo wszystko nie należy się zbytnio oddalać od dworca: dramat może uciec. Lepiej by pani... no właśnie, proszę mi opowiedzieć jeszcze raz, czemu by nie, jeszcze raz legendę o moim ojcu. Czyżby naprawdę zniknął w ciemnościach nocy, tak że nigdy się pani nie dowiedziała, ani kim był, ani skąd przyszedł – to dziwne...

– Tylko głos – twarzy nie widziałam – powiedziała równie cicho jak poprzednio.

– Otóż to, otóż to, proszę mi przygrywać, myślę, że zrobimy z niego wędrowca, zbiegłego marynarza – ciągnął melancholijnie Cyncynat, strzelając palcami i chodząc, chodząc – albo leśnego zbrojce na gościnnych występach w parku. Albo rzemieślnika, który trochę sobie pohulał, cieśle... No, prędzej, proszę coś wymyślić.

– Pan nie rozumie – krzyknęła (ze zdenerwowania wstała i natychmiast usiadła z powrotem). – Ja przecież nie wiem, kim on był – włóczęgą, zbiegiem, tak, wszystko możliwe... Ale dlaczego nie chce pan zrozumieć... tak, dzień był świąteczny, w parku było ciemno, ja byłam jeszcze dziewczynką, ale przecież nie w tym rzecz. Przecież nie sposób się pomylić! Człowiek, który płonie

żywcem, wie chyba, że nie kapie się właśnie u nas w Stropi. To znaczy... chcę przez to powiedzieć: nie można, nie można się pomylić... Och, dlaczego pan nie rozumie?

– Czego nie rozumiem?

– Och, Cyncynacie, on – także...

– Co-także?

– On także, jak pan, Cyncynacie...

Pochyliła nisko głowę i spuściła *pince-nez* w nastawioną dłoń.

Pauza.

– Skąd pani wie – spytał posepnie Cyncynat – jak to można tak od razu zauważyć...

– Więcej nic panu nie powiem – rzekła, nie podnosząc oczu.

Cyncynat usiadł na łóżku i pogрузił się w zamyśleniu. Matka wytarła nos, wydając przy tym niezwykle donośny i przenikliwy dźwięk, jakiego trudno było oczekiwać po tak drobnej kobiecie, i spojrzała w górę na wgłębienie okna. Najwyraźniej się wypogodziło, czuło się bliskość błękitu, słońce namalowało na ścianie swój pasek, który to bladł, to znów się rozjaśniał.

– Teraz kwitną w zbożu bławatki – mówiła, szybko wyrzucając z siebie słowa – i wszystko takie cudowne, pędzą chmury, wszystko takie niespokojne i jasne. Mieszkam daleko stąd, w Doktorowie, i kiedy przyjeżdżam do was do miasta, kiedy jadę polami w starej dwukółce i widzę, jak błyszczą Stropią, i widzę to wzgórze z twierdzą na szczycie, i wszystko – zawsze mi

się wydaje, że powtarza się i powtarza jakaś nadzwyczajna historia, której nie mam czasu albo nie potrafię zrozumieć – a jednak ktoś mi ją ciągle powtarza – z taką cierpliwością! Cały dzień pracuję na naszym oddziale, radzę sobie ze wszystkim, mam kochanków, przepadam za chłodzoną lemoniadą, ale rzuciłam palenie, bo mi grozi rozszerzenie aorty – i siedzę sobie u pana... siedzę u pana i nie wiem, dlaczego siedzę i dlaczego ryczę, i dlaczego opowiadam to wszystko, i zgrzeję się teraz, jak będę drałować na dół w tym płaszczu i wełnianej sukni, słońce będzie wściekle paliło po takiej burzy...

– Nie, jednak jest pani tylko parodią – szepnął Cyncynat.

Uśmiechnęła się pytająco.

– Jak ten pająk, jak ta krata, jak te uderzenia zegara – szepnął Cyncynat.

– Ach, więc tak – powiedziała i znowu wytarła nos. – Więc tak to wygląda – powtórzyła.

Nie patrząc na siebie, milczeli oboje, podczas gdy z bezsensownym rezonansem bił zegar.

– Jak będzie pani wychodzić, proszę zwrócić uwagę na zegar w korytarzu – powiedział Cyncynat. – Sam cyferblat, bez niczego, co pół godziny strażnik zmywa starą wskazówkę i nanosi pędzelkiem nową – no i żyje człowiek w zgodzie z malowanym czasem; a godziny wybijają wartownicy w ustalonej zawsze tej samej kolejności, stąd mówi się, że wybiła godzina tego czy

tamtego.

– Proszę nie żartować – powiedziała Cecylia C. – bywają, wie pan, zadziwiające przyrządiki. Pamiętam na przykład, że jak byłam małą, modne były – o, nie tylko wśród dzieci, wśród dorosłych także – takie zabaweczki, nazywały się „nieńki”; należało do tego, można powiedzieć, specjalne lustro, małe że krzywe – całkiem powykręcane, niczego nie dawało się rozpoznać: przerwy, zamęt, wszystko miga w oczach – ale jego zakrzywienia nie były przypadkowe, tylko tak dopasowane... Czy raczej do jego zakrzywień tak były dobrane... Nie, zaraz, niedobrze tłumaczę. Jednym słowem, miało się takie dziwne lustro i całą kolekcję różnych nieniek, to znaczy całkiem niedorzecznych przedmiotów: jakieś takie bezkształtne, pstre rzeczy, całe w dziurkach, w plamach, dziobate, guzowate, coś jakby skamieliny – ale lustro, które normalne przedmioty kompletnie zniekształcało, teraz, można powiedzieć, dostawało odpowiedni pokarm, to znaczy jak się taki do niczego niepodobny, pokręcony przedmiot ustawiło tak, że odbijał się w lustrze, też do niczego niepodobnym i pokręconym, rezultat był nadzwyczajny; nie przez nie dawało tak, wszystko wracało na swoje miejsce, wszystko było w porządku; i proszę – bezkształtna pstrokaczka zmieniała się w lustrze w śliczny, porządny obraz: kwiaty, okręt, jakąś postać, jakiś pejzaż. Można było nawet zamówić sobie własny portret, to znaczy dawali ci jakąś koszmarną kaszę, a ta kasza to byłeś ty, ale klucz do ciebie miało lustro. Ach,

pamiętam, jak wesoło było i trochę straszno – a nuż nagle nic nie wyjdzie! – brać do ręki taką nową do niczego niepodobną nieńkę i zbliżyć ją do lustra, i widzieć w nim, jak ręka się człowiekowi całkiem rozłązi, ale za to bezsensowna nieńka układa się w uroczy obraz, przejrzysty, taki przejrzysty...

– Po co pani mi to wszystko opowiada? – spytał Cyncynat.

Milczała.

– Po co to wszystko? Czyżby pani nie wiedziała, że w najbliższych dniach, może już jutro...

Nagle zauważył wyraz oczu Cecylii C. – przelotny, o, przelotny – ale zdawało się, że oto coś się wyłoniło, coś prawdziwego, niewątpliwego (w tym świecie, gdzie wszystko budziło wątpliwości), zupełnie jakby zagiął się róg tego okropnego życia i na chwilę pokazała się podszewka. W spojrzeniu matki Cyncynat dostrzegł raptem ten ostatni, niezawodny punkt, wszystko tłumaczący i chroniący przed wszystkim, który potrafił namacać także w sobie. Co właściwie krzyczał teraz ten punkt? O, nieważne, co kryło się w tym krzyku, niech będzie, że trwoga, litość... Albo powiedzmy inaczej: sam przez się punkt ten wyrażał taką burzę prawdy, że dusza Cyncynata nie mogła nie podskoczyć z radości. Chwila przechyliła się i przepadła. Cecylia C. wstała, robiąc pewien niewiarygodny malutki gest, a mianowicie rozkładając ręce z wyprostowanymi palcami wskazującymi, jakby pokazywała rozmiar – długość,

dajmy na to, niemowlęcia... I zaraz zaczęła nerwowo się krzątać, podniosła z podłogi czarną nabitą torbę na wygiętych jak u jamnika nóżkach, poprawiła patkę na kieszeni.

– No cóż – powiedziała, szczebiocząc jak poprzednio – posiedziałam sobie, pójdę już. Niech pan je moje cukiereczki. Zasiedziałam się. Pójdę, czas na mnie.

– O tak, najwyższy czas! – zagrzemiał ze srogą wesołością Rodryg Iwanowicz, szeroko otwierając drzwi.

Pochyliwszy głowę, wysliznęła się z celi. Cyncynat, dygocząc, chciał zrobić krok do przodu...

– Spokojnie – powiedział dyrektor, uniósłszy rękę – ta akuszereczka nie jest dla nas groźna. Wróć!

– Ja jednak... – zaczął Cyncynat.

– *Arriere!* – ryknął Rodryg Iwanowicz.

Tymczasem w głębi korytarza pojawiła się krzepka pasiasta figurka M'sieur Pierre'a. Szedł, już z daleka miło się uśmiechając, nieco jednak skracając krok i z nieco rozbieganym wzrokiem, jak ludzie, którzy trafiają na awanturę, ale nie chcą tego faktu podkreślać; niósł przed sobą szachownicę, pudełeczko, pod pachą kukłę poliszynela, coś jeszcze...

– Gości pan miał? – poinformował się grzecznie u Cyncynata, kiedy dyrektor zostawił ich w celi samych. – Pańska mamusia? Świetnie, świetnie. A teraz ja, biedniutki, słabiutki M'sieur Pierre, przyszedłem pana rozerwać i sam rozerwać się trochę. Proszę spojrzeć, jak on na pana patrzy. Ukłoń się wujaszкови. Przezabawny,

prawda? No, siedź prosto, mój imienniku. Przyniosłem panu jeszcze dużo innych ciekawych rzeczy. Chce pan zacząć od szachów? A może najpierw w karciecia? W kotwiczkę pan umie? Kapitalna gra! Wie pan co, nauczę pana.

## Rozdział 13

Czekał, czekał, i oto – w najcichszej godzinie ciszy nocnej znów zaczęły pracować dźwięki. Sam w ciemności, Cyncynat uśmiechnął się. Jestem całkowicie gotów przyjąć, że i one są oszustwem, ale tak mocno wierzę w nie teraz, że zarazam je prawdą.

Były jeszcze bardziej stanowcze i precyzyjne niż ubiegłej nocy; nie waliły na oślep; jakże tu wątpić w ich przybliżający się sunący naprzód ruch? Ich skromność! Rozum! Tajemniczy, przezorny upór! Zwyczajnym kilofem czy jakimś dziwacznym narzędziem (z amalgamatu najmniej zdatnej do użytku substancji i wszechmocnej ludzkiej woli) ktoś jednak jakoś – to było jasne – przebijał sobie przejście.

Noc była chłodna; szary, tłusty blask księżyca, rozpadając się na kratki, kładł się na wewnętrznej ścianie okiennej stromizmy; cała twierdza zdawała się wypełniona wewnątrz gęstym mrokiem i wyglansowana księżycem na zewnątrz, z czarnymi załamaniem cieni, które ześlizgiwały się po skalistych pochyłościach i bezgłośnie wpadały do fosy; tak, noc była beznamiętna i kamienna – ale w jej wnętrzu, w jej głuchym łonie, podkopując jej potęgę, przebijało się coś całkowicie obcego jej istocie i budowie. A może to stare, romantyczne brednie, Cyncynacie?

Podniósł posłuszne krzesło i uderzył nim mocno w

podłogę, a potem kilka razy w ścianę, starając się – choćby przy pomocy rytmu – nadać stukom znaczenie. I rzeczywiście: ten, kto przedzierał się przez noc, zatrzymał się, jakby rozważając, czy te wybiegające mu naprzeciw stuki są wrogie, czy nie, i nagle podjął przerwana pracę z radosnym i tryumfalnym ożywieniem dźwięku, które dowiodło Cyncynatowi, że jego odzew został zrozumiany.

Przekonał się – tak, to właśnie do niego ktoś idzie, jego chce uratować, i nadal stukając w najboleśniejšie miejsca kamienia, powtarzał – w innym rejestrze i kluczu: pełniej, bogaciej, słodziej – te same nieskomplikowane rytmy, które zaproponował.

Zastanawiał się już, jak by tu ułożyć alfabet, gdy spostrzegł, że to nie księżyc, lecz inne, nieproszone światło rozrzedza ciemności – i zaledwie to spostrzegł, dźwięki się urwały. Jeszcze przez dobrą chwilę coś tam się osypywało, ale stopniowo i to umilkło, i trudno było sobie wyobrazić, że tak niedawno w nocną ciszę wdzierało się zachłanne, namiętne, przebiegłe życie – to pilnie węszące, charczące przyklejonym do ziemi pyskiem, to znów zajadle kopiące, jak pies, który dobiera się do borsuka.

Poprzez chybotliwą ciemność widział, jak wchodzi Rodion – i było już po południu, kiedy całkiem się rozbudził – i, jak zawsze, pomyślał przede wszystkim, że koniec dzisiaj jeszcze nie nastąpił, a przecież mógł nastąpić dzisiaj, jak może nastąpić jutro, ale do jutra jeszcze daleko.

Przez cały dzień wsłuchiwał się w brzęczenie w uszach, gniotąc dłonie, cicho witając się sam ze sobą; chodził wokół stołu, na którym białł list, ciągle jeszcze niewysłany; albo wyobrażał sobie znów spojrzenie wczorajszego gościa, szybkie, zapierające dech – jak przerwa w tym życiu; lub też słyszał w duchu szeleszczące ruchy Emmoczki. Cóż, pij tę lurę nadziei, mętną, słodką ciecz... nadzieje moje nie spełniły się... przecież myślałem, że choć teraz, choć tutaj, gdzie samotność jest w takim poważaniu, rozpadnie się ona jedynie na dwie części, na ciebie i na mnie, zamiast mnożyć się, jak się rozmnożyła – hałaśliwie, licznie, niedorzecznie, nie mogłem nawet podejść do ciebie, twój straszny ojciec omal nie przetrącił mi kosturem nogi... oto dlaczego do ciebie piszę – to moja ostatnia próba wytłumaczenia ci, co się dzieje, Marfińko... zdobądź się na niezwykły wysiłek i zrozum, choćby mgliście, choćby zaledwie kącikiem mózgu, ale zrozum, co się dzieje, Marfińko, zrozum, że chcą mnie zabić, czy to naprawdę takie trudne, nie proszę cię o długie wdowie żale ani o żałobne lilie, ale błagam cię, tak bardzo tego potrzebuję – teraz, dzisiaj – żebyś się przeraziła jak dziecko, że chcą ze mną zrobić coś straszego, obrzydliwego, na myśl o czym robi ci się niedobrze i tak krzyczysz w środku nocy, że nawet już słysząc wchodzącą do pokoju nianię – „cicho, cicho” – wciąż jeszcze krzyczysz, oto, jak powinnaś się przerazić, Marfińko, to nic, że niezbyt mnie kochasz, ale powinnaś zrozumieć, choćby na chwilę, a potem możesz

znowu zasnąć. Jakżeż mam cię poruszyć? Ach, nasze wspólne życie było okropne, okropne, i tym cię nie poruszę, na początku bardzo się starałem, ale wiesz przecież – nasze prędkości były różne i od razu zostałem w tyle. Powiedz mi, ile rąk miętosило mięso, którym tak obficie obrosła twoja twarda, gorzka, malutka duszyczka? Tak, znowu, jak upiór, powracam do twoich pierwszych zrad i, wyjąc, brzękając łańcuchami, przepływam przez nie. Pocałunki, które podpatrzyłem. Wasze pocałunki, które najbardziej były podobne do swego rodzaju odżywiania się, skupionego, niechlujnego i hałaśliwego. Lub kiedy, mrużąc oczy, pożerałaś pryskającą na prawo i lewo brzoskwinię i potem, skończywszy, ale jeszcze połykając, jeszcze z pełnymi ustami, kanibalko, rozcapierzałaś palce, błądziłaś otepiałym spojrzeniem po pokoju, lśniły rozpalone wargi, drżał podbródek, cały w kroplach mętnego soku, który spływał ci na obnażoną pierś, podczas gdy karmiący cię priap nagle, z konwulsyjnym przekleństwem, odwracał się zgarbionymi plecami do mnie, który wszedłem nie w porę. „Marfińce wszystkie owoce służą” – mówiłaś z jakąś słodkochlupiącą wilgocią w gardle, kurcząc się cała w jedną wilgotną, słodką, przeklętą fałdkę – i jeśli znowu wracam do tego wszystkiego, to po to, żeby się tego pozbyć, żeby wydalić to z siebie, oczyścić się – i jeszcze po to, żebyś wiedziała, żebyś wiedziała, że... Co? Prawdopodobnie jednak biorę cię za kogoś innego, sądząc, że mnie zrozumiesz, jak obłąkany bierze

przybyłych w odwiedzinach krewnych za gwiazdy, logarytmy, hieny z obwisłymi zadami, ale są jeszcze szaleńcy – ci nie do zranienia! – którzy samych siebie mają za szaleńców – i tu krąg się zamyka. Marfińko, w jakimś takim kręgu kręcimy się oboje – o, gdybyś mogła wyrwać się na chwilę – potem tam wrócisz, obiecuję ci to... nie wymagam od ciebie wiele, ale wyrwij się na chwilę i zrozum, że mnie mordują, że jesteśmy otoczeni kukłami i że ty sama jesteś kukłą. Nie wiem, dlaczego tak bardzo dręczyłem się twoimi zdradami, to znaczy właściwie ja sam wiem, dlaczego, ale nie znam słów, których należałoby użyć, żebyś ty zrozumiała, dlaczego tak bardzo się dręczyłem. Nie ma takich słów w tym małym wymiarze, który wystarcza ci na własne potrzeby. A jednak spróbuję jeszcze raz: „mordują mnie!” – dobrze, teraz wszyscy razem: „mordują mnie!” – i jeszcze raz: „mordują... !” – chcę to napisać w taki sposób, żebyś zatkała uszy, swoje cienkoskóre, małe uszy, które chowasz pod pasmami wspaniałych kobiecych włosów – ale ja je znam, widzę je, szczypię je, zziębnięte maleństwa, ściskam je w niespokojnych palcach, próbując je jakoś ogrzać, ożywić, uczłowieczyć, zmusić, żeby mnie usłyszały. Marfińko, chcę, żebyś postarała się o drugie widzenie i oczywiście: przyjdź sama, przyjdź sama! Tak zwane życie skończyło się, przede mną tylko śliski pień katowski, strażnikom udało się doprowadzić mnie do takiego stanu, że litery – zobacz – wyglądają jakby je pisał pijany – ale co tam, starczy mi, Marfińko, sił na taką

rozmowę z tobą, jakiej jeszcze nigdy nie prowadziliśmy, właśnie dlatego musisz przyjść jeszcze raz, i nie myśl, że ten list jest podrobiony, to ja piszę, Cyncynat, to ja płacę, Cyncynat, który w istocie chodził wokół stołu, a potem, kiedy Rodion przyniósł mu obiad, powiedział:

– Ten list. Chciałbym, żeby pan ten list... Tu jest adres...

– Lepiej by się pan, tak jak inni, nauczył robić na drutach – warknął Rodion – zrobiłby mi pan nakolanniki. Pisarz! Przecież dopiero co widział się pan z żoneczką, nie?

– Spróbuję jednak spytać... – powiedział Cyncynat. – Czy prócz mnie i tego dosyć natrętnego Pierre'a są tu jeszcze jacyś więźniowie?

Rodion spurpurowiał, ale nie odezwał się ani słowem.

– A wiadomy człowiek jeszcze nie przyjechał? – spytał Cyncynat.

Rodion zamierzał z wściekłością zatrzaskać skrzypiące już drzwi, ale, podobnie jak poprzedniego dnia, lekko człapiąc safianowymi pantoflami, trzęsąc pasiastym cielskiem, trzymając w rękach szachy, karty, bilbokiet...

– Najpokorniej do nóg padam drogiemu Rodionowi – cienkim głosem powiedział M'sieur Pierre, i nie zwalniając kroku, trzęsąc cielskiem, człapiąc, wszedł do celi.

– Widzę – rzekł, siadając – że nasz drogi przyjaciel wziął pański list. Pewnie ten sam, co leżał tu wczoraj na stole? Do małżonki? Nie, nie – prosta dedukacja, nie

czytam cudzych listów, chociaż, prawdę mówiąc, leżał całkiem na widoku, kiedy rznąliśmy w kotwiczkę. Chce pan dziś w szachy?

Rozłożył wełnianą szachownicę i pulchną dłonią z podniesionym w górę małym palcem ustawił figury, zrobione – według starej więziennej recepty – z chleba, tak twarde, że mógłby im pozazdrościć kamień.

– Ja sam jestem kawalerem, ale rozumiem, oczywiście... Naprzód. Ja szybko... Dobry gracz nigdy się długo nie namyśla. Naprzód. Pańską małżonkę przelotnie widziałem – przy kości kobietka, co tu dużo mówić – szyja po prostu wspaniała, takie lubię... Ejże, powoli. A to pokpiłem sprawę, niech pan pozwoli cofnąć ten ruch. O, tak będzie lepiej. Jestem wielkim amatorem kobiet, a jak one mnie, szelmy, kochają, po prostu pan nie uwierzy. Pisał pan swojej małżonce o tych jej oczkach, usteczkach. Niedawno, wie pan, miałem... Dlaczego nie mogę bić? Ach, no tak. Sprytnie, sprytnie. No dobrze – cofnę się. Niedawno miałem stosunek płciowy z wyjątkowo zdrową i wspaniałą osobą. Jakąż się odczuwa przyjemność, kiedy duża brunetka... A to co takiego? Dajcie spokój. Powinien pan był uprzedzić przeciwnika, tak nie można. Dobrze, zagram inaczej. W ten sposób. Tak, wspaniała, namiętna – a ja sam, wie pan, też pomocników nie potrzebuję, dysponuję taką sprężyną, że – uch! Ogólnie mówiąc, spośród licznych pokus życia, na które, jakby żartem, ale jednocześnie bardzo poważnie, próbuję stopniowo zwrócić pańską uwagę, pokusa miłości... Nie, chwileczkę,

jeszcze się nie zdecydowałem, czy właśnie tak się ruszę. Właśnie tak. Jak to – mat? Dlaczego – mat? Tu – nie mogę, tu – nie mogę, tu... Też nie mogę. Zaraz, jakie ustawienie było przedtem? Nie, jeszcze wcześniej. No, teraz to zupełnie inna sprawa. Przeoczenie. Pójdźmy tutaj. Tak – czerwona róża w zębach, czarne ażurowe pończochy dotąd i zu-peł-nie nic więcej – to rozumiem, to najwyższa... a teraz zamiast uniesień miłości – wilgotny kamień, zardzewiałe żelazo, a potem... sam pan wie, co potem. Tego nie zauważyłem. A jeśli tak? Tak lepiej. W każdym razie wygrałem – robi pan błąd za błędem. Cóż z tego, że zdradzała pana – przecież i pan trzymał ją w objęciach. Kiedy proszą mnie o radę, mówię zawsze: panowie, więcej inwencji. Nie ma na przykład nic przyjemniejszego niż obstawić się lustrami i patrzeć, jak tam wre robota – kapitalnie! To natomiast wcale nie jest takie kapitalne. Słowo honoru – myślałem, że ruszyłem się tutaj, a nie tutaj. Nie mógł więc pan... Proszę z powrotem. Lubię przy tym palić cygaro i mówić o błahostkach, i żeby ona też mówiła – co robić, odrobina perwersji... Tak, ciężko, straszno i przykro powiedzieć temu wszystkiemu „żegnaj” – i myśleć o tym, że inni, takie same młode i soczyste chwaty, będą pchać tę robotę dalej i dalej... ech! nie wiem jak pan, ale co do mnie, jeśli chodzi o pieszczoty, ubóstwiam to, co my, zawodnicy, nazywamy makaronem: klepiesz ją po szyi i im jędrniejsze mięso... Po pierwsze mogę bić, po drugie mogę po prostu odejść stąd królem; o – tutaj. Zaraz, zaraz,

mimo wszystko jeszcze pomyślę. Jaki był ostatni ruch? Proszę postawić tak, jak było, i dać mi pomyśleć. Bzdura, nie ma żadnego mata. Moim zdaniem – proszę mi wybaczyć – jest w tym jakiś pański szwindelek, to na przykład stało tutaj albo tutaj, ale jestem absolutnie pewny, że nie tutaj. Proszę postawić, no już, już...

Niby nieumyślnie przewrócił kilka figur, i nie mogąc nad sobą zapanować, z jękiem pomieszał pozostałe. Cyncynat siedział, podpierając się łokciem i w zamyśleniu skubał palcami konia, który w okolicy szyi był, zdaje się, że nie od tego, żeby wrócić w ten chlebny żywioł, z którego wyszedł.

– Dalej, dalej, zagrajmy w coś innego, w szachy pan nie umie – gorączkowo zawołał M'sieur Pierre i rozłożył jaskrawo pomalowaną planszę do gry w gęs.

Rzucił kostki – i od razu z trzech wszedł na dwadzieścia siedem – potem jednak trzeba było zejść z powrotem – Cyncynat zaś wzbił się z dwudziestu dwóch na czterdzieści sześć. Gra ciągnęła się długo. M'sieur Pierre purpurowiał jak malina, tupał, irytował się, włąził po kostki pod stół i wyłaził stamtąd, trzymając je na dłoni i przysięgając, że właśnie tak leżały na podłodze.

– Skąd u pana ten zapach? – spytał Cyncynat, wzdychając.

Tłuściutka twarz M'sieur Pierre'a wykrzywiła się w wymuszonym uśmiechu.

– To u nas rodzinne – wyjaśnił z godnością – nogi poca się troszeczkę. Próbowałem ałunu, ale nie pomogło.

Muszę powiedzieć, że chociaż cierpię na to od dzieciństwa i chociaż przyjęte jest wszelkie cierpienie traktować z szacunkiem, jeszcze nikt nigdy tak nietaktownie...

– Duszę się – powiedział Cyncynat.

## Rozdział 14

Były jeszcze bliżej i tak się teraz spieszyły, że grzechem byłoby je rozpraszać wystukiwaniem pytań, i trwały dłużej niż poprzedniej nocy, i Cyncynat leżał twarzą do podłogi, rozkrzyżowany na kamiennych płytach, jak człowiek, który doznał udaru słonecznego, i pobłażając przebierance zmysłów, jasno widział słuchem sekretne przejście, wydłużające się przy każdym skrobnięciu, i czuł – zupełnie jakby ustępował ciemny, zwarty ból w piersi – jak obłuzowują się kamienie, i już zgadywał, patrząc na ścianę, w którym miejscu zarysuje się ona i rozpęknie z hukiem.

Słysząc było jeszcze trzaski i szelesty, kiedy przyszedł Rodion. Za nim, w baletkach założonych na boscie stopy i wełnianej sukieneczce w szkocką kratę, wbiegła Emmoczka i – jak już raz – schowała się pod stół, przycupnęła tam skulona, tak że lniane włosy, wijące się na koniuszkach, zakryły jej i twarz, i kolana, i nawet kostki. Kiedy tylko Rodion sobie poszedł, wyskoczyła spod stołu i pobiegła prosto do Cyncynata, który siedział na łóżku; przewróciwszy go, zaczęła się na niego gramolić i przez niego przewalać. Chłodne palce jej gorących obnażonych rąk wpijały mu się w skórę, śmiała się szeroko, do przednich zębów przylgnął kawałek zielonego liścia.

– Siedź spokojnie – powiedział Cyncynat – jestem

zmęczony, przez całą noc zmroka nie użyłem – siedź spokojnie i mów...

Emmoczka, ciągle się wiercąc, wtuliła czoło w jego pierś; jej rozsypane, spadające na jedną stronę loki obnażyły widoczną w rozcięciu sukni górną część pleców – z dołeczkiem, zmieniającym położenie w zależności od ruchów łopatek, całą równomiernie pokrytą białawym puszkim, który wydawał się symetrycznie rozczesany.

Cyncynat pogładził ją po ciepłej głowie, którą starał się unieść. Emmoczka chwyciła go za palce i zaczęła je przyciskać do swoich prędkich ust.

– A to ci przylepka – rzekł sennie Cyncynat – no, dosyć, dosyć. Mów...

Ją jednak opanował poryw dziecięcej gwałtowności. To muskularne dziecko przewracało Cyncynata jak malutkiego pieska.

– Przestań – krzyknął Cyncynat. – Jak ci nie wstyd?

– Jutro – powiedziała nagle, ściskając go i patrząc mu w nasadę nosa.

– Jutro umrę? – spytał Cyncynat.

– Nie, uratuję – rzekła z zadumaną miną Emmoczka (siedziała na nim okrakiem).

– Jak to miło – powiedział Cyncynat – zewsząd wybawcy! Dawno tak trzeba było, bo już prawie odchodzę od zmysłów. Zejdź, proszę, ciężko mi, gorąco.

– Uciekniemy i ożeni się pan ze mną.

– Może, może – jak podrośniesz; tylko że ja już mam żonę.

– Tłustą, starą – powiedziała Emmoczka.

Dała susa z łóżka i zaczęła biegać wokół celi, jak biegają tancerki, wyciągniętym kłusem, potrząsając włosami, a potem podskoczyła, jakby zrywając się do lotu, i w końcu zawirowała w miejscu, rozrzucając mnóstwo rąk.

– Niedługo znowu zacznie się szkoła – powiedziała, usiadłszy nagle Cyncynatowi na kolanach, i natychmiast zapomniała o całym świecie, pochłoneńo ją nowe zajęcie: zaczęła zdrapywać czarny podłużny strup z połyskującej goleni; strup był już w połowie zerwany, delikatnie różowiała szrama.

Cyncynat, mrużąc oczy, patrzył na jej pochylony profil, otoczony puszystą obwódką światła; morzył go sen.

– Ach, Emmoczka, pamiętaj, pamiętaj, pamiętaj, co obiecałaś. Jutro!

Powiedz mi, jak to zrobisz.

– Niech pan da ucho – powiedziała Emmoczka.

Objąwszy go jedną ręką za szyję, gorąco, wilgotno i najzupełniej niezrozumiale zahuczała mu do ucha.

– Nic nie słyszę – powiedział Cyncynat.

Niecierpliwie odgarnęła z twarzy włosy i znowu przyłgnęła do niego.

– Bu... bu... bu... – buczała dźwięcznie – i nagle odskoczyła, wzleciała – i oto już odpoczywała na kołyszącym się lekko trapezie, zestawwszy ze sobą wyciągnięte noski baletek, tak że tworzyły klin.

– Ciągłe bardzo na to liczę – rzekł poprzez rosnącą

senność Cyncynat; powoli wtulił wilgotne, huczące ucho w poduszkę.

Zasypiając, czuł, jak przełazi przez niego – a potem roіło mu się niewyraźnie, że albo ona, albo ktoś inny bez końca składa jakąś połyskującą tkaninę, bierze za rogi i składa, i lekko gładzi ręką, i znowu składa – i na chwilę obudził go pisk Emmoczki, którą wywlekał z celi Rodion.

Potem Cyncynatowi wydało się, że ostrożnie odezwały się znowu sekretne dźwięki za ścianą... jakże ryzykownie! Przecież to biały dzień... ale widać nie sposób się było powstrzymać i nie przeciskać cichutko ku niemu, wciąż bliżej i bliżej – i Cyncynat, przestraszony, że strażnicy mogą coś usłyszeć, zaczął chodzić po celi, tupać, kasłać, podśpiewywać – a kiedy z mocno bijącym sercem usiadł przy stole, dźwięków już nie było.

Pod wieczór zaś – jak to już weszło w zwyczaj – zjawił się M'sieur Pierre – w brokatowej krymce; swobodnie, czując się jak u siebie w domu, położył się na łóżku Cyncynata, i zapaliwszy długą piankową fajkę, ozdobioną rzeźbionym wizerunkiem peri, w kłębach wspaniałego dymu wsparł się na łokciu. Cyncynat siedział przy stole, przeżuwając resztki kolacji, wyławiając suszone śliwki z brązowego soku.

– Przypudrowałem je dzisiaj – dziarsko oznajmił M'sieur Pierre – więc proszę bez żadnych skarg i uwag. Wie pan co, kontynuujmy naszą wczorajszą rozmowę. Mówiliśmy o przyjemnościach.

– Przyjemność miłosną – powiedział M'sieur Pierre –

osiąga się za pomocą jednego z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych ze wszystkich znanych człowiekowi ćwiczeń fizycznych. Powiedziałem „osiąga się”, ale być może słowo „wydobywa się” lub „wydobycie” pasowałoby jeszcze lepiej, chodzi bowiem właśnie o planowe i wytrwałe wydobywanie przyjemności, zalegającej głębiej poddawanej obróbce istoty. W czasie wolnym od pracy robotnik miłości natychmiast uderza obserwatora sokolim wyrazem oczu, wesołym usposobieniem i świeżością cery. Proszę także zwrócić uwagę na płynność mojego chodu. Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem czy też szeregiem zjawisk, które można określić jednym wspólnym terminem – przyjemność miłosna lub erotyczna.

W tym momencie, pokazując gestami, żeby nie zwracać na niego uwagi, wszedł na palcach dyrektor i usiadł na taborecie, który przyniósł ze sobą.

M'sieur Pierre objął go spojrzeniem promieniejącym życzliwością.

– Proszę nie przerywać sobie, proszę nie przerywać sobie – powiedział szeptem Rodryg Iwanowicz – przyszedłem posłuchać. *Pardon*, chwileczkę – postawię tylko tak, żeby można się było oprzeć o ścianę. *Voilà*. Umordowałem się jednak, a pan?

– To dlatego, że pan nieprzyzwyczajony – powiedział M'sieur Pierre. A więc, jeśli pan pozwoli, będę kontynuował. Rozmawialiśmy tu sobie, Rodrygu Iwanowiczu, o przyjemnościach życia i

przeanalizowaliśmy w ogólnych zarysach Erosa.

– Rozumiem – powiedział dyrektor.

– Zwróciłem uwagę na następujące punkty... proszę mi wybaczyć, kolego, że będę się powtarzał, ale chciałbym, żeby nasza rozmowa była interesująca także dla Rodryga Iwanowicza. Zwróciłem uwagę, Rodrygu Iwanowiczu, na to, że mężczyźnie skazanemu na śmierć najtrudniej ze wszystkiego zapomnieć kobietę, smaczne kobiece ciało.

– I lirykę księżycowych nocy – dodał od siebie Rodryg Iwanowicz, zmierzywszy Cyncynata surowym spojrzeniem.

– Nie, proszę mi już nie przeszkadzać w rozwijaniu tematu, jak będzie pan miał ochotę, zabierze pan głos później. Tak więc kontynuuję. Oprócz miłosnych mamy jeszcze cały szereg innych przyjemności i właśnie do nich teraz przejdziemy. Z pewnością nieraz czuł pan, jak radość rozsadza pierś w cudny wiosenny dzień, kiedy pączki nabrzmiwiają sokiem, a skrzydlaci śpiewacy trelami wypełniają gaje, odziane w pierwsze lepkie liście. Pierwsze nieśmiałe kwiatuszki kokieteryjnie wyzierają spod trawy, jakby chciały zwabić namiętnego miłośnika przyrody, szepcząc bojaźliwie: „Ach, nie trzeba, nie zrywaj nas, nasze życie jest krótkie”. Radość rozsadza pierś, którą szerzej oddycha się w taki dzień, kiedy śpiewają ptaszki, a na pierwszych drzewach pojawiają się pierwsze nieśmiałe listeczki. Wszystko się raduje, wszystko tchnie szczęściem.

– Mistrzowski opis kwietnia – powiedział dyrektor,

wstrząsnąwszy policzkami.

– Myślę, że każdy tego doświadczył – ciągnął M'sieur Pierre – i teraz, kiedy (jeśli nie dziś, to jutro) wszyscy wejdziemy na szafot, niezatarte wspomnienie takiego wiosennego dnia każe zawołać: „Och, wróć, wróć, niechże cię jeszcze raz przeżyję”. – „Jeszcze raz przeżyję” – powtórzył M'sieur Pierre, niemal otwarcie zerknąwszy w zapisany drobnym pismem zwitek papieru, który trzymał w zaciśniętej dłoni.

– Z kolei – powiedział M'sieur Pierre – przechodzimy do przyjemności natury duchowej. Proszę sobie przypomnieć, jak to we wspaniałej galerii czy muzeum zatrzymał się pan nagle i nie mógł oderwać oczu od jakiegoś pikantnego biustu – niestety, brązowego lub marmurowego. Możemy to nazwać rozkoszowaniem się sztuką – zajmuje ono w ludzkim życiu niepoślednie miejsce.

– Jakże by nie – powiedział przez nos Rodryg Iwanowicz i spojrzał na Cyncynata.

– Przyjemności gastronomiczne – ciągnął M'sieur Pierre. – Proszę spojrzeć: oto najlepsze gatunki owoców zwieszają się z gałęzi drzew; oto rzeźnik i jego pomocnicy wloką świnie, kwiczącą jakby ją zarzynano; oto na pięknym talerzu solidny kawał białej słoniny; oto wino stołowe i wiśniówka; oto rybka – nie wiem jak inni, ale ja jestem wielkim amatorem leszczy.

– Popieram – powiedział basem Rodryg Iwanowicz.

– I tę wspaniałą ucztę trzeba porzucić. Wiele innych

rzeczy trzeba jeszcze porzucić: świąteczną muzykę; ulubione drobiazgi, na przykład aparat fotograficzny lub fajkę; przyjacielskie pogwarki; rozkosz załatwiania potrzeb naturalnych, którą wielu stawia na równi z rozkoszą miłości; poobiednią drzemkę; palenie... Co jeszcze? Ulubione drobiazgi – tak, to już było (znów pojawiła się ściągaczka). Rozkosz... to też już było. No, jeszcze różne inne rzeczy...

– Czy można coś dodać? – spytał przypoehlebnie dyrektor, ale M'sieur Pierre pokręcił głową:

– Nie, najzupełniej wystarczy. Wydaje mi się, że rozwinąłem przed oczami duszy kolegi takie widoki zmysłowych królestw...

– Chciałem tylko w kwestii rzeczy do jedzenia – zauważył półgłosem dyrektor. – Można by tu, moim zdaniem, dorzucić parę szczegółów. Na przykład, *enfaitdepotage*... Dobrze, już dobrze, będę cicho – dokończył przestraszonym głosem, spotkawszy spojrzenie M'sieur Pierre'a.

– No i jak – zwrócił się M'sieur Pierre do Cyncynata – co pan na to powie?

– A co mam powiedzieć? – rzekł Cyncynat. – Natrętne bzdury z sennego koszmaru.

– Niepoprawny! – zawołał Rodryg Iwanowicz.

– On tak naumyślnie – z groźnym porcelanowym uśmiechem powiedział M'sieur Pierre. – Proszę mi wierzyć, w dostatecznej mierze czuje cały urok opisanych przeze mnie zjawisk.

– ... Ale czegoś nie rozumie – zrećcznie wtrącił Rodryg Iwanowicz – nie rozumie jednego: gdyby teraz uczciwie się przyznał do swoich fanaberii, gdyby uczciwie przyznał, że lubi to samo, co ja i pan, na przykład zupełną zółwiową na pierwsze danie – to, jak mówią, żywiolowo smaczne – to znaczy, chcę tylko zaznaczyć, że gdyby uczciwie się przyznał i pokajał – tak, gdyby się pokajał, to właśnie mam na myśli – mógłby mieć jakąś odległą, nie chcę powiedzieć nadzieję, ale w każdym razie...

– Opuściłem kawałek o gimnastyce – szepnął M'sieur Pierre, przeglądając swoją karteczkę – fatalna historia!

– Nie, nie, wspaniale pan mówił, wspaniale – westchnął Rodryg Iwanowicz – nie można było lepiej. Ocknęły się we mnie pragnienia, które drzemały od dziesięcioleci. Pan jak – posiedzi jeszcze? Czy ze mną?

– Z panem. Straszny dziś z niego złośnik, nawet nie spojrzy na człowieka. Ofiarowuje mu się królestwa, a on się dąsa. Tak niewiele mi przecież trzeba – jednego słóweczka, skinienia głową. No trudno, nic się nie da zrobić. Chodźmy, Rodrygo.

Wkrótce po ich odejściu zgasło światło, Cyncynat po ciemku przeniósł się na łóżko (nieprzyjemnie, cudzy popiół, ale gdzież indziej się położyć?) i wychrzęszczając długą melancholię po wszystkich chrząstkach i kręgach, wyciągnął się na wznak; odetchnął głęboko i potrzymał powietrze przez jakieś ćwierć minuty. A może to po prostu kamieniarze. Naprawiają coś. Złudzenie słuchowe: może to wszystko dzieje się daleko, daleko (wypuścił

powietrze). Leżał na plecach, poruszając palcami nóg, sterczącymi spod kołdry, i obracając twarz to ku niemożliwemu ocaleniu, to ku nieuniknionej egzekucji. Światło zabłysło znowu.

Drapiąc się w rudą pierś pod koszulą, zjawił się Rodion – przyszedł po taboret. Dostrzegłszy poszukiwany przedmiot, nie zastanawiając się długo, siadł na nim z głośnym chrząknięciem, ogromną dłonią przez chwilę tarł pochyloną twarz i najwyraźniej zamierzał uciąć sobie drzemkę.

– Jeszcze nie przyjechał? – spytał Cyncynat.

Rodion natychmiast wstał i wyszedł z taborettem.

Pstryk – mrok.

Czy to dlatego, że od procesu upłynął pewien okrągły okres: dwa tygodnie – czy też dlatego, że przybliżanie się spieszących na ratunek dźwięków obiecywało zmianę doli – dość, że Cyncynat robił tej nocy w myśli przegląd godzin spędzonych w twierdzy. Mimowolnie ulegając pokusie logicznego rozwoju, mimowolnie (ostrożnie, Cyncynacie!) skuwając w łańcuch to, co było najzupełniej bezpieczne w postaci oddzielnych ogniów, nie wiadomo do czego się odnoszących, nadawał sens temu, co bezsensowne, i życie temu, co martwe. Teraz, kiedy tło stanowiła kamienna ciemność, pozwalał pojawiać się oświetlonym postaciom wszystkich, którzy zwykli go odwiedzać... pierwszy raz, pierwszy raz jego wyobraźnia traktowała ich tak łaskawie. Pojawiał się uprzykrzony sąsiad-więzień z tłustą twarzą, lśniąca jak woskowe

jabłko, które niedawno przyniósł szwagier żartowniś; pojawił się adwokat – ruchliwy, chudy, uwalniający mankiety z rękawów fraka; pojawił się posepny bibliotekarz i gruby Rodryg Iwanowicz w gładkiej czarnej peruczce, i Emmoczka, i cała rodzina Marfińki, i Rodion, i inni, niewyraźni strażnicy i żołnierze – i wywołując ich, choć może w nich nie wierząc, ale jednak wywołując, Cyncynat przyznawał im prawo do istnienia, utrzymywał ich, karmił ich sobą. Do tego wszystkiego dołączała się jeszcze ustawiczna możliwość powrotu podniecającego stukania, która działała jak upajające oczekiwanie na muzykę, tak że w rezultacie Cyncynat znajdował się w niebezpiecznym stanie osobliwego rozedrgania – i z jakimś rosnącym uniesieniem bił w oddali zegar i oto, wynurzając się z ciemności, podając sobie ręce, oświetlone postaci utworzyły ciasny krąg i – lekko ciążąc ku jednej stronie, przechylając się i powłócząc nogami – zaczęły wirować: z początku ciężko i opornie, potem coraz równiej, lżej i szybciej, i oto już poszło, poszło – i monstrualne cienie ramion i głów, wciąż szybciej się powtarzając, przebiegały po kamiennych sklepieniach, a ów nieunikniony wesolek, który w każdym korowodzie wysoko unosi nogi, śmiejąc tym wszystkich pozostałych, bardziej powściągliwych, rzucał na ściany ogromne czarne kąty swoich odrażających kolan.

## Rozdział 15

Ranek upłynął spokojnie, ale za to około piątej po południu zaczął się przejmujący łomot: ktoś, kto pracował, wściekle się spieszył i bezwstydnie hałasował; w istocie jednak niewiele się przybliżył od poprzedniego dnia.

Nagle stało się coś niezwykłego: runęła jakby jakaś wewnętrzna przeszkoda i teraz już dźwięki dobiegały z taką plastyką i siłą (przeszedłszy momentalnie z dalszego planu na pierwszy, aż do rampy), że ich bliskość nie mogła budzić wątpliwości: są tuż, tuż, zaraz za ścianą, topniejącą jak lód, i już za chwilę, za chwilę się przedrą.

I wówczas więzień zdecydował, że pora zacząć działać. Strasznie się spiesząc, dygocząc, ale starając się nie tracić panowania nad sobą, wyciągnął i włożył gumowe buty, płócienne spodnie i kurtkę, którą miał na sobie, kiedy go zabrano; znalazł chusteczkę do nosa, dwie chusteczki do nosa, trzy chusteczki do nosa (przelotna przemiana chusteczek w prześcieradła, które wiąże się ze sobą); na wszelki wypadek wsunął do kieszeni jakiś sznurek z ciągle jeszcze doczepionym uchwytem do noszenia paczek (nie wszystko wchodziło, koniuszek zwisał); skoczył ku łóżku, chcąc tak uklepać i nakryć kołdrą poduszkę, żeby sprawiała wrażenie śpiącego człowieka; nie zrobił tego, tylko rzucił się ku stołowi, zamierzając porwać zapisane kartki; i tym razem jednak w pół drogi

zmienił kierunek, gdyż od zwycięskiego, szaleńczego stukania mąciło mu się w głowie... Stał na baczność, wyciągnięty jak struna, kiedy – zupełnie tak, jak w jego marzeniach – na żółtej ścianie, arszyn nad podłogą, pojawiła się rysa przypominająca błyskawicę, w chwilę potem ściana napeężniała pod wewnętrznym naporem i nagle rozpekła się z wielkim hukiem.

Z czarnej dziury, w której kłębiły się drobinki gruzu, cały obsypany białym pyłem, cały pomarszczony od śmiechu, wijąc się i rzucając jak tłusta ryba w kurzu, wygramolił się M'sieur Pierre z oskardem w rękę, a tuż za nim – ale idąc rakiem – tłustożady, z rozdarciem, z którego sterczał kłak szarej waty, bez surduta, także obsypany wszelkim paskudztwem, także rechoczący z radości – Rodryg Iwanowicz. Wytoczywszy się z dziury, obaj usiedli na podłodze, i już się nie hamując, zanieśli się śmiechem – ze wszystkimi przejściami od cho-cho-cho do chi-chi-chi i z powrotem, z żałosnymi piskami w interwałach między wybuchami, trącąc się łokciami i waląc się na siebie...

– To my, to my, to my – wyrzucił wreszcie z siebie M'sieur Pierre, obróciwszy do Cyncynata kredowobiałą twarz, a jego żółta peruczka uniosła się przy tym z komicznym świstem i opadła.

– To my – powiedział niespodziewanym falsetem Rodryg Iwanowicz i znów zatrzęsł się od śmiechu, zadarłszy miękkie nogi w groteskowych pantoflach kłowna.

– Uff! – rzekł M'sieur Pierre, nagle się uspokoiwszy; wstał z podłogi, i uderzając dłonią w dłoń, obejrzał się na dziurę: – Aleśmy odwalili robótkę, Rodrygu Iwanowiczu! Niech pan wstaje, gołąbeczku, już dosyć. Kawał roboty! No cóż, można teraz korzystać z tego wspaniałego tunelu... Pan pozwoli, drogi sąsiedzie, że zaproszę go do siebie na szklanę herbaty.

– Jeśli pan mnie tylko dotknie – zaszeleścił Cyncynat, a ponieważ z jednej strony stał biały, spocony M'sieur Pierre, gotów go uścisnąć i wepchnąć do dziury, z drugiej zaś – Rodryg Iwanowicz, także chcący go wziąć w objęcia, z obnażonymi ramionami i luźno zwisającym gorsem, i obaj jak gdyby powoli się rozkołysywali, aby zwalić się na niego – Cyncynat wybrał jedyny możliwy kierunek, to znaczy ten właśnie, który mu wskazywano. M'sieur Pierre popchnął go lekko z tyłu, pomagając mu wpełznąć w otwór.

– Proszę się do nas przyłączyć – zwrócił się do Rodryga Iwanowicza, ten jednak odmówił, usprawiedliwiając się nieodpowiednim strojem.

Przypłaszczony, ze zmrużonymi powiekami Cyncynat potulnie pełzł na czworakach, z tyłu, tuż za nim, pełzł M'sieur Pierre, zewsząd napierała nieprzenikniona ciemność pełna chrzęstu, chrobotu i trzasków, uciskała grzbiet, urażała dłonie i kolana; parę razy Cyncynat utknął w jakimś tuneliku bez wyjścia i wtedy M'sieur Pierre ciągnął go za łydki, zmuszając do odwrotu; i co chwila więzień boleśnie ocierał sobie głowę o kant, ułomek

mur, nie wiadomo o co, i w ogóle przygniatała go taka straszna, beznadziejna wprost udreka, że gdyby nie sapiący i szturchający go z tyłu towarzysz wędrówki, to by się tu natychmiast ułożył i umarł. Ale oto, po długim posuwaniu się w wąskiej, czarnej jak węgiel ciemności (w pewnym miejscu, z boku, czerwona lampka mętnym blaskiem oblała czerń), po ciemnocie, ślepotcie, duchocie – w dali zabłysło blade okrągłe światło: był tam zakręt i nareszcie – wyjście; niezgrabnie i pokornie Cyncynat wypadł na kamienną podłogę – znalazł się w przeszytej słońcem celi M'sieur Pierre'a.

– Proszę, bardzo proszę – powiedział gospodarz, gramoląc się za Cyncynatem; niezwłocznie wyciągnął szczotkę do ubrania i zaczął oczyszczać swego mrugającego gościa, delikatnie powściągając i zmiękczając ruchy w miejscach, które mogłyby być wrażliwe. Chodził przy tym dookoła, pochylony, jakby omotując czymś Cyncynata, który stał nieruchomo, uderzony pewną niezwykle prostą myślą, a raczej nie samą myślą, lecz tym, że nie przyszła mu do głowy wcześniej.

– A ja, jeśli pan pozwoli, poradzę sobie tak – rzekł M'sieur Pierre i ściągnął zakurzony sweter; na chwilę, jakby niechcący, naprężył rękę, zezując na turkusowy biceps i roztaczając charakterystyczny dla siebie zapasek. Wokół lewego sutka miał pomysłowy tatuaż – dwa zielone listki – tak że sam sutek wydawał się pączkiem róży (zrobionym z marcepanu i cykaty). – Proszę spocząć

– powiedział, wkładając szlafrok w jaskrawy deseń – czym chata bogata, tym rada. Mój pokój, jak pan widzi, prawie niczym nie różni się od pańskiego. Utrzymuję go tylko w czystości i upiększam... upiększam, czym mogę. (Zabrakło mu przez chwilę oddechu, jakby ze wzruszenia).

Upiększam. Kalendarz ścienny z akwarelą, przedstawiającą twierdzę o zachodzie słońca, akuratnie eksponował malinową cyfrę. Kołdra, zszyta z różnokolorowych rombów, przykrywała łóżko. Nad nim, przymocowane pluskiewkami, wisały nieprzyzwoite zdjęcia i gabinetowa fotografia M'sieur Pierre'a; zza krawędzi ramki wysuwał plisowane fałdy papierowy wachlarzyk. Na stole leżał album oprawny w krokodylową skórę, złocił się cyferblat zegara podróznego, a ponad błyszczącą obwódką porcelanowego kubka z namalowanym na nim niemieckim pejzażem spoglądało w różne strony pięć czy sześć bratków. W rogu celi stał oparty o ścianę duży futerał, w którym mógł się znajdować instrument muzyczny.

– Jestem niezmiernie szczęśliwy, że widzę pana u siebie – mówił M'sieur Pierre, przechadzając się tam i z powrotem i za każdym razem przechodząc przez ukośną smugę słonecznego blasku, w której wciąż jeszcze tańczył wapienny pył. – W ciągu tego tygodnia, jak mi się wydaje, tak serdecznie zaprzyjaźniliśmy się, jakoś tak miło, ciepło zbliżyliśmy się do siebie, że niełatwo byłoby znaleźć coś podobnego. Widzę, że interesuje pana, co jest

w środku. Proszę mi pozwolić (zaczerpnął tchu), proszę mi pozwolić dokończyć myśl, a potem pokażę panu...

– Nasza przyjaźń – ciągnął, spacerując, lekko zadyszany M'sieur Pierre – nasza przyjaźń rozkwitła w cieplarnianej atmosferze więzienia, gdzie karmiła się jednakowymi niepokojami i nadziejami. Myślę, że znam pana teraz lepiej niż ktokolwiek na świecie, a już z pewnością bliżej niż pańska żona. Dlatego też szczególnie mnie boli, kiedy poddaje się pan uczuciu niechęci lub kiedy jest pan nieuprzejmy dla ludzi... Ot, na przykład teraz, kiedy zjawiliśmy się u pana w taki wesoły sposób, znowu obraził pan Rodryga Iwanowicza, z udawaną obojętnością przyjmując niespodziankę, w której brał tak miły, tak energiczny udział; a Rodryg Iwanowicz bynajmniej nie jest już młody i ma niemało własnych kłopotów. Nie, nie chcę teraz na ten temat... Zależy mi tylko na tym, by dowieść, że żaden odcień pańskiej duszy nie ujdzie mojej uwagi, i dlatego mnie osobiście nie całkiem słuszny wydaje się znany zarzut... Dla mnie jest pan przezroczysty jak – proszę wybaczyć wyszukane porównanie – jak zarumieniona panna młoda dla wzroku doświadczonego pana młodego. Nie wiem, mam jakieś trudności z oddychaniem, przepraszam, zaraz przejdzie. Skoro jednak tak dokładnie pana przestudiowałem i – co tu ukrywać – polubiłem, bardzo polubiłem, to i pan musiał mnie poznać, przywyknąć, więcej: przywiązać się do mnie, tak jak ja do pana. Zdobyć taką przyjaźń – na tym polegało moje pierwsze zadanie, z którego, jak sądzę,

wywiązałem się doskonale. Doskonale. Teraz napijemy się herbaty. Nie rozumiem, dlaczego nie przynoszą.

Łapiąc się za pierś, usiadł przy stole naprzeciw Cyncynata, ale natychmiast się zerwał; spod poduszki wyjął skórzany woreczek, z woreczka – zamszową pochewkę, z pochewki – klucz i podszedł do dużego futerału stojącego w rogu.

– Widzę, że jest pan pod wrażeniem mojej staranności – powiedział, ostrożnie opuściwszy na podłogę futerał, który okazał się ciężki i nieporęczny. – ... Ale, widzi pan, staranność upiększa życie samotnego mężczyzny, który w ten sposób udowadnia samemu sobie...

W otwartym futerale na czarnym aksamicie leżał szeroki, błyszczący topór.

– ... udowadnia samemu sobie, że ma swoje gniazdko... Gniazdko – ciągnął M'sieur Pierre, zamykając na powrót futerał, opierając go o ścianę i sam się o nią opierając – gniazdko, na które zasłużył, które uwił, wypełnił swoim własnym ciepłem... To w ogóle wielki temat filozoficzny, ale pewne symptomy każą mi wnosić, że tak jak ja nie ma pan teraz nastroju do tematów. Wie pan co? Oto moja rada: filiżankę herbaty wypijemy później, a teraz niech pan idzie do siebie i na chwilę się położy, tak – niech pan idzie. Jesteśmy obaj młodzi, nie może pan pozostawać tu dłużej. Jutro wszystko panu wyjaśnię, a teraz proszę iść. Ja także jestem podniecony, także nie panuję nad sobą, powinien pan to zrozumieć...

Cyncynat coś tam cicho dłubał przy zamkniętych

drzwiach.

– Nie, nie – naszym tunelem. Przecież nie na darmo męczyliśmy się z nim. Proszę się wczołgać, wczołgać. Zasłoniłem dziurę, bo wyglądałoby nieładnie. Pan pozwoli...

– Ja sam – powiedział Cyncynat.

Wgramolił się do czarnego otworu, i szurając stłuczonymi kolanami, popęzł na czworakach, zanurzając się głębiej i głębiej w wąską ciemność. M'sieur Pierre głośno coś krzyknął za nim na temat herbaty, a potem prawdopodobnie zaciągnął zasłonę, bo Cyncynat natychmiast poczuł się odcięty od jasnej celi, w której dopiero co się znajdował.

Z trudem oddychając szorstkim powietrzem, nadziewając się na ostre występy i bez szczególnego strachu oczekując zawalenia się ścian i stropu – Cyncynat po omacku posuwał się krętym korytarzem, trafiał do ciasnych karcerów i jak potulnie cofające się zwierzę zawracał; potem, namacawszy następny odcinek tunelu, pęzł dalej. Pilno mu było położyć się na czymś miękkim, choćby to miało być łóżko w jego celi, owinać się razem z głową i o niczym nie myśleć. Ta powrotna wędrówka tak się przeciągała, że zdzierając skórę na ramionach, zaczął posuwać się z pośpiechem – takim, na jaki pozwalała mu nieustanna obawa znalezienia się w korytarzu bez wyjścia. Brak powietrza odurzał i Cyncynat już chciał zatrzymać się, dać za wygraną, wyobrazić sobie, że leży w łóżku i z tą myślą – być może – zasnąć, kiedy nagle powierzchnia,

po której pełzył, wyraźnie się nachyliła i w dali mignęła świetlista czerwonawa szczelina, i zapachniało wilgocią i pleśnią, zupełnie jakby z wnętrzości twierdzy przedostał się do naturalnej groty; nad nim z niskiego sklepienia zwisały rzędem – każdy na pazurku, główką w dół, zakutany – podobne do pomarszczonych owoców nietoperze, oczekujące na swój występ; szczelina płomieniście się otworzyła, wionęło świeżym tchnieniem wieczoru i Cyncynat wyszedł z pęknięcia w skale na wolność.

Znalazł się na jednej z wielu trawiastych skarp, które, jak spiczaste ciemnozielone fale, stromo piętrzyły się na różnych wysokościach pośród skał i murów tarasowatej twierdzy. W pierwszej chwili tak mu się zakręciło w głowie od wolności, wysokości i przestrzeni, że wczepiwszy się w wilgotną darń, ledwie zauważał cokolwiek prócz tego, że na wieczorną modłę głośno krzyczą jaskółki, czarnymi nożyczkami tnące farbowane powietrze, że luna zachodu zawładnęła połową nieba, że z tyłu, za karkiem, ze straszliwą szybkością pnie się ślepa, kamienna stromizna twierdzy, z której właśnie wycisnął się jak kropla wody, że pod stopami rozciągają się widmowe urwiska i pachnąca koniczyną mgła.

Złapawszy oddech i uporawszy się z migotaniem czarnych plam przed oczami, z drzeniem ciała, z naporem achającej i ochającej swobody, która rozlegała się w nim donośnym, dalekim echem, przylgnął plecami do skały i powiódł wzrokiem po zamglonej okolicy. Daleko w dole,

gdzie osiadł już mrok, majaczył w oparach ozdobny garb mostu. A tam, po drugiej stronie – zamazane granatowe miasto z oknami jak rozżarzone węgielki: ni to jeszcze pożyczają blask od łuny zachodu, ni to już zapaliło się na swój własny rachunek; można było dostrzec, jak stopniowo nanizywane na nić zapalają się paciorki latarń w dół ulicy Stromej – i wyjątkowo wyraźny był subtelny łuk na jej górnym końcu. Za miastem wszystko mgliście polśniewało, zlewało się ze sobą, zanikało; ale nad niewidocznymi ogrodami, w różowej głębinie nieba, wisiał łańcuch przejrzystych, płomiennych obłoczków i rozpościerała się pojedyncza chmura – długa, fioletowa, z ognistymi rozdarciami na dolnej krawędzi – i kiedy Cyncynat tak patrzył, tam, tam, w oddali rozbłysło nagle grynszpanem porośnięte dębami wzgórze i powoli pogąrzyło się w cieniu.

Pijany, słaby, ślizgając się na szorstkiej darni i z trudem utrzymując równowagę, ruszył w dół i w tym samym momencie zza występu muru, gdzie ostrzegawczo szeleściła czarna tarnina, wyskoczyła ku niemu Emmoczka z twarzą i nogami zaróżowionymi od zorzy, i chwyciwszy go mocno za rękę, powlokła za sobą. Wszystkie jej ruchy zdradzały podniecenie i pełen uniesienia pośpiech.

– Dokąd idziemy? Na dół? – rwącym się głosem pytał Cyncynat, śmiejąc się z niecierpliwości.

Szybko poprowadziła go wzdłuż muru. W murze otworzyły się zielone drzwiczki. Stopnie, prowadzące w

dół, niedostrzegalnie przebiegły pod nogami. Znowu skrzypnęły drzwi; za nimi znajdował się ciemny korytarz, w którym stały kufry, szafa na ubranie, oparta o ścianę drabinka i gdzie pachniało benzyną; nagle stało się jasne, że kuchennym wejściem dostali się do mieszkania dyrektora, albowiem – już nie tak mocno trzymając go za palce, już je w roztargnieniu wypuszczając – Emmoczka wprowadziła Cyncynata do jadalni, gdzie wszyscy siedzieli przy oświetlonym owalnym stole i pili herbatę. Pierś Rodryga Iwanowicza przykrywała obficie serwetka; jego żona – chuda, piegowata, z białymi rzęsami – podawała obarzanki M'sieur Pierre'owi, który wystroił się w rubaszkę haftowaną w koguciki; koło samowara leżały w koszyczku kłębki różnokolorowej wełny i połyskiwały szkliste druty. Przy końcu stołu siedziała nastroszona ostronosa staruszka w czepku i czarnej mantylce.

Ujrzawszy Cyncynata, dyrektor rozdziawił się i coś pociekło mu z kącika ust.

– Pfuj, ty łobuzico! – powiedziała z lekkim niemieckim akcentem dyrektorowa.

M'sieur Pierre, mieszając herbatę, wstydliwie spuścił oczy.

– Rzeczywiście, co to znowu za wybryki? – rzekł Rodryg Iwanowicz poprzez sok melona. – Nie mówiąc już o tym, że jest to wbrew wszelkim przepisom.

– Niech pan da spokój – powiedział M'sieur Pierre, nie podnosząc oczu. – Przecież to dzieci, oboje.

– Wakacje się kończą, więc chciałyby trochę

podokazywać – wtrąciła dyrektorowa.

Emmoczka, umyślnie szurając krzesłem, wiercąc się i oblizując, usiadła przy stole, i na zawsze zapomniawszy o Cyncynacie, zaczęła posypywać cukrem, natychmiast przybierającym pomarańczowy kolor, kosmaty kawał melona, w który wgryzła się potem z zapalem, trzymając go za końce sięgające aż do uszu, i dźgając łokciem sąsiada. Sąsiad dalej siorbał swoją herbatę, przytrzymując łyżeczkę sterczącą między drugim i trzecim palcem, ale niepostrzeżenie wsunął lewą rękę pod stół.

– Aj! – wzdrygnęła się łaskotliwie Emmoczka, nie odrywając się zresztą od melona.

– Na razie proszę się tam – powiedział dyrektor, nożykiem do owoców wskazując Cyncynatowi zielony fotel z oparciem nakrytym pokrowcem, stojący osobno w adamaszkowym półmroku tuż przy fałdach portiery. – Jak skończymy, zaprowadzę pana w domowe pielesze. No, niechże pan siada, kiedy panu mówią. Co panu jest? Co mu jest? Tępak jakiś!

M'sieur Pierre nachylił się do Rodryga Iwanowicza, i lekko się zaczerwieniwszy, coś mu zakomunikował.

W krtani dyrektora gruchnęło prawdziwym gromem:

– No, gratuluję, gratuluję – powiedział, z trudem opanowując porywy głosu. – Wspaniale!... Najwyższy, najwyższy czas... My wszyscy... – spojrzał na Cyncynata i już miał uroczyście...

– Nie, jeszcze za wcześnie, drogi przyjacielu, proszę nie wprawiać mnie w zakłopotanie – powiedział półgłosem

M'sieur Pierre, ciągnąc go za rękaw.

– No, ale nie odmówi pan chyba drugiej szklaneczki herbaty – powiedział filuternie Rodryg Iwanowicz, a potem, pomyślawszy i pomlaskawszy trochę, zwrócił się do Cyncynata.

– Hej tam, człowieku! Może pan tymczasem obejrzyć sobie album.

Dziecino, podaj mu album. To z okazji jej (gest nożykiem) powrotu do szkoły nasz drogi gość zrobił jej... zrobił jej... Proszę mi wybaczyć, Piotrze Pietrowiczu, zapomniałem, jak pan to nazwał.

– Fotohoroskop – odpowiedział skromnie M'sieur Pierre.

– Cytrynkę zostawić? – spytała dyrektorowa.

Wisząca lampa naftowa, pozostawiając w ciemności wnętrze jadalni (gdzie błyskało jedynie wahadło, odkrawając grube plasterki sekund), oblewała przytulnie zastawiony stół rodzinnym światłem, przechodzącym w brzęk herbacianego rytuału.

## Rozdział 16

Spokojnie. Pająk wysysał malutkiego motyla pokrytego białym puszkciem i trzy muchy domowe, ale nie nasycił się jeszcze całkowicie i popatrywał na drzwi. Spokojnie. Cyncynat od stóp do głów pokryty był zadrapaniami i sińcami. Spokojnie, nic się nie stało. Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy odprowadzono go z powrotem do celi, dwu pracowników kończyło właśnie zamalowywać miejsce, gdzie niedawno ziała dziura. Teraz odróżniało się ono jedynie zawirowaniami farby, krągłymi i gęstszymi niż gdzie indziej – i robiło się duszno przy każdym spojrzeniu na ścianę, znowu oślepiła, ogłuchła i nieprzenikniona.

Inną pozostałością wczorajszego dnia był krokodylowy album z masywnym ciemnoszarym monogramem, zabrany przez Cyncynata w chwili potulnego roztargnienia: album szczególnego rodzaju, a ściśle mówiąc – fotohoroskop, sporządzony przez pomysłowego M'sieur Pierre'a, to znaczy seria fotografii, przedstawiających naturalny bieg całego dalszego życia danej osoby. Jak się coś takiego robiło? Oto, w jaki sposób. Mocno podretuszowane zdjęcia obecnej twarzy Emmoczki uzupełnione były fragmentami zdjęć cudzych – ze względu na ubiory, meble i krajobrazy – tak że otrzymywało się całą oprawę sceniczną jej przyszłości. Wprawione według kolejności w wielokątne okienka w

spoistym jak kamień kartonie ze złożonym brzegiem i opatrzone datami, wypisanymi drobnymi cyferkami, owe ostre i na pierwszy rzut oka autentyczne fotografie pokazywały najpierw Emmoczkę taką, jaka była obecnie, potem – po ukończeniu szkoły, to znaczy za trzy lata: skromniśnię z walizeczką baletnicy w ręku, potem – szesnastoletnią, w trykocie, ze skrzydłami z gazy wyrastającymi z pleców, w niewymuszonej pozie, ze wzniesionym kielichem siedzącą na stole pośród bladych hulaków, potem – osiemnastoletnią, w żałobie *femme fatale*, przy poręczy nad wodospadem, potem... ach, jeszcze w różnych ujęciach i pozycjach, aż do ostatniej – leżącej.

Za pomocą retuszu i innych sztuczek udało się, jak się mogło wydawać, pokazać naturalne i konsekwentne przemiany twarzy Emmoczki (doświadczony fachowiec posłużył się między innymi fotografiami jej matki), wystarczyło jednak przyrzeć się bliżej, by z ohydą rzeczywistością ujawniła się cała toporność tej parodii pracy czasu. Emmoczka wychodząca z opery, w futrze i z kwiatami przyciśniętymi do ramienia, miała nogi, które nigdy nie tańczyły, a na następnym zdjęciu, przedstawiającym ją już w welonie panny młodej, stał przy niej narzeczony zgrabny i wysoki, ale z okrągłutką fizjonomią M'sieur Pierre'a. W wieku lat trzydziestu pojawiały się na jej twarzy konwencjonalne zmarszczki, narysowane bez sensu, bez życia, bez znajomości ich rzeczywistego znaczenia – ale znawcy mówiące rzeczy

nader osobliwe: tak czasem bywa, że przypadkowy ruch gałęzi pokrywa się z gestem zrozumiałym dla głuchoniemego. A w wieku lat czterdziestu Emmoczka umierała – i tu proszę mi pozwolić pogratulować sobie odwrotnego błędu: jej twarz na łożu śmierci w żadnym wypadku nie mogła uchodzić za twarz zmarłej!

Rodion zabrał ów album, mrużąc, że panienska zaraz wyjeżdża, a kiedy zjawił się znowu, uznał za wskazane oznajmić, że panienska wyjechała:

(Z westchnieniem) „Poje-cha-li”. (Do pająka) Starczy już... (Pokazując dłonie) Nie mam nic dla ciebie. (Znowu do Cyncynata) Nudno, oj, nudno będzie nam bez córuchny, jak to fruwała, jakie piosenki grała, figlarka nasza, nasz złocisty kwiatusek. (Po chwili, innym tonem) Co to się stało, łaskawco, że nie zadaje pan dzisiaj żadnych pytań z haczykiem, he?”.

„Tak, tak” – sam sobie przekonywająco odpowiedział Rodion i oddalił się z godnością.

A po obiedzie, najzupełniej oficjalnie, już nie w więziennym ubraniu, tylko w aksamitnej kurtce, artystycznej muszce i nowych, przymilnie poskrzypujących butach na wysokich obcasach i z połyskującymi cholewami (które upodobały go jakoś do operowego leśnika) wszedł M'sieur Pierre, za nim zaś, z szacunkiem ustępując mu pierwszeństwa w ruchach, w słowach, we wszystkim – Rodryg Iwanowicz oraz adwokat z teczką. Cała trójka usadowiła się przy stole w plecionych fotelach (z poczekalni); Cyncynat najpierw

chodził po celi, walcząc w pojedynkę z zawstydzającym strachem, a potem także usiadł.

Niezbyt zręcznie (niezręczność ta była jednak wypróbowana, dobrze znana) adwokat zaczął mozolić się z teczką, szarpiąc jej czarny policzek; częściowo trzymając ją na kolanie, częściowo zaś opierając o stół – ześlizgiwała się to z jednego, to z drugiego – wyciągnął duży blok podręczny i zamknął czy raczej zapiął nazbyt uległą (przez co zatrzask nie od razu zaskoczył) teczkę; już ją miał położyć na stole, ale rozmyślił się: chwycił ją za kołnierz, spuścił na podłogę i oparł o nogę fotela, tak że przybrała pozę siedzącego pijaka; szybko wyjął – jak gdyby z butonierki – emaliowany ołówek, zamasyście otworzył leżący na stole blok, I na nic ani na nikogo nie zwracając uwagi, zaczął równym pismem zapełniać odrywane kartki; właśnie jednak ta obojętność wobec całego otoczenia mocno podkreślała związek między szybkimi ruchami jego ołówka i posiedzeniem, na które się tu zebrano.

Rodryg Iwanowicz siedział w fotelu, lekko odchylony do tyłu, skrzypiało oparcie, na które napierał potężnymi plecami; jedną liliową łapę opuścił na poręcz, drugą zaś wsunął pod surdut i położył na piersi; od czas do czasu wstrząsał obwisłymi policzkami i upudrowanym niby rachatlukum podbródkiem, jakby wyswobadzając je z jakiejś lepkiej, wysysającej substancji.

M'sieur Pierre, siedzący pośrodku, nalał sobie wody z karafki, a potem niezmiernie ostrożnie położył na stole

splecione dłonie (błyski fałszywego akwamarynu na małym palcu), i spuściwszy długie rzęsy, przez jakieś dziesięć sekund zastanawiał się, jak zacząć swoją przemowę.

– Łaskawi panowie – nie podnosząc oczu, cienkim głosikiem powiedział w końcu M'sieur Pierre – nade wszystko i przede wszystkim pozwólcie mi kilkoma wprawnymi kreskami naszkicować to, czego już dokonałem.

– Prosimy – powiedział basem dyrektor, surowo skrzypnąwszy fotelem.

– Z pewnością znane są panom powody zabawnej mistyfikacji, jakiej wymagają tradycje naszej sztuki. W istocie – co by to było, gdybym, ot tak sobie ujawniwszy swoją tożsamość, zaproponował Cyncynatowi C. przyjaźń. Przecież w ten sposób, drodzy panowie, najoczywiściej w świecie wzbudziłoby się jego niechęć, strach, wrogość – słowem: oznaczałoby to popełnienie fatalnego błędu.

Mówca pociągnął łyk ze szklanki i ostrożnie ją odstawił.

– Nie muszę chyba tłumaczyć – ciągnął, zatrzepotawszy rzęsami – jak ważną rzeczą dla powodzenia naszego wspólnego przedsięwzięcia jest ciepła atmosfera koleżeństwa, które dzięki cierpliwości i serdeczności stopniowo nawiązuje się między skazanym wyrokiem sądu na śmierć a wykonawcą tego wyroku. Trudno – jeżeli w ogóle jest to możliwe – wspominać bez

drzenia barbarzyństwo dawno minionych epok, kiedy ci dwaj, nie znając się wcale, wzajem dla siebie obcy, ale połączeni przez bezlitosne prawo, spotykali się twarzą w twarz dopiero w ostatniej chwili, tuż przed samym sakramentem. Wszystko to się zmieniło, podobnie jak z upływem wieków zmienił się niegdysiejszy dziki obyczaj zawierania małżeństw, przypominający raczej krwawe ofiary z ludzi, zgodnie z którym ojciec i matka wrzucali uległą dziewicę do namiotu nieznajomego mężczyzny.

(Cyncynat znalazł w kieszeni sreberko z czekolady i zaczął je miętosić).

– I oto, panowie, w celu nawiązania możliwie najprzyjaźniejszych stosunków ze skazanym, zamieszkałem w mrocznej celi, takiej samej jak jego cela, w przebraniu takiego samego, by nie powiedzieć więcej, więźnia jak on. Mój niewinny podstęp nie mógł się nie udać, byłoby więc rzeczą dziwną, gdybym miał jakiegokolwiek wyrzuty; pragnę jednak, aby w pucharze naszej przyjaźni nie było nawet najmniejszej kropelki goryczy. Nie bacząc na obecność świadków i na przekonanie o słuszności mojego postępowania, proszę pana (wyciągnął do Cyncynata rękę) o przebaczenie.

– To się nazywa prawdziwy takt – rzekł półgłosem dyrektor i jego zaczerwienione żabie oczy zwilgotniały; wyjął starannie złożoną chusteczkę, już ją miał podnieść do pulsującej powieki, ale rozmyślił się i zamiast tego wbił w Cyncynata surowe i wyczekujące spojrzenie.

Adwokat także spojrzał na niego, ale tylko przelotnie,

poruszając przy tym bezgłośnie ustami, podobnymi teraz do charakteru jego pisma, to znaczy nie tracąc więzi z linijką, która oderwała się od papieru, lecz gotowa była natychmiast pobiec po nim dalej.

– Ręka! – z wysiłkiem, spurpurowiawszy, krzyknął dyrektor i tak mocno walnął pięścią w stół, że stłukł sobie wielki palec.

– Nie, niech go pan nie zmusza, jeśli nie chce – powiedział spokojnie M'sieur Pierre. – To przecież tylko *pro forma*. Kontynuujmy.

– O, wcielona łagodności! – zatrełował Rodryg Iwanowicz, rzuciwszy spod brwi na M'sieur Pierre'a spojrzenie wilgotne jak pocałunek.

– Kontynuujmy – powiedział M'sieur Pierre. – Przez ten czas udało mi się serdecznie zaprzyjaźnić z sąsiadem. Spędzaliśmy razem...

Cyncynat zajrzał pod stół. M'sieur Pierre, nie wiedząc czemu, zmieszał się, zaczął się wiercić i zerknął z ukosa w dół. Dyrektor, uniósłszy róg ceraty, poszedł za jego spojrzeniem, a potem podejrzliwie popatrzył na Cyncynata. Z kolei dał nura adwokat, po czym obiegnął wszystkich wzrokiem i powrócił do przerwanej pisania. Cyncynat wyprostował się. (Nic szczególnego – upuścił grudkę zmiętego staniolu).

– Spędzaliśmy razem – urażonym tonem ciągnął M'sieur Pierre – długie wieczory na niekończących się rozmowach, grach i rozmaitych zabawach. Jak dzieci współzawodniczyliśmy ze sobą: kto silniejszy? – i ja,

biedniutki, słabiutki M'sieur Pierre, nie mogłem, rozumie się, o, rozumie się, dorównać potężnemu rówieśnikowi. Gadaliśmy o wszystkim – o erotyzmie i innych wzniosłych zagadnieniach, i godziny mijają jak minuty, minuty jak godziny. Czasem, w spokojnym milczeniu...

W tym momencie Rodryg Iwanowicz nagle zachichotał:

– *Impayable, ce* – „rozumie się” – powiedział szeptem, z pewnym opóźnieniem poznawszy się na żarcie.

– ... Czasem, w spokojnym milczeniu, siedzieliśmy o zmierzchu obok siebie, niemal objęci ramionami, pogrążeni każdy w swoich myślach, które jednak zlewały się ze sobą jak wody dwu rzek, kiedy tylko otworzyliśmy usta. Dzieliłem się z nim swoim doświadczeniem w sprawach sercowych, uczyłem go sztuki gry w szachy, zabawiałem aktualnym dowcipem. Tak upływały dni. Rezultaty każdy może zobaczyć. Pokochaliśmy się wzajemnie, a budowa duszy Cyncynata jest mi równie dobrze znana jak budowa jego szyi. Tak więc to nie ktoś obcy i straszny, tylko czuły przyjaciel pomoże mu wejść na czerwone stopnie; i odda mi się Cyncynat bez strachu – na zawsze, na całą śmierć. Niech się dzieje wola publiczności! (Wstał; wstał też dyrektor; adwokat, pochłonięty pisaniem, tylko lekko się uniósł). No tak. A teraz chciałbym prosić pana, Rodrygu Iwanowiczu, o oficjalne ogłoszenie mojego tytułu; proszę, żeby mnie pan przedstawił.

Dyrektor pospiesznie włożył okulary, wygładził jakąś

karteczkę i, natężywszy głos, zwrócił się do Cyncynata:

– No więc... To jest M'sieur Pierre... *Bref*... Wykonawca egzekucji... Wdzięczny jestem za honor – dodał, coś pomyliwszy, i ze zdziwioną miną opadł z powrotem na fotel.

– Nie za bardzo to panu wyszło – z niezadowoleniem powiedział M'sieur Pierre. – Istnieją przecież pewne oficjalne formy, których należałoby przestrzegać. Nie jestem bynajmniej pedantem, ale w tak ważnej chwili... Nie ma co przyciskać ręki do piersi, sfuszerowałeś, łaskawco. Nie, nie, proszę siadać, wystarczy. Teraz przejdziemy... Romanie Wissarionowiczu, gdzie nasz programik?

– Dałem go panu – bez zająknięcia powiedział adwokat.  
– Ale... – i zaczął grzebać w teczce.

– Znalazłem, niech się pan nie martwi – powiedział M'sieur Pierre – a więc... Termin spektaklu wyznaczono na pojutrze... Na Placu Atrakcji... Nie mogli wybrać lepiej... Zadziwiające! (Czyta dalej, mamrocząc pod nosem). Wstęp tylko dla dorosłych... Abonamenty cyrkowe będą honorowane... Tak, tak, tak... Wykonawca egzekucji – w czerwonych łosiowych spodniach... no nie, to już, przepraszam, figa z makiem, jak zawsze przesadzili... (Do Cyncynata) A więc – pojutrze. Zrozumiał pan? A jutro, jak każe piękny zwyczaj, musimy złożyć razem wizytę ojcom miast – pan ma, zdaje się, wykazik, Rodrygu Iwanowiczu.

Rodryg Iwanowicz zaczął się uderzać w różne miejsca

obitego wata tułowia, wytrzeszczył oczy i nie wiedzieć czemu, wstał. W końcu karteczka się znalazła.

– Doskonale – powiedział M'sieur Pierre – proszę to dołączyć do papierów, Romanie Wissarionowiczu. To już chyba wszystko. Teraz zgodnie z prawem udziela się głosu...

– Ależ nie, *cest uraiment superflu...* – wtrącił pospiesznie Rodryg Iwanowicz. – To przecież bardzo przestarzałe prawo.

– Zgodnie z prawem – z naciskiem powtórzył M'sieur Pierre, zwracając się do Cyncynata – udziela się głosu panu.

– O, wcielona uczciwości! – łamiącym się głosem rzekł dyrektor, wstrząsając policzkami.

Zapadło milczenie. Adwokat pisał tak szybko, że aż oczy bolały od błysków rzucanych przez jego ołówek.

– Poczekam całą minutę – powiedział M'sieur Pierre, położywszy przed sobą na stole gruby zegarek.

Adwokat gwałtownie wciągnął powietrze i zaczął zbierać gęsto zapisane kartki.

Minuta minęła.

– Posiedzenie skończone – powiedział M'sieur Pierre. – Chodźmy, panowie. Przed oddaniem do powielenia chciałbym przejrzeć protokół, Romanie Wissarionowiczu. Nie, później, zmęczył mi się wzrok.

– Po prawdzie – rzekł dyrektor – zdarza mi się mimo woli żałować, że nie stosuje się już sys... – Nachylił się w drzwiach do ucha M'sieur Pierre'a.

– Co pan tam mówi, Rodrygu Iwanowiczu? – zazdrośnie zainteresował się adwokat. Dyrektor szepnął coś na ucho także i jemu.

– Tak, rzeczywiście – zgodził się adwokat. – Zresztą przepisiki dałoby się obejść. Gdyby tak, powiedzmy, rozciągnąć na kilka razy...

– No, no, no – powiedział M'sieur Pierre – dosyć tego, figlarze. Nacięć nigdy nie robię.

– Nie, my tylko tak teoretycznie – uśmiechnął się przymilnie dyrektor – bo dawniej, jak można było jeszcze stosować...

Drzwi się zatrzasnęły, głosy oddaliły.

Niemal w tym samym momencie zjawił się jednak u Cyncynata jeszcze jeden gość – bibliotekarz, który przyszedł zabrać książki. Jego długa, blada twarz w aureoli czarnych, zakurzonych włosów, otaczających łysinę, długi drżący tułów w niebieskawym swetrze, długie nogi w przykrótkich spodniach – wszystko to wywierało dziwnie chorobliwe wrażenie, zupełnie jakby go sprasowano i spłaszczono. Cyncynatowi zdawało się jednak, że wraz z kurzem z książek pokrył bibliotekarza nalot czegoś odrobinę ludzkiego.

– Słyszał pan pewnie – powiedział Cyncynat – że pojutrze zostanę unicestwiony. Nie będę już brał książek.

– Nie będzie pan – potwierdził bibliotekarz.

Cyncynat mówił dalej:

– Chciałbym wyplenić parę szkodliwych prawd. Ma pan trochę czasu? Chodzi mi o to, że teraz, kiedy

dokładnie znam... Ileż uroku było w tej niewiedzy, która tak mnie dręczyła... Nie będę już brał...

– Może coś z mitów? – zaproponował bibliotekarz.

– Nie, nie warto. Jakoś nie mam ochoty na czytanie.

– Niektórzy biorą – powiedział bibliotekarz.

– Tak, wiem, ale naprawdę nie warto.

– Na ostatnią noc – z trudem dokończył swoją myśl bibliotekarz.

– Jest pan dziś strasznie rozmowny – uśmiechnął się Cyncynat. – Nie, proszę zabrać to wszystko. *Quercusa* nie mogłem zmęczyć! A właśnie, przy okazji: przez pomyłkę mi... te tomiki... po arabsku chyba... niestety, nie zdążyłem nauczyć się języków orientalnych.

– Szkoda – powiedział bibliotekarz.

– To nic, dusza to nadrobi. Chwileczkę, niech pan jeszcze nie odchodzi. Chociaż wiem, że jest pan tylko, ot, oprawiony w ludzką skórę, to jednak... zadowolam się małym... Pojutrze...

Ale bibliotekarz, drżąc na całym ciele, wyszedł.

## Rozdział 17

Tradycja wymagała, aby w przeddzień egzekucji jej uczestnicy, bierny i czynny, złożyli razem krótką pożegnalną wizytę wszystkim miejscowym notablom; uzgodniono jednak, dla skrócenia rytuału, że owe urzędowe osoby zbiorą się w podmiejskim domu zastępcy zarządcy miasta (sam zarządca, jego bratanek, był nieobecny – gościł u przyjaciółki w Pritomsku) i że M'sieur Pierre z Cyncynatem po prostu wpadną tam na kolację.

Była ciemna noc i wiał silny ciepły wiatr, kiedy ubrani w jednakowe peleryny, pieszo, eskortowani przez sześciu żołnierzy z halabardami i latarniami, weszli przez most do uśpionego miasta, i omijając główne ulice, kamienistymi ścieżkami biegnącymi pośród szumiących ogrodów zaczęli iść pod górę.

(Jeszcze na moście Cyncynat się obejrzał, wyswobodziwszy głowę z kapiszona peleryny: granatowa, skomplikowana, wielowieżowa bryła twierdzy pięła się ku matowemu niebu z morelowym księżycem przeciętym na pół przez chmurę. Ciemność nad mostem mrugała i marszczyła się za przyczyną nietoperzy.

– Przyrzekł pan – powiedział szeptem M'sieur Pierre, ścisnąwszy go lekko za łokieć, i Cyncynat znowu naciągnął kaptur).

Nocny spacer, obiecujący tak wiele melancholijnych,

beztroskich, śpiewnych i rozszeptanych wrażeń – czym bowiem jest wspomnienie, jeśli nie duszą wrażenia? – okazał się w istocie nijaki i bezbarwny i przemknął tak szybko, jak się to tylko zdarza w bardzo dobrze znanym otoczeniu, w ciemności, kiedy znikną już różnokolorowe ułamki dnia, zastąpione przez liczby całkowite nocy.

Na końcu wąskiej i mrocznej alei, gdzie chrząścił pod nogami żwir i pachniało jałowcem, nagle pojawił się teatralnie oświetlony podjazd z białawymi kolumnami, fryzami na frontonie i wawrzynami w donicach; prawie nie zatrzymując się w hallu, gdzie służący przemykali to tu, to tam, jak rajskie ptaki, gubiąc pióra, które spadały na czarno-białe płyty posadzki – Cyncynat i M'sieur Pierre przeszli do sali wypełnionej gwarem liczego towarzystwa. Byli tu wszyscy.

Był tu dyrektor fontann miejskich z charakterystyczną czupryną; był tu szef telegrafistów w czarnym mundurze, połyskującym czerwonawosłotymi orderami; był tu rumiany naczelnik wydziału zaopatrzenia z nieprzyzwoitym nosem; i pogromca lwów, cyrkowiec o włoskim nazwisku; i sędzia, głuchy jak pień starzec; i zarządca ogrodów w zielonych lakierkach; i jeszcze wiele innych majestatycznych, szacownych, siwowłosych osób z odrażającymi twarzami. Damy były nieobecne, nie licząc kuratorki okręgu szkolnego – bardzo grubej, starszawej kobiety z dużymi płaskimi policzkami i gładką, błyszczącą jak stal fryzurą, ubranej w szary męski surdut.

Ktoś pośliznął się na parkiecie, wywołując ogólną

wesołość. Żyrandol uronił jedną ze swych świec. Na niedużej, wystawionej na pokaz trumnie ktoś już położył wiązanek kwiatów. M'sieur Pierre, stojąc wraz z Cyncynatem z boku, zwracał uwagę swego podopiecznego na wszystkie te zjawiska.

Lecz oto gospodarz, smagły staruszek z hiszpańską bródką, klasnął w dłonie, drzwi gwałtownie się otworzyły i zebrani przeszli do jadalni. M'sieur Pierre'a i Cyncynata posadzono obok siebie u szczytu oślepiającego stołu i wszyscy – zrazu powściągliwie, nie naruszając zasad dobrego wychowania, potem z dobroduszną ciekawością, zmieniającą się u niektórych w ukradkowe rozczulenie – popatrywali na tę parę w jednakowych kurtkach-hamletówkach; wreszcie, w miarę jak uśmiech stopniowo rozkwitał na ustach coraz rozmowniejszego M'sieur Pierre'a, spojrzenia gości z każdą chwilą otwarciej kierowały się ku niemu i ku Cyncynatowi, który niespiesznie, pilnie i uważnie – jakby próbując znaleźć rozwiązanie zadania – na różne sposoby manewrował nożem do ryb, starając się, by zachował równowagę i nie upadł: to umieszczał go na solniczce, to na wygięciu widelca, to znów opierał o kryształowy wazonik z białą różą, ozdabiającą jego miejsce przy stole i odróżniającą je od wszystkich innych.

Służący, rekrutujący się spośród najzręczniejszych galantów w mieście, kwiat jego malinowej młodzieży, chyżo roznosili potrawy (niekiedy nawet przeskakując z półmiskami przez stół); uwagę wszystkich przyciągała

uprzejma troskliwość, z jaką M'sieur Pierre zajmował się Cyncynatem – w jednej chwili przechodził od swego konwersacyjnego uśmiechu do przelotnej powagi, ostrożnie nakładając mu na talerz jakiś smakowity kąsek, po czym, znowu z figlarnym błyskiem na różowej, bezwłosej twarzy, dalej prowadził dowcipną rozmowę z całym stołem – i nagle, przerwawszy w pół słowa, pochylając się leciutko do przodu, chwycił sosjerkę lub pieprzniczkę, i pytająco spoglądał na Cyncynata, który zresztą w ogóle nie tykał jedzenia, tylko wciąż tak samo spokojnie, starannie i pilnie przekładał nóż z miejsca na miejsce.

– Pańskie spostrzeżenie – powiedział wesoło M'sieur Pierre, zwracając się do naczelnika wydziału ruchu ulicznego (naczelnikowi udało się wtrącić swoje trzy grosze i teraz rozkoszował się przedsmakiem czarującej odpowiedzi) – pańskie spostrzeżenie przypomina mi znany kawał o tajemnicy lekarskiej.

– Prosimy opowiedzieć, nie znamy go, ach, prosimy – odezwały się zewsząd błagalne głosy.

– Dobrze więc, proszę państwa – zgodził się M'sieur Pierre. – Przychodzi do ginekologa...

– Przepraszam, że przerwę – powiedział pogromca lwów (siwy wąsacz z pąsową wstęgą jakiegoś orderu na piersi) – ale czy jest pan pewien, że ten kawał nadaje się dla uszu... – wyraziście wskazał wzrokiem Cyncynata.

– Najzupełniej, najzupełniej – surowo odpowiedział M'sieur Pierre – nigdy bym sobie nie pozwolił na

najmniejszą nieprzyzwoitość w obecności... – Tak więc, przychodzi do ginekologa stara dama (M'sieur Pierre lekko wysunął dolną wargę). „Zachorowałam – mówi – na dość poważną chorobę i boję się, że na nią umrę”. „Jakie są objawy?” – pyta lekarz. „Głowa się trzęsie, doktorze...” – i M'sieur Pierre, mamlając i trzęsąc się, zaczął udawać staruszkę.

Goście wybuchnęli głośnym śmiechem. Na drugim końcu stołu głuchy sędzia, boleśnie się krzywiąc, jakby cierpiał na zaparcie śmiechu, nieledwie wypychał duże szare ucho w usta sąsiada, chichoczącego sobka, i ciągnąc go za rękaw, błagał, żeby mu powtórzyć słowa M'sieur Pierre'a, który tymczasem zazdrośnie śledził przez całą długość stołu losy swego kawału i odetchnął dopiero wtedy, kiedy ktoś zaspokoił wreszcie ciekawość nieszczęśnika.

– Pański nadzwyczajny aforyzm, że życie jest tajemnicą lekarską – odezwał się dyrektor fontann miejskich, tak pryskając kropelkami śliny, że wokół jego ust formowała się tęcza – doskonale pasuje do pewnego dziwnego wypadku, jaki zdarzył się niedawno w rodzinie mojego sekretarza. Proszę sobie wyobrazić...

– No i jak, Cyncynacik, masz stracha? – spytał pełnym współczucia szeptem jeden z jaśniejących barwami służących, nalewając mu wina; Cyncynat podniósł na niego oczy – był to jego szwagier kpiarz: – Masz stracha, co? No to nasze kawalerskie! U żywota kresu strzel sobie xeresu...

– Co to ma znaczyć? – M'sieur Pierre chłodno osadził gadułę i ten, garbiąc się, szybko się usunął – i oto już pochylał się z butelką nad ramieniem kolejnego gościa.

– Panowie! – zawołał gospodarz, podnosząc się z krzesła i trzymając na wysokości wykrochmalonej piersi puchar z bladożółtym, lodowatym napojem. – Proponuję toast za...

– Gorzko! – zawołał któryś z gości i pozostali podchwycili okrzyk.

– Bruderszaft, zaklinam pana... – zmienionym głosem, cicho, z twarzą wykrzywioną błaganiem zwrócił się M'sieur Pierre do Cyncynata – proszę mi tego nie odmawiać, zaklinam pana, zawsze, zawsze się tak robi...

Cyncynat obojętnie skubał zwinięte w trąbkę koniuszki płatków mokrej białej róży, którą machinalnie wyjął był z przewróconego wazonu.

– ... Mam wreszcie prawo żądać tego – konwulsyjnie wyszeptał M'sieur Pierre – i nagle, z wymuszonym, urywanym śmiechem, wylał ze swego pucharu kropelkę wina na ciemną Cyncynata, a potem pokropił także siebie.

– Bravo, bravo! – rozlegało się zewsząd, i sąsiad odwracał się do sąsiada, patetyczną mimiką wyrażając zdumienie i zachwyt, i dźwięczały, trącając się, nietłukące puchary, i jabłka wielkości głowy dziecka połyskliwie piętrzyły się pośród kiści granatowych, jakby zakurzonych winogron na srebrnym okręcie o stromej piersi, i stół zdawał się wznosić jak stok diamentowej góry, i w mgłach plafonowych malowideł wędrował –

roniąc łzy, roniąc skry – wieloreki żyrandol, nadaremnie szukając cichej przystani.

– Jestem wzruszony, wzruszony – mówił M'sieur Pierre; po kolei podchodzili do niego goście, żeby mu pogratulować. Niektórzy potykali się przy tym, ktoś śpiewał. Ojciec strażaków miejskich był nieprzyzwoicie pijany; korzystając z zamieszania, dwu służących próbowało go cichcem wyprowadzić, on jednak poświęcił poły fraka, jak jaszczurka poświęca ogon, i został. Czcigodna pani kurator, oblewając się plamistym rumieńcem, cofała się w pełnym napięcia milczeniu, broniąc się przed naczelnikiem wydziału zaopatrzenia, który figlarnie celował w nią palcem, podobnym do marchewki, jakby ją chciał przekłuć lub połaskotać, i przez cały czas powtarzał: „Ti-ti-ti”.

– Panowie, przechodzimy na taras – oznajmił gospodarz i w tym samym momencie brat Marfińki i syn świętej pamięci doktora Sinieokowa z grzechotem drewnianych obręczy rozsunęli draperię: w kołyszącym się świetle malowanych lampionów ukazała się kamienna weranda, zamknięta w głębi podobnymi do kręgli słupkami balustrady, między którymi gęsto czerniały dwudzielne bloki nocy.

Najedzeni do syta goście, którym burczało w pełnych żołądkach, usadowili się w niskich fotelach. Niektórzy pętali się koło kolumn, inni – koło balustrady. Tu także stał Cyncynat, obracając w palcach mumię cygara, a obok, nie patrząc na niego, ale bez przerwy go dotykając – to

plecami, to bokiem – rozprawiał M'sieur Pierre, wywołując powszechny aplauz:

– Fotografia i wędkarstwo – oto moje największe pasje. Może się to państwu wydać dziwne, ale sława i zaszczyty są dla mnie niczym w porównaniu z wiejską ciszą. Szanowny pan uśmiecha się sceptycznie (mimoходом zwrócił się do jednego z gości, który niezwłocznie wyparł się swego uśmiechu), ale przysięgam panu, że tak jest, a ja przysięg nie rzucam na wiatr. Miłość do przyrody odziedziczyłem po ojcu, który także nie umiał kłamać. Wielu z was pamięta go oczywiście i może potwierdzić prawdziwość moich słów – nawet na piśmie, gdyby okazało się to potrzebne.

Stojąc przy balustradzie, Cyncynat niezdecydowanie wpatrywał się w mrok – i oto jak na zawołanie ciemność kusząco zbladła, gdyż czysty teraz i stojący wysoko księżyc wyśliznął się zza karakułowych chmurek, polakierował krzaki i zaniósł się trelem blasku w stawach. Nagle Cyncynat uświadomił sobie z gwałtownym drgnieniem duszy, że znajduje się w samym sercu Ogrodów Tamary, które tak mocno wyryły się w jego pamięci i które zdawały mu się tak bardzo nieosiągalne; błyskawicznie porównawszy wspomnienie z tym, co widział, uświadomił sobie, że nieraz przechodził tędy z Marfińką obok tego samego domu, w którym się teraz znajdował i który pamiętał jako białą willę z zabitymi na głucho okiennicami, przeświecającą przez liście na pagórku... Teraz, uważnym wzrokiem lustrując okolice,

bez trudu usuwał błonę nocnej mgły ze znajomych polanek albo też przeciwnie – ścierał z nich niepotrzebny kurz księżycy, żeby stały się zupełnie takie same, jak w jego pamięci. Restaurując zamazany kopciem nocy obraz, widział, jak na swoich dawnych miejscach wyłaniają się zagajniki, ścieżki, strumienie... W oddali, zarywszy się w metaliczne niebo, wstrzymane w rozpędzie znieruchomiały urocze wzgórza – w granatowym świetle i fałdach mroku...

– Księżyc płonie, chmur zasłona, na balkonie on i ona – powiedział M'sieur Pierre, uśmiechając się do Cyncynata, który zorientował się nagle, że wszyscy patrzą na niego z tkliwym, wyczekującym współczuciem.

– Rozkoszuje się pan pejzażem? – z rękami założonymi za siebie rzekł przymilnie zarządca ogrodów – pan... – zaciał się i jakby nieco zakłopotany zwrócił się do M'sieur Pierre'a: – Przepraszam... Czy pan pozwoli? Właściwie nie zostałem przedstawiony...

– Ależ nie, nie musi mnie pan prosić o pozwolenie – odparł uprzejmie M'sieur Pierre, i trąciwszy Cyncynata, powiedział cicho: – Ten pan chce z tobą porozmawiać.

– Pejzaż... Rozkoszuje się pan pejzażem? – powtórzył, kaszląc w pięść, zarządca ogrodów. – Teraz niewiele widać. Ale proszę zaczekać, punktualnie o północy – obiecał mi to nasz naczelny inżynier... Nikita Łukicz! Prosimy, Nikito Łukiczu!

– Jest tutaj – ochoczym basikiem odpowiedział Nikita Łukicz i zrobił krok do przodu, usłużnie, wyczekująco i

radośnie odwracając to do tego, to do tamtego młodzieńczą, mięsistą twarz z białą szczotką wąsów i wygodnie kładąc ręce na ramionach zarządcy ogrodów i M'sieur Pierre'a, między którymi stał, lekko wysunięty.

– Właśnie mówiłem, Nikito Łukiczu, że obiecał pan punktualnie o północy, na cześć...

– A jakże – przerwał soczyście naczelny inżynier. – Niespodzianka będzie niezawodnie. Proszę się nie niepokoić. A która to godzina, chłopcy?

Uwolnił cudze ramiona od ciężaru swoich szerokich rąk i zaaferowany wszedł do pokoju.

– No cóż, za jakichś osiem godzin będziemy już na placu – powiedział M'sieur Pierre, mozolnie zaciskając kopertę zegarka. – Nie wyśpimy się dzisiaj. Nie zimno ci, najdroższy? Pan powiedział, że będzie niespodzianka.

Słowo daję, rozpieszczają nas. Ta rybka na kolację była niezrównana.

– ... Niech pan przestanie, proszę mi dać spokój – rozległ się niski głos pani kurator, która generalskimi plecami i podobnym do drożdżówki szynionem nacierała wprost na M'sieur Pierre'a, uciekając przed palcem naczelnika wydziału zaopatrzenia.

– Ti-ti-ti – piszczał figlarnie naczelnik – ti-ti-ti.

– Nie tak ostro, madame – krzyknął M'sieur Pierre – odciski mam własne, nie państwowe.

– Czarująca kobieta – mimochodem, tonem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu zauważył naczelnik wydziału zaopatrzenia, i podskakując tanecznie, skierował

się ku grupie mężczyzn stojących przy kolumnach – i jego cień połączył się z ich cieniami, i wietrzyk kołysał papierowe lampiony, i z ciemności wyłaniała się to ręka dumnie gładząca wąs, to filiżanka podniesiona do starczych rybich ust, usiłujących wyssać z dna cukier.

– Uwaga! – zawołał nagle gospodarz, jak wichur przebiegając pomiędzy gośćmi.

Najpierw w ogrodzie, potem za nim, potem jeszcze dalej, wzdłuż drózek, w lasach, na polanach i łąkach, pojedynczo i po kilka zapalały się rubinowe, szafirowe i topazowe ogniki, stopniowo wykładając noc kolorowymi paciorkami. Goście zaczęli achąć i ochać. M'sieur Pierre wciągnął ze świstem powietrze i chwycił Cyncynata za rękę. Ogniki zajmowały coraz to większy obszar: już pobiegły wzdłuż oddalonej doliny, już przerzuciły się na drugą jej stronę, tworząc jak gdyby wydłużoną broszkę, już oto pojawiły się na pierwszych zboczach – i stamtąd pomknęły po wzgórzach, wciskając się w najskrytsze fałdy, obwąchując szczyty, przeprowadzając się przez nie!

– Ach, jak pięknie – wyszeptał M'sieur Pierre, przytuliwszy na chwilę swój policzek do policzka Cyncynata.

Goście bili brawo. Przez trzy minuty płonął różnokolorowym światłem co najmniej milion żarówek, pomysłowo umieszczonych w trawie, na gałęziach, na skałach i rozlokowanych w ten sposób, by utworzyły rozciągnięty na cały nocny pejzaż ogromny monogram z liter „P” i „C”, który jednak nie całkiem się udał. Po czym

wszystkie jednocześnie zgasły i gęsta ciemność podeszła pod taras.

Kiedy znowu zjawił się inżynier Nikita Łukicz, wszyscy otoczyli go kołem i chcieli podrzucać. Czas był już jednak najwyższy, żeby pomyśleć także o zasłużonym odpoczynku. Zanim goście się rozeszli, gospodarz zaproponował, że zrobi M'sieur Pierre'owi i Cyncynatowi zdjęcie przy balustradzie. M'sieur Pierre, mimo że pozował, kierował całą operacją. Eksplozja światła rozjaśniła biały profil Cyncynata i bezoką twarz obok niego. Sam gospodarz podał im płaszcze i wyszedł ich odprowadzić. W hallu posępni żołnierze, sennie hałasując, brali halabardy.

– Jestem niewymownie zaszczycony pańską wizytą – zwrócił się na pożegnanie gospodarz do Cyncynata. – Jutro, a właściwie dzisiaj rano, będę oczywiście na placu, nie tylko jako osoba urzędowa, ale również prywatnie. Bratanek mówił mi, że spodziewane są tłumy.

– No to niech pan połamie ręce i nogi – w przerwach między trzema pocałunkami powiedział M'sieur Pierre'owi.

Cyncynat i M'sieur Pierre, eskortowani przez żołnierzy, zagłębili się w aleję.

– Tak ogólnie, to jesteś swój chłop – rzekł M'sieur Pierre, kiedy się trochę oddalili – tylko dlaczego tak jakoś... Twoja nieśmiałość robi na ludziach przygnębiające wrażenie. Nie wiem jak ty – dodał – ale ja, chociaż naturalnie jestem zachwycony tą iluminacją i w

ogóle, mam zgagę i podstawy, aby podejrzewać, że bynajmniej nie wszystko było robione na masełku.

Szli długo. Było bardzo cicho i mglisto.

„Tok, tok, tok” – doleciało ich skądś z lewej strony, kiedy posuwali się w dół ulicy Stromej. „Tok, tok, tok”.

– Ścierwa – mruknął M'sieur Pierre. – Zaklinali się przecież, że wszystko gotowe.

W końcu przeszli przez most i zaczęli się wspinać. Księżyc już zabrano i ciemne wieże twierdzy zlewały się z chmurami. Na górze, przy trzeciej bramie czekał na nich w szlafroku i szlafmocy Rodryg Iwanowicz.

– No i co, jak było? – spytał niecierpliwie.

– Wszyscy wyli z tęsknoty za panem – powiedział sucho M'sieur Pierre.

## Rozdział 18

„Położyłem się, nie mogłem zasnąć, przemarzłem tylko, a teraz – brzask (szybko, niewyraźnie, nie kończąc słów – podobnie jak biegnący zostawia niepełny ślad podeszwy – pisał Cyncynat), powietrze teraz blade, a ja strasznie zziębłem i wydaje mi się, że abstrakcyjne pojęcie «chłodu» powinno mieć kształt mojego ciała, zaraz po mnie przyjdą. Wstyd mi, że się boję, a boję się dziko – strach, nie zatrzymując się ani na chwilę, z przeraźliwym szumem pędzi przeze mnie, jak górski potok, i ciało drży, jak most nad wodospadem, i trzeba bardzo głośno mówić, żeby usłyszeć siebie w tym szumie. Wstyd mi, dusza się skompromitowała – tak przecież nie powinno być, nie powinno być być, tylko na korze języka rosyjskiego mogła wyrosnąć taka huba trybu przypuszczającego – o, jak mi wstyd, że zajmują mnie tak bardzo, trzymają duszę za poły, jakieś drazgi, drobizgi, przyłazą, mokre, żeby się pożegnać, przyłazą jakieś wspomnienia: ja, dziecko, siedzę z książką w słońcu nad płynącą z szumem wodą i woda rzuca chwiejny blask na równiutkie linijki starych, starych wierszy – o, jak o zmierzchu – a wiem przecież, że nie powinienem ulegać – i przesadniej! – ani wspomnieniom, ani bojaźni, ani tej namiętnej czkawce: i przesadniej! – a taką miałem nadzieję, tak liczyłem, że wszystko będzie uporządkowane, wszystko proste i czyste. Wiem przecież, że groza śmierci to nic takiego, że

to nieszkodliwe drgawki, może nawet zdrowe dla duszy, zachłystliwy płacz noworodka lub wściekła odmowa oddania zabawki – i że żyli niegdyś w jaskiniach, pełnych stalaktytów i dzwonienia spadających bez przerwy kropel, radujący się śmiercią mędrcy, którzy – bardzo bładzili, to prawda – a jednak na swój sposób opanowali – i chociaż wiem to wszystko, i wiem coś jeszcze, coś zasadniczego, niezwykle zasadniczego, czego nikt tutaj nie wie – mimo to, patrzcie, kukły, jak okropnie się boję, jak wszystko we mnie dygocze i huczy, i pędzi – i zaraz po mnie przyjdą, a ja nie jestem gotów, wstyd mi...".

Cyncynat wstał, wziął rozbieg i walnął głową w mur, ale prawdziwy Cyncynat siedział w szlafroku przy stole i patrzył na ścianę, obgryzając ołówek, i po chwili, poszurawszy trochę pod stołem, znów zaczął pisać – odrobinę wolniej:

„Zachowajcie te kartki – nie wiem, kogo proszę, ale: zachowajcie te kartki – zapewniam was, że jest takie prawo, że to zgodne z prawem, sprawdźcie, a zobaczycie! – niech trochę poleżą – co wam szkodzi? – a ja tak bardzo, tak bardzo proszę – ostatnie życzenie – nie można nie spełnić. Muszę mieć choćby teoretyczną możliwość znalezienia czytelnika, inaczej lepiej to podrzeć. Oto, co należało powiedzieć. A teraz czas się zbierać”.

Znów odłożył ołówek. W celi było już zupełnie jasno. Z miejsca, gdzie padało światło, Cyncynat wywnioskował, że zaraz wybije wpół do szóstej. Doczekawszy się oddalonego uderzenia zegara, znów zaczął pisać – teraz

jednak już całkiem wolno, z częstymi przerwami, jakby zużył wszystkie siły na jakiś początkowy okrzyk.

„Moje słowa drepczą w miejscu – pisał Cyncynat. – Zazdrość względem poetów. Jakie to musi być cudowne – przemykać po stronicy i prosto ze stronicy, po której biegnie już tylko cień, wzlecieć – w błękit. Niechlujstwo egzekucji, wszystkich tych zabiegów, przed i po. Jakie chłodne ostrze, jaka gładka rękojeść. Papierem ściernym. Myślę, że ból rozstania będzie czerwony i głośny. Myśl zapisana nie ciąży już tak bardzo, chociaż niektóre myśli są jak rakowate narośle: wyrazi je człowiek, wytnie, a one odrastają, gorsze niż przedtem. Trudno sobie wyobrazić, że dzisiaj rano, za godzinę lub dwie... ”.

Minęły jednak ponad dwie godziny i, jak gdyby nigdy nic, Rodion przyniósł śniadanie, posprzątał celę, zatemperował ołówek, nakarmił pająka, wyniósł kubek. Cyncynat o nic nie pytał, ale kiedy Rodion wyszedł, a czas powlókł się dalej zwykłym sobie truchtem, zrozumiał, że znowu go okłamano, że niepotrzebnie tak napinał duszę i że wszystko zostało po dawnemu – tak samo nieokreślone, lepkie i bezsensowne.

Zegar wybił właśnie drugą lub trzecią (Cyncynat zdrzemnął się i na wpół rozbudzony nie policzył uderzeń, lecz tylko w przybliżeniu zapamiętał ich dźwiękową sumę), gdy nagle otworzyły się drzwi i weszła Marfińka. Miała rumiane policzki, z tyłu obluzował się grzebień, falował ciasny stanik czarnej aksamitnej sukni – nie wszystko jednak było dopasowane i Marfińka wydawała

się krzywa; raz po raz poprawiała ubranie, obciągając je na sobie lub bardzo szybko poruszając biodrami, jakby coś pod spodem było nie w porządku, jakby coś ją tam uwierało.

– Bławatki dla ciebie – powiedziała, rzuciwszy na stół niebieski bukiet, i niemal w tym samym momencie, zręcznie odgarnawszy suknię z kolana, postawiła na krześle tłuściutką nogę w białej pończosze, którą podciągnęła do miejsca, gdzie na delikatnym, drżącym sadle odcisnął się ślad gumki. – Ależ trudno było zdobyć pozwolenie! Musiałam się oczywiście zgodzić na małe ustępstwo – jednym słowem, zwyczajna historia. No, jak się czujesz, mój biedny Cyncynaciku?

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się ciebie – powiedział Cyncynat.

– Usiądź gdzieś, proszę.

– Próbowałam już wczoraj, a dzisiaj powiedziałam sobie: „Wejdę, choćbym pękła”. Trzymał mnie całą godzinę, twój dyrektor – strasznie cię zresztą chwalił. Oj, jak ja się dzisiaj spieszyłam, jak się bałam, że nie zdążę. Nie masz pojęcia, co się działo rano na Placu Atrakcji.

– Dlaczego odwołali? – spytał Cyncynat.

– Mówią, że wszyscy byli zmęczeni i niewyspani. Pomyśl tylko, publiczność nie chciała się rozejść. Powinieneś być dumny.

Podłużne, wspaniale oszlifowane łzy popłynęły Marfińce po policzkach i podbródku, ściśle trzymając się ich zarysów – jedna dopełzła nawet do wgłębienia nad

obojczykiem... oczy jednak ciągle spoglądały tak samo okrągło, ciągle rozcapierały się krótkie palce z białymi plamkami na paznokciach i, poruszając się szybko, cienkie usta dalej mówiły swoje.

– Niektórzy twierdzą, że teraz to już odłożono na dłużej, ale od nikogo nie można się dowiedzieć nic pewnego. W ogóle nie możesz sobie wyobrazić tych wszystkich plotek, tego całego zamieszania...

– Dlaczego płaczesz? – z uśmiechem spytał Cyncynat.

– Sama nie wiem, jestem wykończona... (Niskim, piersiowym głosem)

Mam was wszystkich dosyć. Oj, Cyncynat, Cyncynat – aleś kłopotów narobił!... Żebyś wiedział, co na ciebie wygadują-to straszne. Ale słuchaj – nagle zmieniła tempo mowy, zaczęła się uśmiechać, wdzięczyć i cmokać – niedawno – kiedy to było? – tak, przedwczoraj, przychodzi do mnie jak gdyby nigdy nic taka damulka, lekarka czy coś w tym rodzaju, całkiem nieznaną, w okropnym deszczowcu, i mówi: tak i tak... chodzi o to... rozumie pani... Mówię jej: „Nie, na razie nic a nic nie rozumiem”. Ona: „Ach, nie, ja panią znam, pani mnie nie zna... ”. Mówię jej... (Naśladowując swoją rozmówczynię, Marfińka wpadała w ton podniecony i głupkowaty, ale trzeźwo hamowała na rozciągniętym: „mówię jej” – i relacjonując własne wypowiedzi, grała już rolę spokojnej jak śnieg). Jednym słowem, zaczęła mnie przekonywać, że jest twoją matką – chociaż, moim zdaniem, nawet jej wiek nie pasuje, ale mniejsza z tym – i że strasznie boi się

prześladowań, bo niby przysłuchiwali ją i poddawali takim różnym rzeczom. Mówię jej: „Co mnie do tego i właściwie dlaczego chciała się pani ze mną zobaczyć?”. A ona – ależ nie, tak i tak, wiem, że pani jest bardzo dobra, że robi pani wszystko... Mówię jej na to: „Właściwie dlaczego myśli pani, że jestem dobra?”. A ona – tak i tak, ależ nie, ależ owszem – i pyta, czy nie dałabym jej takiego papierka – i żebym ja się niby rękami i nogami pod tym podpisała – takiego zaświadczenia, że nigdy u nas nie bywała i nie widywała się z tobą... To, proszę cię, bardzo Marfińkę ubawiło, o, jak ubawiło! Myślę (przeciągłym, niskim głosem), że to jakaś wariatka, kopnięta, nie? W każdym razie oczywiście nic jej nie dałam. Wiktor i inni mówili, że mogłoby to być kompromitujące – że niby w ogóle śledzę każdy twój krok, skoro wiem, że jej nie znasz – więc poszła sobie, bardzo, zdaje się, zbita z tropu.

– To naprawdę była moja matka – powiedział Cyncynat.

– Być może, być może. Czy to, zresztą, ważne? Ale czemuś ty jakiś taki ponury i skwaszony, Cyn-Cyn? Myślałam, że się ucieszysz, jak przyjdę, a ty...

Spojrzała na łóżko, a potem na drzwi.

– Nie wiem, jakie są tu u was przepisy – powiedziała półgłosem – ale jeśli nie możesz już wytrzymać, Cyncynacik, to chodź, tylko szybko.

– Daj spokój. Co za idiotyzm – powiedział Cyncynat.

– No cóż, jak sobie szanowny pan życzy. Chciałam ci

tylko dogodzić, bo przecież to ostatnie widzenie i w ogóle. Ale, ale. Wiesz, kto chce się ze mną żenić? No, zgadnij. Nigdy nie zgadniesz – pamiętasz tego starego piernika, co kiedyś mieszkał koło nas, ciągle tylko smrodził fajką przez płot i podglądał, jak wchodziłam na jabłonkę. Dobre sobie, co? I masz pojęcie, on to całkiem poważnie! Rzeczywiście, pójdę za tego starego stracha na wróble, jeszcze czego! A w ogóle to czuję, że muszę sobie porządnie, porządnie odpocząć – tak wiesz: zamknąć oczy, wyciągnąć się, o niczym nie myśleć – odpocząć, odpocząć – i oczywiście w zupełnej samotności albo z człowiekiem, który naprawdę troszczyłby się o mnie i wszystko by rozumiał, wszystko...

Znów błysnęły jej krótkie, twarde rzęsy i popłynęły łzy, zapuszczając się w dołeczki na jabłkoworumianych policzkach.

Cyncynat wziął jedną z tych łez i posmakował: ani nie słona, ani nie słodka – po prostu kropla letniej wody. Cyncynat nie zrobił tego.

Nagle z piskiem uchylły się leciutko drzwi; rudy palec przywołał Marfińkę, która szybko podeszła do szpary.

– O co chodzi, przecież jeszcze czas, obiecano mi całą godzinę – powiedziała szeptem, gwałtownie wyrzucając z siebie słowa. Usłyszała jakąś odpowiedź.

– W żadnym wypadku! – zawołała z oburzeniem. – Może mu to pan przekazać. Umówiliśmy się, że tylko z dyrek...

Przerwano jej; uważnie słuchała natarczywego

mamrotania; spuściła wzrok, marszcząc czoło i szurając pantofelkiem.

– No dobrze, zgoda – burknęła i z niewinnym ożywieniem zwróciła się do męża: – Wracam za pięć minut, Cyncynacik.

(Kiedy został sam, myślał o tym, że nie tylko nie zaczął jeszcze z Marfińką ważnej rozmowy, której nie można było dłużej odwlekać, ale nawet nie jest teraz w stanie wyrazić tych wszystkich ważnych... Ciężko mu przy tym było na sercu i ciągle to samo wspomnienie skomlało w kąciku – a przecież czas już był najwyższy, żeby odwyknać wreszcie od całej tej udręki).

Wróciła dopiero po trzech kwadransach, nie wiedząc czemu pogardliwie śmiejąc mu się w nos; postawiła nogę na krześle, strzeliła podwiązką, i obciągnawszy ze złością fałdy wokół talii, usiadła przy stole, zupełnie tak samo, jak siedziała przedtem.

– Nic z tego – rzekła z uśmiezkiem i zaczęła się bawić niebieskimi kwiatami, które leżały przed nią. – No, powiedz coś, Cyncynaciku, mój koguciku, przecież... Wiesz, sama je zbierałam, maków nie lubię, ale te są urocze. Nie napieraj się, jak nie możesz – niespodziewanie dodała innym tonem, mrużąc oczy. – Nie, Cyn-Cyn, to nie dla ciebie. (Westchnienie) No, powiedz coś, pociesz mnie.

– Mój list... Czy... – zaczął Cyncynat i zakasłał. – Czy przeczytałaś uważnie mój list – jak należy?

– Proszę cię – zawołała Marfińska, przyciskając ręce do

skroni – tylko nie o liście.

– Właśnie że o liście – powiedział Cyncynat.

Zerwała się z krzesła, konwulsyjnie poprawiając suknię, i zaczęła mówić niewyraźnie, lekko sepleniąc, jak zawsze, kiedy się gniewała.

– Ten okropny list to jakieś majaczenia, w każdym razie ja nic z niego nie rozumiałam, można by pomyśleć, że siedziałeś tu sam na sam z butelczyną i pisałeś. Nie chciałam wspominać o nim, ale skoro ty sam już... Przecież po drodze na pewno go przeczytali, zrobili odpis, powiedzieli: „Aha! Ona musi z nim trzymać, skoro on tak do niej pisze”. Nie rozumiesz, że nic nie chcę wiedzieć o twoich sprawkach, zabraniam ci w przyszłości przysyłać takie listy, wciągać mnie w swoje przestępstwa...

– To, co ci pisałem, nie jest żadnym przestępstwem – powiedział Cyncynat.

– To tobie tak się wydaje, ale wszyscy byli przerażeni tym listem, po prostu przerażeni! Może i jestem głupia i nie znam się na prawie, ale instynkt mi mówi, że każde twoje słowo jest niemożliwe, niedopuszczalne... Och, Cyncynat, w jakim ty mnie stawiasz położeniu – i dzieci, pomyśl o dzieciach... Posłuchaj – no, posłuchaj mnie przez chwilę – ciągnęła z takim zapalem, że prawie zupełnie nie można jej już było zrozumieć – odwołaj wszystko, wszystko. Powiedz im, że jesteś niewinny, że tylko tak się popisywałeś, powiedz im, pokajaj się, zrób to – może i nie uratujesz głowy, ale pomyśl o mnie, wytykają mnie już palcami: „Patrzcie, to ona, wdowa,

patrzcie!".

– Czekaj, Marfińka. Nie rozumiem. Co mam odwołać?

– No tak, proszę! Wciągaj mnie, zadawaj podstępne... Przecież gdybym wiedziała, co, znaczyłoby to, że jestem twoją współpracowniczką. To jasne. Nie, dosyć już, dosyć. Strasznie boję się tego wszystkiego. Ostatni raz cię pytam, czy naprawdę nie chcesz, ze względu na mnie, na nas wszystkich...

– Żegnaj, Marfińko – powiedział Cyncynat.

Usiadła, wsparła się na prawym łokciu, lewą ręką kreśląc na stole swój świat, i pogрузzyła się w zadumie.

– Och, jak nieprzyjemnie, jak nudno – rzekła, głęboko, głęboko westchnąwszy. Zmarszczyła czoło i narysowała paznokciem rzekę. – Nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Wszystko gotowa byłam ci dać. Rzeczywiście, warto się było starać! No nic, trudno. (Rzeka wpadła do morza – na krawędzi stołu). Odchodzę z ciężkim sercem, żebyś wiedział. Tak, tylko jak ja się mam stąd wydostać? – nagle przypomniała sobie niewinnie, a nawet wesoło. – Nieprędko po mnie przyjdą, wytargowałam kupę czasu.

– Nie martw się – powiedział Cyncynat – każde nasze słowo... Zaraz otworzą.

Nie pomylił się.

– Pa, pa, pa – zaszcebiotała Marfińka. – Czekajcie, łapy przy sobie, dajcie pożegnać się z mężem. Pa, pa. Jeśli trzeba ci czegoś – z koszul, czy tam... Ach, prawda! Dzieci kazały cię mocno, mocno wycalować. Miałam coś jeszcze... Aha, byłabym zapomniała: tatuś wziął sobie

czepaczek do wina, który ci kiedyś podarowałam, i twierdzi, że mu go niby...

– Proszę się pospieszyć, jejmościuniu – przerwał jej Rodion, familiarnie popychając ją kolanem ku wyjściu.

## Rozdział 19

Następnego ranka otrzymał gazety, co przypomniało mu pierwsze dni w więzieniu. Od razu rzuciło się w oczy kolorowe zdjęcie: pod granatowym niebem – plac, tak gęsto nabity wielobarwnym tłumem, że widać było sam skraj ciemnoczerwonego pomostu. Szpalta dotycząca egzekucji była w połowie zamazana, a z drugiej połowy Cyncynat wyłowił tylko to, o czym wiedział już od Marfińki: że maestro jest trochę niezdrów i że spektakl odłożono – być może na dłużej.

– To ci się dziś trafiło – powiedział Rodion, nie do Cyncynata, lecz do pajaka.

W obu rękach niósł – bardzo ostrożnie, ale i ze wstrętem (troskliwość kazała przyciskać do piersi, strach – odsuwać jak najdalej) – zrobione z ręcznika zawiniątko, w którym coś dużego poruszało się i szeleściło.

– Na oknie w wieży zem to złapał. Prawdziwy potwór! Widzisz go, jak się szarpie, aż utrzymać trudno...

Chciał przysunąć sobie krzesło, jak czynił to zawsze, żeby stanąwszy na nim, położyć ofiarę na solidnej pajęczynie i podać ją w ten sposób żarłocznemu pajakowi (ten już się nadymał, wyczuwając zdobycz), coś jednak nie wyszło – niechcący wypuścił z groźnych sękatych palców najważniejszą fałdę ręcznika i niemal jednocześnie krzyknął, jeżąc się cały, jak krzyczą i jeżą się ci, w których nie tylko nietoperz, ale i zwykła mysz

domowa budzi odrazę i przerażenie. Z ręcznika uwolniło się coś dużego, ciemnego, wąsatego – i wtedy Rodion wrzasnął ile sił w płucach, drepcząc w miejscu, bojąc się wypuścić stwora, ale nie śmiąc go złapać. Ręcznik upadł, branka zaś zawisała na mankiecie Rodiona, uczepiwszy się go wszystkimi sześcioma lepkimi łapkami.

Była to po prostu ćma – ale jaka! – wielkości dłoni mężczyzny; miała grube skrzydła, ciemnobrązowe z siwawym podbiciem, miejscami jak gdyby pokryte kurzem; każde z nich było pośrodku ozdobione okrągłą, połyskującą jak stal plamką, która przypominała oko. To wczepiając się w tkaninę, to odrywając członowe łapki w puszystych spodenkach, i powoli poruszając lekko uniesionymi łopatkami skrzydeł, przez które przeświecały te same baczne plamki i falisty wzór na zagiętych popielatych krawędziach – ćma omackiem pełzła po rękawie, a Rodion, oszalały ze strachu, odrzucając i odtrącając swoją własną rękę, jęczał: „Zdejm to! Zdejm to!” – i wytrzeszczał oczy. Doszedłszy do łokcia, ćma bezgłośnie zatrzepotała; ciężkie skrzydła zdawały się przeważać ciało i na zgięciu łokcia owad obrócił się nimi w dół, ciągle jeszcze trzymając się czepliwie rękawa – można teraz było zobaczyć jego pomarszczony brzusek, brunatny z białawymi łatami, jego wiewiórczy pyszczek, oczy niby dwie czarne śruciny i czułki, przypominające ostro zakończone uszy.

– Oj, zabierz ją! – nie panując nad sobą, jęknął błagalnie Rodion, jego oszalałe ruchy sprawiły, że

wspaniały owad oderwał się od rękawa, uderzył o stół, zatrzymał się na nim, potężnie trzepocząc, i nagle wzleciał z jego krawędzi. Ale taki ciemny jest dla mnie wasz dzień, po co zbudziliście mnie z drzemki? Lot – nurkowy, ociążały – trwał krótko. Rodion podniósł ręcznik, i wściekle nim wymachując, usiłował strącić ślepego napowietrznego wędrowca, ten jednak nagle zniknął; wyglądało to tak, jakby połknęło go powietrze.

Rodion szukał przez jakiś czas, nie znalazł i stanął na środku celi, odwróciwszy się do Cyncynata i podparłszy pod boki.

– A to szelma, co? – zawołał po chwili znaczącego milczenia. Splunął, pokręcił głową i wyciągnął pulsujące pudełko od zapalek z zapasowymi muchami, którymi musiało się zadowolić rozczarowane zwierzę. Cyncynat jednak dobrze wiedział, gdzie usiadła ćma.

Kiedy wreszcie Rodion sobie poszedł, gniewnie zrywając w marszu brodę razem z kudłatą czapką włosów, Cyncynat przeniósł się z łóżka do stołu. Zaczął żałować, że się pospieszył i oddał wszystkie książki, dla zabicia czasu wziął się więc do pisania.

„Wszystko się wyjaśniło – pisał – to znaczy wszystko mnie zwiodło – wszystkie te teatralne, żalosne rzeczy: obiecanki małej swawolnicy, wilgotne spojrzenie matki, stuki za ścianą, życzliwość sąsiada, wreszcie – wzgórze, które pokryły się śmiertelną wysypką... Wszystko mnie zwiodło, wyjaśniając się, wszystko. Otóż i ślepa uliczka życia tutaj – i nie w jego ciasnych ramach należało szukać

ocalenia. To dziwne, że szukałem ocalenia. Zupełnie jak człowiek bolejący nad tym, że zgubił niedawno we śnie przedmiot, którego w istocie nigdy nie miał, albo żywiący nadzieję, że następnej nocy przyśni mu się jego odnalezienie. Tak powstaje matematyka; ma ona pewną zgubną wadę. Odkryłem ją. Odkryłem szczelinę w życiu – w miejscu gdzie się oderwało, gdzie było kiedyś przylutowane do czegoś innego, naprawdę żywego, ważnego i wielkiego – jakich to olbrzymich epitetów mi trzeba, żebym mógł je wypełnić po brzegi krystalicznym sensem... niektóre rzeczy niech lepiej zostaną niedopowiedziane, bo znowu się zapłaczę. Od tej niezasklepialnej szczelinki zaczęło się gnicie – ech, zdaje się, że jednak zdołam powiedzieć o wszystkim – o snach, połączeniu, rozpadzie – nie, znowu się ześliznęło – moje najlepsze słowa to dezserterzy, nie reagują na dźwięk trąbki, a pozostałe – kaleki. O, gdybym był wiedział, że tak długo przyjdzie mi tu pozostać, zacząłbym od elementarza i stopniowo, posuwając się szerokim gościńcem logicznie powiązanych pojęć, doszedłbym, doprowadziłbym do końca, dusza otoczyłaby się murem słów... Wszystko, co tutaj do tej pory napisałem, jest tylko pianą mojego wzburzenia, pustym uniesieniem – właśnie dlatego, że tak bardzo się spieszyłem. Teraz jednak, kiedy już jestem zahartowany, kiedy prawie nie przeraża mnie...

"

W tym miejscu skończyła się strona i Cyncynat spostrzegł, że nie ma już papieru. Jeszcze jeden arkusz

udało się jednak wygrzebać.

„...śmierć” – napisał na nim, podejmując przerwane zdanie, ale zaraz przekreślił to słowo; należało wyrazić się inaczej, precyzyjniej: może „egzekucja”, „ból” lub „rozstanie” – jakoś tak; zamyślił się, obracając w palcach skarłały ołówek; do krawędzi stołu przyłgął brązowy puszek, w miejscu gdzie niedawno trzepotała, i Cyncynat, przypomniawszy sobie o niej, wstał, zostawił na stole arkusz z jednym jedynym słowem, a i to jeszcze przekreślonym, i pochylił się (udając, że poprawia tył pantofla), oparty o łóżko, na którego żelaznej nodze, na samym dole, siedziała ona – pogrążona we śnie rozpościerała swe widzące skrzydła w uroczystym odrętwieniu, nieosiągalnym dla prześladowców, żał tylko było mechatego grzbietu, na którym stał się w jednym miejscu puszek, w rezultacie czego powstała niewielka łysinka, błyszcząca jak orzeszek; wszelako ogromne, ciemne skrzydła z ich popielatymi brzegami i wiecznie otwartymi oczami były nietykalne – przednie, lekko opuszczone, zachodziły na tylne, w ich pochyleniu byłaby senna bezwolność, gdyby nie linie proste górnych krawędzi i nienaganna symetria wszystkich rozchodzących się linii, tak urocza, że Cyncynat nie wytrzymał i koniuszkiem palca przesunął po siwym skraju prawego skrzydła, u jego nasady, a potem po skraju lewego (jakaż subtelna twardość! jakaż nieustępliwa subtelność!), ale ćma się nie obudziła, więc rozprostował plecy i lekko westchnąwszy, odsunął się od łóżka;

zamierzał znowu usiąść przy stole, gdy nagle szczęknął klucz w zamku i – piszcząc, skrzypiąc i zgrzytając zgodnie ze wszystkimi zasadami więziennego kontrapunktu – otworzyły się drzwi. Wsunął w nie głowę, a potem wszedł cały – różowiutki M'sieur Pierre w stroju myśliwskim barwy zielonego groszku, za nim zaś dwie inne osoby, w których prawie nie sposób było rozpoznać dyrektora i adwokata: wymizerowani, odrętwiali, obaj ubrani w szare koszule, obaj w starych znoszonych butach – bez żadnej charakteryzacji, bez podbicia, bez peruczek, z kaprawymi oczami i cherlawymi ciałami, przeglądającymi przez niczym nie maskowane łachmany – okazali się podobni do siebie i jednakowo obracały się ich jednakowe główki na cienkich szyjach, bladołyse główki, pokryte guzami, z niebieskawymi punkcikami z boku i odstającymi uszami.

Pięknie uróżowany M'sieur Pierre skłonił się, zsunąwszy lakierowane cholewy, i powiedział śmiesznie cienkim głosikiem:

- Powóz zajechał, pan będzie łaskaw.
- Dokąd? – spytał Cyncynat, który rzeczywiście nie od razu zrozumiał, przekonany, że stanie się to o świcie.
- Dokąd, dokąd... – powtórzył, przedrzeźniając go M'sieur Pierre – wiadomo, dokąd. Zrobić ciach, ciach.
- Ale przecież nie w tej chwili – powiedział Cyncynat, sam zdziwiony tym, co mówi – nie jestem jeszcze całkiem gotów... (czy to ty mówisz, Cyncynacie?).
- Ależ tak, właśnie w tej chwili. Zlituj się, przyjacielu,

miałeś prawie trzy tygodnie, żeby się przygotować. Chyba wystarczy, nie? A to moi asystenci, Rodia i Roma, błagam o względy dla nich. Zuchy z wyglądu może plugawe, ale za to gorliwe.

– Pragniemy służyć ze wszystkich sił! – huknęły zuchy.

– A, byłbym zapomniał – ciągnął M'sieur Pierre – zgodnie z prawem możesz jeszcze... Roman, braciszku, daj no mi tu ten wykaz.

Roman z przesadnym pośpiechem wyjął zza podszewki czapki złożony we dwoje kawałek kartonu w żałobnej obwódce; gdy go wyciągał, Rodryg mechanicznie macał się po bokach jakby chciał wsunąć rękę za pazuchę, nie spuszczał przy tym bezmyślnego wzroku z kolegi.

– Dla uproszczenia sprawy – powiedział M'sieur Pierre – mamy tu przygotowane menu ostatnich życzeń. Możesz wybrać jedno i tylko jedno. Przeczytam na głos. Tak więc: szklaneczka wina; albo krótka wizyta w toalecie; albo pobieżne zapoznanie się z więzienną kolekcją pocztówek wiadomego rodzaju; albo... a to co takiego... wystosowanie pisma do dyrekcji z wyrazami... wyrazami wdzięczności za troskliwą... No nie, bardzo przepraszam – Rodryg, łajdaku, to ty wpisałeś. Nie pojmuję. Kto cię prosił? Oficjalny dokument! To skandal, afront dla mnie – zwłaszcza że tak skrupulatnie przestrzegam prawa, tak się staram...

M'sieur Pierre ze wściekłością cisnął karton na podłogę. Rodryg natychmiast go podniósł i wygładził, mamrocząc ze skruchą:

– Proszę, niech się pan nie denerwuje... to nie ja, to z Romka taki kawalarz... ja znam przepisy. Wszystko jest w porządku... życzenia gotowe... a to tutaj można na zamówienie...

– Skandaliczne! Niewybaczone! – krzyczał M'sieur Pierre, chodząc po celi. – Nie czuję się dobrze, a jednak wypełniam swoje obowiązki. Często się mnie zepsuta ryba, podsuwa mi się jakaś lafirynda, postępuje się ze mną wręcz bezczelnie – a potem wymaga się ode mnie czyściutkiego wykonania. Nie, szanowni państwo! Basta! Czara cierpliwości wypita! Po prostu się wycofuję – zróbcie to sami, tnijcie, rznijcie, radźcie sobie, jak umiecie, połamcie mój instrument...

– Publiczność ubóstwia pana – rzekł przypochlebny Roman – niech się pan uspokoi, błagamy, maestro. Jeśli coś było nie tak, to przez niedopatrzenie, głupi błąd, nazbyt wielką gorliwość – tylko przez to! Proszę więc nam wybaczyć. Niechże bożyszczę płci pięknej, ulubieniec wszystkich, niech zetrze z twarzy groźny grymas i przywoła na usta ten uśmiech, za którym szaleją...

– Dosyć, dosyć, gaduło – mięknąc, burknął M'sieur Pierre – w każdym razie pełnię swoją powinność rzetelniej niż niektórzy. Dobrze więc, wybaczam. Pozostaje jednak to przekłete życzenie, trzeba wreszcie coś postanowić. No jak, co wybrałeś? – spytał Cyncynata (który przysiadł cicho na łóżku). – Decyduj się szybciej. Chcę już raz z tym skończyć, a zbyt wrażliwi niech nie

patrzają.

– Dopisać coś – na wpół pytająco wyszeptał Cyncynat, ale potem zmarszczył czoło, wyteżył umysł i nagle zrozumiał, że w istocie wszystko zostało już dopisane.

– Nie rozumiem, co on mówi – powiedział M'sieur Pierre. – Może ktoś rozumie, ale ja nie.

Cyncynat podniósł głowę:

– Oto moje życzenie – powiedział głośno i wyraźnie – proszę o trzy minuty – wyjdźcie na ten czas albo przynajmniej zamilknijcie – tak, trzy minuty antraktu – a potem, niech będzie, dogram z wami do końca tę idiotyczną sztukę.

– Zgódźmy się na dwie i pół – powiedział M'sieur Pierre, wyjąwszy gruby zegarek – opuść trochę, bracie, połóweczkę? Nie chcesz? No, to zedrzyj ze mnie skórę – zgoda.

Przybrawszy niewymuszoną pozę, oparł się o ścianę: Roman i Rodryg poszli za jego przykładem, ale Rodrygowi wykręciła się noga i o mało nie upadł, z panicznym strachem spojrzął przy tym na maestra.

– Sss, sukinkot – syknął na niego M'sieur Pierre.

– A w ogóle, co się tak rozwalacie? Wyjąć ręce z kieszeni! Radzę wam ze mną uważać... (z pomrukiem usiadł na krześle). Mam dla ciebie zadanie, Rodia – możesz pomalutku zacząć tu sprzątać; tylko nie rób za dużo hałasu.

Podano przez drzwi miotłę i Rodryg wziął się do roboty.

Przede wszystkim końcem miotły wybił całą kratę we wgłębieniu okna; jakby z przepaści dobiegło dalekie, słabe „hura” i do celi wpadł podmuch świeżego powietrza; ze stołu spadły kartki i Rodryg cisnął je w kąt. Potem, także posługując się miotłą, zdjął grubą szarą pajęczynę, a razem z nią pajaka, którym dawniej tak troskliwie się opiekował. Zajął się nim stojący beczynn timer Roman. Pajak, wykonany prymitywnie, lecz pomysłowo, składał się z okrągłego pluszowego ciała z drgającymi nóżkami, zrobionymi ze sprężynek, i długiej gumki, umocowanej pośrodku grzbietu; za jej koniec trzymał go w powietrzu Roman, to unosząc, to opuszczając rękę, wskutek czego gumka to skracała się, to wydłużała, i pajak wędrował na przemian w górę i w dół. M'sieur Pierre porcelanowym wzrokiem spojrział z ukosa na zabawkę i Roman, uniósłszy brwi, pospiesznie schował ją do kieszeni. Rodryg próbował tymczasem wysunąć szufladę stołu, naparł na nią, poruszył – i stół pękł na dwoje. Jednocześnie krzesło, na którym siedział M'sieur Pierre, wydało żałosny dźwięk, coś tam ustąpiło i M'sieur Pierre omal nie upuścił zegarka. Tynk osypał się z sufitu. Po ścianie przebiegła kręta szczelina. Niepotrzebna już cela najwyraźniej się rozpadała.

– ... pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt – doliczył do końca M'sieur Pierre – czas upłynął. Wstawaj z łaski swojej. Pogoda na dworze piękna, przejażdżka będzie prawdziwą przyjemnością, inny na twoim miejscu sam by wszystkich poganiał.

– Jeszcze chwilę. Mnie samemu wydaje się śmieszne, że tak haniebnie trzęsą mi się ręce, ale nie potrafię tego opanować ani ukryć – tak, trzęsą się i już. Moje papiery zniszczycie, śmieci wymieciecie, ćma wyfrunie w nocy przez wybite okno – tak więc nic ze mnie nie zostanie w tych czterech ścianach, które już w tej chwili bliskie są zawalenia. Teraz jednak proch i zapomnienie nic dla mnie nie znaczą, czuję tylko jedno – strach, strach, zawstydzający, niepotrzebny...

W istocie Cyncynat nie mówił tego wszystkiego; w milczeniu wkładał buty. Żyła nabrzmiała mu na czole, opadały na nią jasne kędziory, koszula miała szeroko rozpięty wyszywany kołnierzyk, który nadawał jakiś niezwykle młodzińczy charakter jego szyi i poczerwieniałej twarzy z drżącymi jasnymi wąsami.

– Chodźmy wreszcie! – pisnął M'sieur Pierre.

Cyncynat, starając się nie otrzeć o nic ani o nikogo, stawiając stopy jakby szedł po oblodzonej pochyłości, wydostał się w końcu z celi, której w gruncie rzeczy już tam nie było.

## Rozdział 20

Poprowadzono Cyncynata kamiennymi korytarzami. To z przodu, to z tyłu wyskakiwało oszalałe echo – waliły się wszystkie jego kryjówki. Często natrafiali na obszary mroku, bo niektóre żarówki były przepalone. M'sieur Pierre domagał się, żeby iść w nogę.

Dołączyło do nich kilku żołnierzy w regulaminowych psich maskach – i wówczas Rodryg i Roman za zgodą swego pana ruszyli szybciej, dużymi, zadowolonymi krokami, próbując się wzajemnie wyprzedzić, i z krzykiem zniknęli za rogiem.

Cyncynata, który nagle – niestety – oduczył się chodzić, podtrzymywali M'sieur Pierre i żołnierz z pyskiem charta. Bardzo długo gramolili się na schody – twierdza dostała chyba lekkiego ataku apopleksji, albowiem schody wiodące w dół biegly w istocie do góry i na odwrót. Znowu zaczęły się długie korytarze, ale z gatunku bardziej zaludnionych, to jest niedwuznacznie dające do zrozumienia – demonstrując czy to linoleum, czy tapety, czy kuferek pod ścianą – że sąsiadują z pomieszczeniami mieszkalnymi. Na jednym z zakrętów zalatywało nawet kapustą. Potem minęli szklane drzwi z napisem: „ancelaria”, a po kolejnym okresie mroku, niespodziewanie znaleźli się na dziedzińcu, ogłuszająco zalany południowym słońcem.

Podczas całej tej podróży Cyncynata pochłaniało jedno:

starał się uporać ze strachem – zachłystującym się, rozdzierającym, głuchym na wszystko. Pojmował, że strach ten wciąga go właśnie w ową fałszywą logikę rzeczy, która stopniowo wytworzyła się wokół niego i od której jeszcze rano udało mu się jakoś uwolnić. Już sama myśl, że ten oto puciołowaty, rumiany myśliwy ma go ściąć, była niedopuszczalną słabością, mdląco wciągającą go w niebezpieczny układ. Cyncynat doskonale zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, ale – jak człowiek, który nie może się powstrzymać od dyskusji z halucynacją, rozumiejąc przecież, że cała maskarada odbywa się w jego własnym mózgu – nadaremnie próbował zwyciężyć w sporze ze strachem, choć wiedział, że w istocie powinien cieszyć się z przebudzenia, którego bliskość czuło się w ledwie zauważalnych zjawiskach, w szczególnym piętnie na codziennych przedmiotach, w jakiejś ogólnej nietrwałości, w jakiejś niedoskonałości wszystkiego, co widzialne – słońce jednak ciągle jeszcze było prawdopodobne, świat jeszcze się trzymał, rzeczy przestrzegały jeszcze zewnętrznych dobrych manier.

Za trzecią bramą czekał powóz. Żołnierze nie poszli z nimi dalej, lecz siedli na belkach, zwalonych pod murem, i zdjęli swoje płócienne maski.

Koło bramy lekliwie cisnęła się służba więzienna i rodziny strażników – bose dzieci podbiegały, zaglądały w obiektyw i natychmiast pędziły z powrotem – i psykały na nie ich matki w chustkach na głowach, i gorący blask złocił rozsypaną słomę, i pachniało nagrzanymi

pokrzywami, a z boku tłoczył się tuzin dyskretnie gegających gęsi.

– No, to jedziemy – ochoczo zawołał M'sieur Pierre i włożył swój zielony jak groszek kapelusz z bażancim piórkiem.

Do starej odrapanej kolaski, która skrzypnęła i gwałtownie się przechyliła, kiedy sprężysty M'sieur Pierre wskoczył na stopień, zaprzężona była gniada szkapa z wyszczerzonymi zębami i połyskliwie czarnymi od much ranami na kościach zadu, ostro sterczących pod skórą, tak chuda, tak świecąca żebrami, że jej tułów zdawał się ściągnięty szeregiem obręczy. W *grzywą* wplecioną miała czerwoną wstążkę. M'sieur Pierre wcisnął się w kąt, robiąc miejsce Cyncynatowi, i spytał, czy nie przeszkadza mu ogromny futerał, który wsunięto im pod nogi.

– Postaraj się, bracie, nie nadepnąć – dodał. Na kozioł wdrapali się Rodryg i Roman. Rodryg, który był za woźnicę, trzasnął długim batem, koń szarpnął się, nie od razu zdołał ruszyć z miejsca i przysiadł na zadzie. Nie w porę rozległo się nieskładne „hura” pracowników służby więziennej. Powstawszy i pochyliwszy się do przodu, Rodryg smagał konia po uniesionym pysku, a kiedy kolaska konwulsyjnie ruszyła, rzucony na kozioł, upadł niemal na wznak, ściągając lejce i wołając „prrr”.

– Tylko spokojnie – z uśmiechem powiedział M'sieur Pierre, dotknąwszy jego pleców pulchną ręką w eleganckiej rękawiczce.

Błada droga z tandetną malowniczością owijała się

kilka razy wokół podstawy twierdzy. Miejscami było dosyć stromo i Rodryg pospiesznie kręcił zgrzytającym hamulcem. M'sieur Pierre położył ręce na buldogowatej gałce laski i wesoło przyglądał się skałom, zielonym stokom pomiędzy nimi, koniczynie i winoroślom, wirowi białego kurzu, a jednocześnie pieścił wzrokiem profil Cyncynata, który wciąż jeszcze zmagał się ze strachem. Chude, szare, zgięte plecy mężczyzn siedzących na koźle były najzupełniej jednakowe. Klapały, klaskały kopyta. Gzy krążyły jak satelity. Powóz od czasu do czasu wyprzedzał spieszących się pielgrzymów (na przykład więziennego kucharza z żoną), którzy przystawali, zasłaniając oczy od słońca i kurzu, a potem dodawali kroku.

Jeszcze jeden zakręt – i droga pobiegła ku mostowi, wywinąwszy się wreszcie powoli obracającej się twierdzy (stojącej już bardzo niepewnie – perspektywa się rozchwiała, coś tam się obluzowało i zwisało... ).

– Przykro mi, że tak się uniosłem – mówił łagodnie M'sieur Pierre. – Nie gniewaj się na mnie, cyraneczko. Sam rozumiesz, jak denerwujące jest czyjeś bałaganiarstwo, kiedy człowiek wkłada w pracę całą duszę.

Zadudnili na moście. Wieść o egzekucji dopiero teraz zaczęła się rozchodzić po mieście. Czerwoni i niebiescy chłopcy biegli za powozem. Rzekomy szaleniec, Żyd-staruszek, który już od wielu lat łowił nieistniejące ryby w bezwodnej rzece, pospiesznie zbierał manatki, chcąc się

przyłączyć do pierwszej grupki mieszkańców miasta, zdążających na Plac Atrakcji.

– ... ale nie warto się nad tym rozwodzić – mówił M'sieur Pierre – ludzie mojego typu łatwo się żołądkują, ale raz-dwa im przechodzi. Zwróćmy raczej uwagę na zachowanie płci pięknej.

Kilka dziewcząt bez kapeluszy, gorączkując się i piszcząc, wykupywało kwiaty od tłustej kwiaciarki z burymi piersiami; najsprytniejszej z nich udało się wrzucić bukiet do powozu, omal nie strąciła przy tym czapki z głowy Romana. M'sieur Pierre pogroził jej paluszkami.

Koń, zezując dużym zmętniałym okiem na płaskie łaciate psy, które słały mu się pod kopyta, z wysiłkiem ciągnął ulicą Ogrodową w górę, i już doganiał ich tłum – jeszcze jeden bukiet trafił w powóz. I oto skręcili w prawo, pojechali Materjuszą obok potężnych ruin starej fabryki, potem Telegraficzną, już dzwoniącą, jęczącą, buczącą dźwiękami strojonych instrumentów, i dalej – niebrukowanym, szepczącym zaułkiem, obok skweru, gdzie dwaj mężczyźni z bródkami, w cywilnych ubraniach, podnieśli się z ławki na widok kolaski, i gwałtownie gestykulując, wzajemnie ją sobie pokazywali – straszliwie podnieceni, z kwadratowymi ramionami – a potem popędzili, energicznie i kanciasto unosząc nogi, w tę samą stronę, co wszyscy. Biała, gruba statua za skwerem rozszczepiona była na dwoje – gazety pisały, że sprawił to piorun.

– Zaraz będziemy przejeżdżali koło twojego domu – bardzo cicho powiedział M'sieur Pierre.

Roman zaczął się wiercić na koźle, i obróciwszy się do Cyncynata, zawołał: – Zaraz będziemy przejeżdżali koło pańskiego domu – i natychmiast obrócił się z powrotem, podskakując jak rozradowany chłopczyk.

Cyncynat nie chciał patrzeć, ale jednak popatrzył. Marfińka, siedząc wśród gałęzi bezpłodnej jabłoni, machała chusteczką, a w sąsiednim ogrodzie, pomiędzy słonecznikami i malwami, machał rękawem strach na wróble we wgniecionym cylindrze. Z muru domu, zwłaszcza w miejscach, gdzie niegdyś igrał cień liści, dziwnie odłupał się tynk, a część dachu... Przejechali.

– Ty jednak jesteś jakiś nieczuły – powiedział z westchnieniem M'sieur Pierre i niecierpliwie szturchnął laską plecy woźnicy, który podniósł się i wściekłymi uderzeniami bata dokazał cudu: szkapa puściła się galopem.

Jechali teraz bulwarem. Podniecenie w mieście ciągle rosło. Różnobarwne fasady domów chwiały się i trzeszczały, pospiesznie ozdabiane powitalnymi plakatami. Jeden domek był szczególnie bogato przystrojony: jego drzwi otworzyły się szybko, wyszedł z nich młodzieniec, którego odprowadzała cała rodzina – akurat w tym dniu osiągnął wiek pozwalający uczestniczyć w widowisku, matka śmiała się przez łyzy, babka wsuwała mu do woreczka zawiniątko z jedzeniem, młodszy brat podawał kij pielgrzymi. Na starożytnych

kamiennych mostkach, biegnących łukiem ponad ulicami (niegdyś będących takim dobrodziejstwem dla pieszych, a obecnie służących jedynie gapiom i nadzorcom ulic), tłoczyli się już fotoreporterzy. M'sieur Pierre co chwila uchylał kapelusza. Eleganci w błyszczących „zegareczkach” wyprzedzali kolaskę i zaglądali do jej wnętrza. Z kawiarni wybiegł jakiś człowiek w czerwonych szarawarach, miał wiadro pełne konfetti, ale źle wycelował i otoczył kolorową zamiecią ostrzyżonego pod garnek zucha, pędzącego z chodnika po przeciwnej stronie z chlebem i solą na półmisku. Z pomnika kapitana Sennego zostały tylko nogi do bioder, okolone różami – najwyraźniej jego również dosięgła burza. Gdzieś w przodzie orkiestra dęta rznąła marsza *Gołubczik*. Po całym niebie gwałtownymi zrywami przeciągały białe chmury – moim zdaniem powtarzają się one, moim zdaniem są tylko trzy ich rodzaje, moim zdaniem wszystko to jest zrobione z siatki, a niebieskozielona barwa wygląda podejrzanie...

– No, no tylko bez głupstw – powiedział M'sieur Pierre.

– Nie zemdlej mi przypadkiem. To niegodne mężczyzny.

Otóż i przyjechali. Publiczności było jeszcze stosunkowo mało, ale wciąż napływały nowe tłumy. Na środku kwadratowego placu – nie, właśnie nie na samym środku, i właśnie to było ohydne – wznosił się purpurowy pomost szafotu. Nieopodal stał skromnie stary karawan komunalny napędzany elektrycznością. Mieszany oddział telegrafistów i strażaków utrzymywał porządek. Orkiestra

dęta grała najwyraźniej na całego: dyrygent, jednonogi inwalida, wściekle machał rękami, teraz jednak nie słychać było ani jednego dźwięku.

M'sieur Pierre, wzniosłszy tłuście ramionka, z gracją wysiadł z kolaski i natychmiast się odwrócił, pragnąc pomóc Cyncynatowi, ale Cyncynat wysiadł drugą stroną. W tłumie odezwały się gwizdy.

Rodryg i Roman zeskoczyli z kozła; wszyscy trzej napaarli na Cyncynata.

– Ja sam – powiedział Cyncynat.

Do szafotu było dwadzieścia kroków, i nie chcąc, żeby go ktokolwiek dotykał, Cyncynat zmuszony był puścić się pędem. W tłumie zaszczekał pies. Dotarłszy do jaskrawoczerwonych stopni, Cyncynat zatrzymał się.

M'sieur Pierre ujął go pod łokieć.

– Ja sam – powiedział Cyncynat.

Wszedł na pomost, na którym znajdował się pień katowski, to znaczy pochyły, gładki kloc dębowy, takiej wielkości, że można się było na nim swobodnie położyć z rozpostartymi ramionami. M'sieur Pierre także wdrapał się na pomost. Publiczność zahuczała.

Podczas gdy trwała krzątanina z wiadrami i sypaniem trocin, Cyncynat, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, oparł się o drewnianą barierkę, ale czując, że cała lekko dygocze, a jacyś ludzie w dole z ciekawością dotykają jego kostek, odsunął się, i oddychając z niejakim trudem, oblizując wargi, składając ręce na piersi, jak gdyby składał je tak po raz pierwszy w życiu, zaczął się rozglądać wokół siebie.

Były jakieś problemy z oświetleniem – ze słońcem działo się coś niedobrego, a część nieba drżała. Dookoła placu rosły topole, sztywne, niestatyczne – jedna z nich bardzo wolno...

Ale oto po tłumie znów przeszedł głośny szmer: Rodryg i Roman, potykając się, szturchając wzajemnie, sapiąc i stękając, niezgrabnie wnieśli i zwalili na deski ciężki futerał. M'sieur Pierre zrzucił kurtkę, miał pod nią koszulkę bez rękawów. Na jego białym bicepsie wyobrazona była turkusowa kobieta, w tłumie zaś, tłoczącym się mimo nalegań strażaków pod samym szafotem, w jednym z pierwszych rzędów, stała owa kobieta we własnej osobie i jej dwie siostry, a także staruszek z wędką i opalona kwiaciarka, i młodzieniec z kijem pielgrzymim, i jeden ze szwagrów Cyncynata, i bibliotekarz, który czytał gazetę, i inżynier Nikita Łukicz, chłop na schwał – i Cyncynat zauważył jeszcze nie znanego mu z imienia mężczyznę, którego spotykał kiedyś każdego ranka w drodze do przedszkola. Za tymi pierwszymi rzędami następowały rzędy gorsze pod względem wyrazistości oczu i ust, za nimi zaś – warstwy bardzo mętnych i w swej mętności jednakowych twarzy, te najbardziej oddalone wreszcie były w ogóle kiepsko namalowane – tam, z tyłu, na dekoracji przedstawiającej plac. Przewróciła się kolejna topola.

Nagle orkiestra umilkła – czy raczej: dopiero teraz, kiedy umilkła, okazało się, że do tej pory grała przez cały czas. Jeden z muzyków, łagodny tłuszczoch, rozłożywszy

instrument, wytrząsał ślinę z jego błyszczących przegubów. Za orkiestrą zieleniała bezkrwista alegoryczna dal: portyk, skały, mydlana kaskada.

Na pomost zręcznie i energicznie (tak, że Cyncynat mimowolnie się cofnął) wskoczył zastępca zarządcy miasta i niedbale oparłszy wysoko podniesioną nogę o pień (był mistrzem niewymuszonego krasomównstwa), głośno oznajmił: – Mieszkańcy! Małeńka uwaga. Ostatnimi czasy na naszych ulicach daje się zauważyć dążność niektórych przedstawicieli młodej generacji do tak szybkiego chodzenia, że my, starzy, musimy im ustępować z drogi, włączając prosto w kałuże. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że pojutrze na rogu Pierwszego Bulwaru i Brygadierskiej zostanie otwarta wystawa mebli, mam szczerą nadzieję, że ujrzę tam was wszystkich. Przypominam też, że dziś wieczorem wielki sukces odniesie nowa opera komiczna *Skróćcie się, Sokratesie*. Proszono mnie jeszcze o podanie do wiadomości, że Kiferowskie Centrum Dystrybucji otrzymało partię damskich pasków w dużym wyborze, a oferta może się już nie powtórzyć. Teraz ustępuję miejsca innym wykonawcom, żywiąc nadzieję, mieszkańcy, że wszyscy cieszyć się dobrym zdrowiem i niczego wam nie brakuje.

Z tą samą zręcznością prześliznął się między poprzeczkami barierki i zeskoczył z pomostu przy akompaniamencie pełnych aprobaty pomruków. M'sieur Pierre wkładał już biały fartuch (dziwnie wyglądały

wyglądające spod niego cholewy), starannie wycierał dłonie w ręcznik, spokojnie i życzliwie rozglądał się dookoła. Jak tylko zastępca zarządcy skończył, M'sieur Pierre rzucił ręcznik asystentom i zbliżył się do Cyncynata.

(Zakołysały się i zamarły w bezruchu czarne kwadratowe pyski fotoreporterów).

– Tylko bez nerwów, bez kaprysów, proszę – rzekł M'sieur Pierre.

– Przede wszystkim musimy zdjąć koszuleczkę.

– Ja sam – powiedział Cyncynat.

– O, doskonale. Weźcie koszuleczkę. Teraz pokażę, jak trzeba się położyć.

M'sieur Pierre rzucił się na pień. Publiczność zahuczała.

– Czy to jasne? – spytał M'sieur Pierre, gwałtownie wstając i poprawiając fartuch (rozchylił się z tyłu, Rodryg pomógł zawiązać). – Dobra. Zaczynajmy. Światło trochę za ostre... Gdyby można... O, tak, dziękuję. Może jeszcze odrobinę... Doskonale! Teraz prosiłbym cię, żebyś się położył.

– Ja sam, ja sam – powiedział Cyncynat i położył się twarzą w dół, tak jak mu pokazano, ale natychmiast zakrył rękami kark.

– A to ci głuptas – powiedział w górze M'sieur Pierre. – Jak mogę, kiedy tak... (dajcie to tutaj; zaraz potem wiadro). A w ogóle – po licha tak napinać mięśnie, nie trzeba żadnego napinania. Całkiem się rozluźnij. Weź, proszę, ręce... (tutaj). Całkiem się rozluźnij i licz głośno

do dziesięciu.

– Do dziesięciu – powiedział Cyncynat.

– Co takiego, bracie? – spytał M'sieur Pierre, jakby prosząc o powtórzenie, i dodał cicho, zaczynając już pojękiwać: – Odsuńcie się troszeczkę, panowie.

– Do dziesięciu – powtórzył Cyncynat, rozpostarłszy ramiona.

– Nic jeszcze nie robię – powiedział M'sieur Pierre z jakimś ubocznym świszczącym wysiłkiem i cień biegł już po deskach, kiedy Cyncynat głośno i dobitnie zaczął liczyć: jeden Cyncynat liczył, a inny Cyncynat przestał już słuchać oddalającego się dźwięku niepotrzebnego liczenia – i z jasnością dotąd mu nieznaną, początkowo wręcz bolesną przez to, że tak nagle się pojawiła, potem jednak wypełniającą radością całą jego istotę, pomyślał: „dlaczego tu jestem? dlaczego tak leżę?” – i zadawszy sobie to proste pytanie, odpowiedział na nie w ten sposób, że wstał i rozejrzał się dookoła.

A dookoła panował osobliwy zamęt. Przez lędźwie wciąż jeszcze kołyszącego się kata prześwitywała barierka. Skurczony i skrecony na schodkach rzygał błądy bibliotekarz. Widzowie byli zupełnie, zupełnie przezroczyści i nie nadawali się już do niczego, i wszyscy szamotali się i dokądś biegli – jedynie tylne rzędy, te namalowane, pozostawały na miejscu. Cyncynat powoli zszedł z pomostu i zaczął stapać po chybotliwym rumowisku. Dogonił go Roman vel Rodryg, wielokrotnie pomniejszony: – Co pan robi?! – chrypiał, podskakując w

miejscu. – Tak nie można, nie można! To nieuczciwe w stosunku do niego, do wszystkich... Proszę wracać, położyć się – leżał pan przecież, wszystko było gotowe, wszystko było skończone!

Cyncynat odsunął go, a on pobiegł przed siebie z ponurym krzykiem, myśląc już tylko o własnym ocaleniu.

Niewiele pozostało z placu. Pomost dawno już runął w obłoku czerwonego kurzu. Ostatnia przemknęła kobieta w czarnym szalu, niosąc w ramionach malutkiego kata, niby larwę. Przewrócone drzewa leżały płaskie i pozbawione jakichkolwiek wypukłości, a te, które jeszcze stały, podobnie płaskie, z pniami przyciemnionymi z boku dla stworzenia iluzji okrągłości, ledwie się trzymały gałęziami prującej się siatki nieba. Wszystko się rozłaziło. Wszystko się waliło. Wirujący wichur porywał i unosił kurz, kawałki materiału, kolorowe drzazgi, drobne odpryski pozłacanego gipsu, tekturowe cegły, plakaty; suchy mrok się rozwiewał; i Cyncynat ruszył – szedł pośród kurzu i przewróconych przedmiotów, i trzepoczącego płótna, kierując się w stronę, gdzie sądząc po głosach, stały istoty podobne do niego.